

Juan Carlos Onetti

Historia kawalera z różą
i ciężarnej dziewczicy
z Liliputu



Czytelnik

Juan Carlos Onetti
Historia kawalera z różą
i ciężarnej dziewicy
z Liliputu

przełożyli
Rajmund Kalicki
Edward Stachura



1977
Warszawa
Czytelnik

JUAN CARLOS ONETTI

Juan Carlos Onetti, urodzony w roku 1909, dopiero w latach sześćdziesiątych zdobył rozgłos i sławę, a dziś należy do czołówki prozaików iberoamerykańskich. Twórczość Onettiego uważana jest jednak za zjawisko nietypowe dla literatury zarówno Urugwaju jak i całej Ameryki Południowej. Niektórzy krytycy skłonni są nawet zaliczyć go do tzw. „europejskich” pisarzy tego kontynentu i dopatrują się w pisarstwie Onettiego – zwłaszcza w rysunku postaci – pewnych cech wspólnych z Camusem czy Sartre’em. W zbiorze opowiadań „*Historia kawalera z różą...*” – podobnie jak w dwóch znanych już polskiemu czytelnikowi książkach „*Pożegnania*” i „*Martwy port*” – uwaga autora skupia się głównie na życiu wewnętrznym bohaterów. Są to najczęściej ludzie przegrani bądź przegrywający. Miejscem akcji, naszkicowanej ledwie kilkoma pociągnięciami pióra, jest przeważnie małe miasteczko urugwajskie, Santa María.

SEN URZECZYWISTNIONY
I INNE OPOWIADANIA

SEN URZECZYWISTNIONY

Żart ten wymyślił Blanes; przychodził do mojego gabinetu – w czasach kiedy miałem własny gabinet, a potem do kawiarni, kiedy sprawy wzięły w łeb i gabinetu już nie miałem – i stawał na dywanie, z pięścią opartą o biurko, we wzorzystym krawacie i wpiętą weń złotą spinką, i z tą swoją głową – kwadratową, ogoloną, z ciemnymi oczami, niezdolnymi zatrzymać na czymkolwiek uwagi dłużej niż minutę, po czym natychmiast gasnącymi, jakby Blanes miał za chwilę zasnąć lub jakby wspominał jakiś czysty, uczuciowy moment swego życia, moment, którego oczywiście Blanes nigdy nie był w stanie przeżyć – z tą swoją głową, bez jakiegokolwiek zbędnego szczegółu, wzniesioną ku ścianie pokrytej afiszami i fotosami; pozwalał mi mówić, a potem komentował, zaokrąglając usta: – Bo pan, naturalnie, zrujnował się, wystawiając „*Hamleta*”. – Lub też: – Tak, już wiemy. Poświęcał się pan zawsze sztuce i gdyby nie ta pana zwariowana miłość do „*Hamleta*”...

I ja przeżyłem tę całą kupę lat, znosząc wokół siebie tak żałosne towarzystwo: autorów i aktorów, i aktorek, i właścicieli teatrów, i krytyków gazetowych, i rodzinę, przyjaciół i wszystkie ich kochanki, i wszystkich ich kochanków, przez cały ten czas tracąc i zarabiając pieniądze, które – wiedzieliśmy: Bóg i ja – przyjdzie mi znowu stracić w najbliższym sezonie; ja teraz z tą kroplą potu na łysej głowie, z pięścią pod żebra, z tym łykiem kwaśno-słodkiego lekarstwa i z tym zupełnie niezrozumiałym dowcipem Blanesa:

– Tak, jasne. Szaleństwa, do których pana doprowadziła bezgraniczna miłość do „*Hamleta*”.

Gdybym za pierwszym razem spytał go o sens tego żartu, gdybym mu wyznał, że wiem na temat „*Hamleta*” tyle, co po jednorazowej lekturze jakiegokolwiek sztuki: ile może przynieść zysku – to cała sprawa na tym by się skończyła. Ale bałem się lawiny nowych dowcipów, którą mogłoby rozpętać moje pytanie, tak że tylko skrzywiłem się i wysłałem go do diabła. I tak to się stało, że przeżyłem te dwadzieścia lat, nie wiedząc, czym jest „*Hamlet*”, nie przeczytawszy tego utworu, ale domyślając się z wyrazu twarzy i z kołyszącej się głowy Blanesa, że „*Hamlet*” to sztuka, czysta sztuka, wielka sztuka, i wiedząc także – ponieważ nasiąkałem tym bezwiednie – że „*Hamlet*” to poza tym aktor lub aktorka, w tym drugim wypadku o nieodmiennie śmiesznych biodrach, ubrana w czarną obcisłą suknię; że „*Hamlet*” to czaszka, cmentarz, pojedynek, zemsta, tonąca dziewczyna. I także W. Shakespeare.

Dlatego, kiedy teraz, dopiero teraz – w blond peruce z przedziałkiem pośrodku, której wołę na noc nie ściągać z głowy, ze sztuczną szczęką, która mi się nigdy dobrze nie dopasowała i która sprawia, że poświsuję i seplenię; w tym przytułku dla zrujnowanych ludzi teatru, noszącym bardziej okazałą nazwę – znalazłem tę cienką książeczkę w szaroniebieskiej oprawie z wytłoczonym złożonymi literami tytułem HAMLET, usiadłem na fotelu, nie otwierając książki i zdecydowany nie otworzyć jej nigdy, myśląc o Blanesie, że w ten właśnie sposób mścić się na nim za jego żart, i myśląc o tym wieczorze, kiedy Blanes spotkał się ze mną w hotelu pewnej stolicy prowincjonalnego stanu i paląc papierosa, patrząc w sufit i na wchodzących do salonu ludzi, pozwolił mi powiedzieć moją kwestię, po czym poruszył wargami i w obecności tej biednej wariatki rzekł:

– I pomyśleć... Taki facet jak pan, który zrujnował się dla „*Hamleta*”.

Umówiłem się z nim, że ma objąć rolę jednej z postaci w krótkiej scenie pod tytułem, zdaje się, „*Sen urzeczywistniony*”. Wśród ról tej obłąkanej historii była jedna dla anonimowego przystojniaka i zagrać go mógł jedynie Blanes, jako że kiedy kobieta przysłała do mnie w tej sprawie, nie było nikogo poza nami, to znaczy mną i Blanesem; reszcie zespołu udało się czmychnąć do Buenos Aires.

Kobieta była już raz w hotelu, w południe, a ponieważ w tym czasie spałem, powróciła o godzinie, która była dla niej i dla mieszkańców tej upalnej prowincji porą zakończenia sjesty i o której to godzinie znajdowałem się w najprzewietniejszym punkcie sali restauracyjnej, spożywając sznycel i pijąc do tego białe wino: jedyne przyzwoite rzeczy, które można było tu zamówić. Nie mogę powiedzieć, że od pierwszego wejrzenia – kiedy kobieta zatrzymała się w osłoniętych kotarą drzwiach, w drgającej od gorąca poświacie, otwierając szerzej oczy w półmroku jadalni, i kiedy kelner wskazał jej mój stolik, do którego natychmiast w prostej linii ruszyła, wywołując powietrzne wiry swoją spódnicą – odgadłem to, co było w tej kobiecie i tę jakby miękką, gąbczastą wstążkę szaleństwa, którą idąc rozwijała, wlokła za sobą łagodnymi pociągnięciami, jakby to był bandaż przyklepiony do rany jej przeszłych samotnych lat, i którą to wstążką przychodziła teraz spętać mnie, mnie i te kilka dni, jakie spędziłem w tej nudnej miejscowości, nękany widokiem opasłych i niegustownie ubranych ludzi. Ale było – nie ulega wątpliwości – było w uśmiechu kobiety coś, co wprawiało mnie w nerwowe podniecenie, tak że nie mogłem zatrzymać wzroku na jej małych nieregularnych zębach, wystawionych do przodu jak zęby śpiącego i oddychającego otwartymi ustami dziecka. Włosy miała prawie szare, zaplecione w warkocze upięte na głowie, a jej strój odpowiadał któremuś z wzorów jakiejś starej mody, ale nie był to strój, który nosiłaby wtedy dojrzała kobieta, lecz młoda dziewczyna. Jej ciemna i długa spódnica, sięgająca aż do butów – z tych, co to je zwą boty lub botki – rozsnuwała się w takt marszu kobiety, po czym kurczyła się i znów poczynała falować przy kolejnym kroku. Bluzkę miała ozdobioną koronkami i obcisłą. Pomiędzy jej młodzieńczymi, stromymi piersiami wisiał drogi kamień. Spódnica i bluzka były połączone i

jednocześnie rozdzielone różą wpiętą w pasek ściskający talie. Teraz, kiedy to wszystko wspominam, myślę, że być może była to sztuczna róża: duża korona wygięta w dół i sztywne łodyga grożąca żołądkowi. Kobieta mogła mieć około pięćdziesięciu lat i to, co było w niej uderzające i nie do zapomnienia, to, co widzę teraz, kiedy przypominam ją sobie, jak idzie ku mnie przez hotelową restaurację, to był ten jej wygląd panienczki z innego wieku, z innej epoki, co to zapadła w sen i oto przebudziła się z trochę potarganymi włosami, nieco postarzała, ale gotowa w każdej chwili, niespodziewanie, osiągnąć swój właściwy wiek i złamać się w pół, tutaj, cicho, pokruszyć się przeżarta przez dyskretną robotę dni i nocy. I sprawiało przykrość patrzeć na jej uśmiech, bo wydawało się, że – w obliczu okazywanej przez kobietę niewiedzy o grożącym jej niebezpieczeństwie nagłego zestarzenia się oraz raptownej śmierci – ten jej uśmiech wiedział o tym, a przynajmniej jej obnażone zębki przeczuwały odrażającą klęskę, która im groziła.

Wszystko to stało teraz w półcieniu jadalni. Odsunąłem niezdarnie sztucę na brzeg talerza i podniosłem się z krzesła. „Czy pan Langman, impresario teatralny?” Skłoniłem głowę, uśmiechając się i prosząc, żeby usiadła. Nie chciała zamówić sobie czegoś do picia. Oddzielony od niej stołem popatrzyłem ukradkiem na dziewczęce usta – lekko pociągnięte szminką – skąd jej głos, o brzmieniu cokolwiek hiszpańskim, cicho i śpiewnie wysuwał się pomiędzy nierównych zębów. Z oczu, małych i spokojnych, usiłujących szerzej się rozewrzeć, nic nie udało mi się domyślić. Trzeba było czekać, aż przemówi, i pomyślałem, że jakąkolwiek postać kobiety i jakąkolwiek postać istnienia wywołają we mnie jej słowa, to będą one w zgodzie z dziwnością tej kobiety. Ale to wrażenie rozwiało się, kiedy kobieta przemówiła.

– Chciałam się z panem skontaktować w związku z pewnym przedstawieniem – oznajmiła. – Chcę powiedzieć, że mam pewną sztukę teatralną...

Wszystko wskazywało na to, że będzie ciągnąć dalej, lecz urwała i czekała na moją odpowiedź. Przekazała mi głos z milczeniem nie do odparcia, uśmiechając się przy tym. Czekwała spokojnie ze skrzyżowanymi na spódnicy rękami. Odsunąłem talerz z połówką sznycła i poprosiłem o podanie mi kawy. Zaproponowałem jej papierosa, a ona poruszyła głową, wydłużając odrobinę uśmiech, co miało oznaczać, że nie pali. Zapaliłem i zacząłem mówić, szukając w myśli sposobu pozbycia się jej bez gwałtowności, ale szybko i ostatecznie, w stylu jednakże ostrożnym, który narzucił mi się sam nie wiem skąd.

– Proszę pani, naprawdę żałuję bardzo... Pani nigdy nie wystawiała, prawda? Naturalnie. A jak nazywa się pani dzieło?

– Nie. Nie ma nazwy – odpowiedziała. – Tak trudno jest mi to wytłumaczyć. To nie jest to, o czym pan myśli. Jasne, że można temu dać jakiś tytuł. Można to nazwać: „*Sen*”, „*Sen zrealizowany*”. „*Sen urzeczywistniony*”.

Zrozumiałem wtedy, że niechybnie jest szalona, i poczułem się lepiej.

– Dobrze. „*Sen urzeczywistniony*”. Tytuł nie jest zły. Ważna rzecz: tytuł. Zawsze byłem, że tak powiem, bezinteresownie zainteresowany, by pomagać tym, którzy zaczynają. Przydać nowych wartości teatrowi narodowemu. Chociaż, nie muszę tego pani mówić, nikt mi za to nie dziękuje. Jest wielu takich, którzy mnie zawdzięczają postawienie pierwszego kroku; wielu takich, co to zgarniają dzisiaj niewiarygodne tantiemy na ulicy Corrientes i są laureatami dorocznych nagród. Już nie pamiętają, kiedy przychodzili do mnie błagając...

Nawet kelner, stojący w rogu sali przy automacie do robienia lodów i opędzający się serwetką od much i upału, zdawał się rozumieć, że tej dziwacznej istoty nie obchodziło ani jedno z wypowiedzianych przeze mnie słów. Spojrzałem na nią po raz ostatni jednym okiem sponad filiżanki z parującą kawą i powiedziałem:

– Więc pani rozumie. Zapewne wiadomo pani, że sezon tutaj zakończył się całkowitą plajtą. Zmuszeni zostaliśmy przerwać nasze występy i pozostałem tu sam w celu załatwienia kilku osobistych spraw. Ale już w nadchodzącym tygodniu i ja wyjeżdżam do Buenos Aires. Pomyliłem się jeszcze raz. Cóż począć? To środowisko nie ma przygotowania i pomimo że ograniczyłem się do zorganizowania serii przedstawień złożonej wyłącznie ze sztuk popularnych, wesołych i temu podobnie... sama pani widziała, jak mi poszło... Tak, że... Teraz tak: możemy zrobić jedną rzecz. Jeżeli mi pani udostępni egzemplarz swojej sztuki, zobaczę, czy w Buenos Aires... Sztuka jest trzyaktowa?

Musiła odpowiedzieć, ale tylko dlatego że ja, odwracając grę, zamilkłem i skłoniłem się w jej stronę, dotykając popielniczki końcem papierosa. Zatrzepotała powiekami.

– Jak?

– Sztuka pani: „*Sen urzeczywistniony*”, jest trzyaktowa?

– Nie, to nie są akty.

– Więc sceny. Szerzy się ostatnimi czasy zwyczaj...

– Nie mam żadnego egzemplarza. To nie jest rzecz, którą napisałam.

Nadeszła chwila, żeby czmychnąć.

– Zostawię pani mój adres w Buenos Aires i kiedy pani już ją napisze...

Zobaczyłem, jak zbiera się w sobie, odchylając się lekko do tyłu, ale głowa jej uniosła się z niezmiennym uśmiechem na ustach. Odczekałem chwilkę, przekonany, że sobie pójdzie, lecz zrobiła dłonią jakiś gest przed twarzą i zaczęła znowu mówić:

– Nie. Tu chodzi o coś zupełnie innego niż to, co sobie pan wyobraża. Jest to chwila, jedna scenka, można powiedzieć, i w tej scenie nic się nie dzieje? to tak, jakbyśmy rozgrywali tę scenkę teraz, tu, w tej restauracji i ja bym sobie poszła, i na tym koniec; nic dalej się nie dzieje. To nie jest historia fabularna. Jest kilku ludzi na ulicy, parę domów i dwa przejeżdżające samochody. Jestem ja, jest mężczyzna i jakakolwiek druga kobieta, która wychodzi z domu znajdującego się po przeciwnej stronie ulicy i podaje mężczyźnie dzban piwa. Nie ma więcej ról. Nas troje. Mężczyzna przechodzi przez ulicę do tego miejsca, gdzie pojawiła się ta kobieta wychodząca doń z domu z kuflem piwa, po czym mężczyzna wraca, przechodzi znów przez ulicę i siada blisko mnie, przy tym stoliku, gdzie znajdował się na początku scenki.

Zamilkła na moment i już jej uśmiech nie był przeznaczony ani dla mnie, ani dla wypełnionej obrusami i serwetkami ściennej szafki, której drzwiczki lekko się uchylały.

– Rozumie pan? – skonkludowała.

Udało mi się z tego wybrnąć, bo przypomniało mi się pojęcie teatru intymnego, i zacząłem jej o tym opowiadać oraz o niemożności robienia czystej sztuki w tym środowisku, i że w tej całej prowincji być może jedynie ja byłem zdolny docenić wartość tego typu dzieła, sens gestów, symbolikę samochodów i kobiety ofiarującej *bock* piwa mężczyźnie, który przechodzi przez ulicę i potem wraca do niej: „Do pani, madame”. Spojrzała na mnie, a w twarzy miała coś takiego, co miewał Blanes, kiedy zmuszony był prosić mnie o pieniądze: trochę lamentu i cała reszta zgrywy i antypatii.

– To nie ma nic wspólnego z tym, o czym pan mówił, panie Langman – oznajmiła. – To jest coś, co ja jedna tylko chcę zobaczyć, nikt więcej, żadnej publiczności. Ja i aktorzy. Nikt więcej. Chcę to zobaczyć, ale żeby to było tak, jak ja to sobie wyobrażam. Należy zrobić to, co powiem, i nic więcej. Zgoda? W takim razie niech pan łaskawie powie, ile pieniędzy będziemy musieli na to wydać, i ja je panu wręcę.

Już na nic by się zdało mówić o teatrze intymnym i temu podobnych rzeczach, teraz, oko w oko z tą szaloną kobietą, która, otworzywszy torebkę, wyjęła z niej dwa banknoty po pięćdziesiąt pesos.

– Z tym niech pan znajdzie aktorów i zajmie się pierwszymi wydatkami, a potem powie mi, ile jeszcze będzie pan potrzebował.

Sto pesos wręczonych mnie, złąknionemu pieniędzy, mnie, który nie mogłem wyrwać się z tej przeklętej dziury, czekając, żeby ktoś z Buenos Aires zechciał odpowiedzieć na moje listy i przesłał mi parę pesos. Tak więc zademonstrowałem kobiecie najpiękniejszy z moich uśmiechów i skłoniłem kilkakrotnie głowę, chowając jednocześnie złożone w pół pieniądze do kieszonki kamizelki.

– Doskonale, proszę pani. Wydaje mi się, że pojmuję, o co pani chodzi...

Mówiąc to, nie chciałem na nią patrzeć, gdyż myślałem o Blanesie i nie miałem ochoty napotkać upokarzającego wyrazu twarzy Blanesa także w twarzy tej kobiety.

– Poświęcę dzisiejsze popołudnie tej sprawie i gdybyśmy się mogli zobaczyć... Dziś wieczorem? Wyśmienicie. W tym samym miejscu. Będziemy już mieć pierwszego aktora i będzie pani mogła wytłumaczyć nam szczegółowo całą scenę. Z kolei ustalimy, co i jak, żeby „*Sen*”... „*Sen urzeczywistniony*”...

Być może po prostu dlatego, że była szalona, ale mogło też być tak, że rozumiała, tak jak ja to rozumiałem, że niepodobieństwem było, bym skradł jej te sto pesos – nie zażądała ode mnie pokwitowania wpłaconej mi sumy; nie pomyślała nawet o tym i, kiedy podała mi rękę, odeszła z ćwierć obrotom spódnicy, zarzucając nią to w jedną, to w drugą stronę przy każdym kolejnym kroku. Wyszła wyprostowana z półmroku jadalni i weszła w upał ulicy, jakby powracając do temperatury sjeisty, która utrzymywała się niezmiennie przez ileś tam dziesiątków lat i w której konserwowała swoją nieczystą dziewczęcość, będącą ciągle na granicy rozsypania się w proch.

Blanesa odnalazłem w mrocznym i pełnym nieładu pokoju o ścianach ze źle otynkowanych cegieł, ukrytego za jakimiś roślinami, za zielonymi matami na podłodze, za wilgotnym żarem popołudnia. Sto pesos tkwiło niezmiennie w kieszonce mojej kamizelki i wiedziałem, że dopóki nie spotkam się z Blanesem i nie namówię go, żeby mi pomógł dać tej szalonej kobiecie to, o co nas, w zamian za swoje pieniądze, prosiła – dopóty było niemożliwością, żebym wydał choćby centavo z powierzonej mi sumy. Obudziłem go i odczekałem cierpliwie, aż wziął kąpiel, ogolił się, znów się położył, wstał, żeby wypić szklanek mleka – co znaczyło, że poprzedniego dnia pił – i jeszcze raz się położył, zapalił papierosa; bo przed wykonaniem tych wszystkich czynności nie chciał mnie wysłuchać i nawet wtedy, kiedy przysunąłem do jego łóżka te resztki fotela, na których siedziałem, i nachyliłem się z poważną miną, by mu wyłożyć sprawę, więc jeszcze wtedy powstrzymał mnie, mówiąc:

– Ale niech pan popatrzy chwilę na ten dach!

Był to dach z dachówek z dwiema czy trzema zielonkawymi belkami i kilkoma długimi suchymi liśćmi trzciny, które nie wiadomo skąd się tam wzięły. Przyglądałem się chwilę dachowi, a Blanes tylko śmiał się i ruszał głową.

– Dobra. Mów pan – powiedział wreszcie.

Przedstawiłem mu całą rzecz, a on co chwila przerywał mi mówiąc, że to wszystko kłamstwo, że ktoś, kto chciał sobie ze mnie zakpić, nasłał na mnie tę kobietę. Potem znów kazał sobie powtórzyć całą sprawę i znów: co to wszystko znaczy, i nie miałem lepszego sposobu ucięcia jego pytań, jak zaproponować mu połowę tego, co zapłaci kobieta. Po odliczeniu wszystkich kosztów. Powiedziałem mu, że naprawdę nie mam pojęcia, co to wszystko znaczy i czego chce od nas ta kobieta, ale że już wręczyła mi pięćdziesiąt pesos, a to znaczy, że możemy jechać do Buenos Aires, a w każdym razie mogę to zrobić ja, jeżeli on woli tu zostać i spać dalej. Zaśmiał się i zaraz spoważniał. Z sumy pięćdziesięciu pesos otrzymanej zaliczki zażądał natychmiast dwadzieścia. Tak więc musiałem dać mu dziesięć, czego rychło miałem pożałować, bo tego samego wieczora, kiedy zjawił się w hotelowej restauracji, był już pijany i z uśmiechem na lekko wykrzywionej twarzy, z głową pochyloną nad kubelkiem z lodem zaczął mówić: – Niech pan się nie wysila z prawieniem mi morałów. Pan mecenas ulicy Corrientes, mecenas każdej ulicy świata omiatanej podmuchami sztuki... Człowiek, który sto razy zrujnował się dla „*Hamleta*”, podejmie się teraz, bezinteresownie, ryzyka wystawienia dzieła nieznanego geniusza, i to geniusza w gorsecie.

Ale kiedy przyszła ona – kiedy kobieta wychynęła spoza moich pleców, cała w czerni, z woalką, z małą parasolką na przegubie ręki i zegarkiem na łańcuszku zawieszonym na szyi, i przywitała się ze mną, a potem wyciągnęła rękę do niego – wtedy Blanes przestał mnie zadreć i tylko powiedział:

– Co tu dużo mówić, proszę pani? bogowie przywiedli panią do Langmana. Do człowieka, który stracił setki tysięcy pesos, żeby należycie wystawić „*Hamleta*”.

Wydało mi się wtedy, że kobieta kpi sobie, przenosząc spojrzenie to na niego, to na mnie; po chwili spoważniała i oświadczyła, że się jej śpieszy, że wyjaśni nam całą rzecz dokładnie i spotka się z nami następnym razem, kiedy już wszystko będzie gotowe. W łagodnym, czystym świetle twarz kobiety, jak również to, co na jej postaci błyszczało – pewne części jej ubioru, paznokcie u palców nie osłoniętych mitenkami, rączka parasolki, zegarek z łańcuszkiem – wyzwolone od tortury jaskrawego dnia wydawały się powracać do właściwej formy istnienia. Wzbudziło to we mnie natychmiast względne zaufanie i przez cały wieczór nie powróciłem do myśli, że kobieta jest szalona; zapomniałem, że ta cała sprawa od samego początku dziwnie źle mi pachniała. Zawładnął mną całkowity spokój, właściwy przeprowadzaniu normalnego, pospolitego interesu. Poza tym nie miałem powodów do zmartwienia, jako że był na miejscu Blanes, zachowujący się poprawnie, nie przestający pić, rozmawiający z nią tak, jakby się już byli spotkali dwa, trzy razy, proponujący jej szklaneczkę whisky, którą ona zamieniła na filiżankę naparu z kwiatu lipowego. Tak, że to, co miała opowiedzieć mnie, opowiedziała jemu, a ja nie oponowałem, gdyż Blanes miał być głównym aktorem i im więcej pojmie z dzieła, które mieliśmy przedstawić na scenie, tym lepiej wyjdzie cała rzecz. Kobieta chciała, żebyśmy wystawili tę jej scenkę następująco (Blanesowi opowiedziała to innym głosem i aczkolwiek nie patrzyła na niego, aczkolwiek miała w czasie opowieści spuszczone oczy, czułem, że opowiada teraz historię w sposób osobisty, jakby wyznawała coś intymnego ze swego życia; mnie natomiast opowiedziała to samo inaczej, tak jak opowiada się coś urzędnikowi w jakiejś instytucji, na przykład przy odbieraniu paszportu lub coś w tym rodzaju):

– Na scenie są domy, ulice i chodniki, ale wszystko jest niewyraźne, nieostre, jakby chodziło o jakieś miasto; zgromadzone na scenie rekwizyty mają wywołać wrażenie, że to duże miasto. Ja, to znaczy kobieta, którą będę grała, wychodzi z jednego z domów i siada na krawężniku chodnika, tuż przy zielonym stoliku ulicznej kawiarenki. Przy tym zielonym stoliku siedzi na kuchennym taborecie mężczyzna. To pana rola. Mężczyzna ma na sobie koszulkę trykotową, na głowie czapkę. Po przeciwnej stronie ulicy znajduje się sklep warzywniczy; przy drzwiach stoją skrzynie z pomidorami. W pewnej chwili pojawia się samochód, który przejeżdża przez scenę, i mężczyzna, pan, wstaje, żeby przejść przez ulicę, a ja jestem przestraszona, bo myślę, że samochód może pana potrącić. Ale panu udaje się przejść przed nadjeżdżającym samochodem i kiedy jest już pan po drugiej stronie ulicy, z bramy jednego z domów wyłania się kobieta ubrana jak do wyjścia na spacer, trzymając w ręku kufel napęczniony piwem. Pan wypija piwo nie odrywając ust od kufła, po czym natychmiast pan wraca, w chwili kiedy ulicą nadjeżdża z dużą szybkością jakiś samochód w odwrotnym niż poprzednio kierunku. Przechodzi pan przez ulicę dokładnie przed nadjeżdżającym samochodem i siada ponownie na kuchennym taborecie. Tymczasem ja leżę na chodniku, jak gdybym była dziewczynką. I pan pochyla się nade mną, żeby pogłaskać mnie po głowie.

Rzecz była łatwa do przeprowadzenia, do urzeczywistnienia, ale wtrąciłem, że kłopot jest w tym, żeby znaleźć tę trzecią osobę, tę kobietę, która wychodzi na spacer ze swego domu ze szklanką piwa.

– Z kuflem – sprostowała. – Jest to gliniany kufel z uchem i wieczkiem.

Blanes przytaknął wtedy głową i powiedział do niej:

– Jasne. I poza tym z jakimś namalowanym deseniem.

Odparła, że tak. I wydawało się, że to, co powiedział Blanes, sprawiło jej dużą przyjemność. Widniał na jej twarzy ten wyraz szczęścia, który może być udziałem wyłącznie kobiety i który wywołuje u mnie taką reakcję, że mam ochotę zamknąć oczy, żeby tego nie oglądać, jak gdyby dobre wychowanie nakazywało mi tak właśnie postępować. Wróciliśmy do rozmowy o tej drugiej kobiecie i Blanes zakończył temat wyciągając rękę, oświadczając, że ma już wszystko, czego potrzebujemy i żebyśmy się tym więcej nie kłopotali. Pomyślałem potem, że szaleństwo naszej kobiety jest zaraźliwe, ponieważ gdy zapytałem Blanesa, jaką ma na myśli aktorkę do tej roli, odparł, że ma na myśli Rivas, i choć nie znałem żadnej aktorki o tym nazwisku, nic już nie powiedziałem, bo Blanes spoglądał na mnie ze złością. Tak więc wszystko zostało załatwione. Załatwili to oni, we dwoje, i nie musiałem myśleć o niczym, co dotyczyłoby samej akcji na scenie. Zaraz też udałem się na poszukiwania właściciela teatru i wynająłem salę na dwa dni, płacąc cenę jednodniowego wynajmu, ale zapewniając właściciela, że na salę nie wejdzie nikt prócz aktorów.

Następnego dnia znalazłem człowieka, który znał się jako tako na instalacjach elektrycznych i który za sześć pesos wynagrodzenia przygotował reflektory oraz pomógł mi odmalować nieco parawany bocznych kulis. Późnym wieczorem, po około piętnastu godzinach pracy, wszystko było gotowe i ociekając potem, z podwiniętymi rękawami koszuli, zabrałem się do spożywania sandwichów, popijając jedzenie piwem i słuchając jednym uchem miasteczkowych opowieści, którymi częstował mnie mój tubylczy pomocnik. Zrobił pauzę, po czym rzekł:

– Widziałem dzisiaj po południu pańskiego przyjaciela w dobrym towarzystwie. Z tą kobietą, która była wczoraj wieczorem z wami w hotelu. Tutaj się wszystko wie. Ona nie jest stąd. Mówią, że przyjeżdża tu na lato. Nie lubię się wtrącać w cudze sprawy, ale widziałem ich, jak wchodzili do hotelu. No cóż! To prawda, że pan mieszka także w hotelu, ale ten, do którego weszli oni, to był inny hotel... Z tych, wie pan?

Kiedy niebawem zjawił się Blanes, oznajmiłem mu, że brakuje nam jedynie sławnej artystki Rivas oraz że pozostaje do załatwienia sprawa drugiego samochodu, ponieważ udało mi się zdobyć tylko jeden wóz należący do człowieka, który mi pomagał i który wynajmie go nam za parę pesos i poza tym sam będzie go prowadzić. Co do tej sprawy, to znaczy drugiego samochodu, miałem pewien pomysł. Ponieważ wynajęty przez nas wóz miał rozsuwane nadwozie, wystarczyło, żeby za pierwszym razem przejechał po scenie jako wóz otwarty, a powtórnie z dachem opuszczonym. Lub odwrotnie. Blanes nic mi na to nie odpowiedział, gdyż był kompletnie pijany. Nie miałem pojęcia, skąd wytrzasnął na to pieniądze. Potem wpadło mi do głowy, że być może miał czelność wyłudzić pieniądze od tej biednej kobiety. Ta myśl zatruła mi spokój i jadłem dalej moje sandwicze w milczeniu; on zaś, pijany i podśpiewując pod nosem, przechadzał się po scenie, przybierając przeróżne pozy: fotografa, szpiega, boksera, gracza rugby, nie przestając podśpiewywać, z opuszczonym nisko na czoło rondem kapelusza, zerkając na wszystkie strony, szukając, węsząc, diabli wiedzą, za czym. Ponieważ coraz mocniej utwierdzałem się w przekonaniu, że upił się za pieniądze nieomalże skradzione tej biednej chorej kobiecie, nie chciałem w ogóle z nim rozmawiać i kiedy zjadłem wszystkie sandwicze, posłałem mojego człowieka po nową porcję tychże, plus butelkę piwa. Blanes wreszcie zmęczył się wykonywaniem piruetów. Odbiło mu teraz na sentymentalizm i przysiadł na skrzyni obok mnie z rękami w kieszeniach spodni i z kapeluszem na kolanach, patrząc mętnymi, nieruchomymi oczami na scenę. Chwilę tak milczeliśmy i mogłem zobaczyć, że postarzał się; jego blond włosy przeredziły się i straciły połysk. Nie zostawało mu już wiele lat na odstawianie fagasa, na podrywanie kobiet, na zaciąganie ich do hoteli, na nic.

– Ja też nie marnowałem czasu – odezwał się nagle.

– Tak, wyobrażam sobie – odrzekłem obojętnie.

Uśmiechnął się, po czym zrobił poważną minę, włożył kapelusz i wstał. Mówił do mnie chodząc w tę i z powrotem, tak, jak wielokrotnie widział mnie w ten sposób chodzącego, kiedyś, po moim gabinecie obwieszonym mnóstwem fotosów z dedykacjami i dyktującego list sekretarce.

– Zbierałem informacje o naszej kobiecie —powiedział. – Zdaje się, że był czas, że jej rodzina czy też ona sama miała pieniądze, jednakże potem musiała pracować na życie jako nauczycielka. Ale nikt, powtarzam, nikt nie utrzymuje, że to wariatka. To, że zawsze była nieco dziwna to owszem. Ale nie wariatka. Nie wiem, po co przychodzę o tym panu opowiadać, o, adoptowany ojciec smutnego Hamleta, z gębą pomazaną tłuszczem sandwiczka... Opowiadać o tym.

– Jeżeli idzie o mnie – odpowiedziałem spokojnie – to przynajmniej nie szpieguję w cudzych biografjach. Także nie zajmuję się uwodzeniem kobiet cokolwiek dziwnych.

Wytarłem twarz chusteczką i odwróciłem się w jego stronę, żeby nań popatrzeć ze znudzoną miną.

– I jeszcze nie upijam się za Bóg wie czyje pieniądze – dodałem.

Stał dalej w tej samej pozycji z rękami wspartymi na biodrach. On z kolei spoglądał na mnie w zamyśleniu, prawiać mi dalej impertynencje, ale każdy zdałby sobie sprawę z tego, że myślał cały czas o tej kobiecie i że nie znieważał mnie z głębi serca, lecz tylko po to, żeby coś robić, żeby czymś się zająć, podczas gdy myślał o niej; i żeby robić coś, co przeszkodziłoby mi zauważyć, że o tej kobiecie myśli. Zbliżył się, pochylony, i zaraz wyprostował z moją butelką piwa w ręce; opróżnił ją bez pośpiechu, z przyłożonymi szczelnie do szyjki ustami aż do całkowitego przechylenia butelki do góry dnem. Przeszedł się jeszcze po scenie i znowu siadł z butelką między kolanami, przykrywając ją dłońmi.

– Ale ja z nią rozmawiałem – powiedział. – Chciałem dowiedzieć się, co znaczy to wszystko. Bo nie wiem, czy pan to rozumie: tu nie chodzi o zainkasowanie forsy do kieszeni. Spytałem ją, co to jest, to, co mamy wystawić, i wtedy zobaczyłem, że ona jest szalona. Chce pan wiedzieć? Interesuje to pana? To sen, który kiedyś jej się śnił, rozumie pan? Ale największe szaleństwo jest w tym, że – jak to twierdzi ona – ten sen nie ma dla niej żadnego znaczenia; nie zna tego człowieka ze snu, w niebieskim trykocie, ani tej kobiety z kuflem piwa, ani też nigdy nie mieszkała na ulicy podobnej do tego śmiesznego nie-wiadomo-co, które pan tu na scenie wymyślił. Więc w takim razie: dlaczego? Powiedziała, że gdy śniła ten sen, czuła się szczęśliwa, choć szczęśliwa nie jest tym najważniejszym słowem, to było coś trochę odmiennego. Tak, że chce to wszystko ujrzyć jeszcze raz. I aczkolwiek jest to szaleństwo, ma to jednak swoją stronę sensowną. Podoba mi się także, że nie ma w tym wszystkim nic z wulgarnego erotyzmu.

Kiedy wracaliśmy, żeby się położyć, Blanes raz po raz przystawał na ulicy – niebo było niebieskie i było bardzo ciepło – chwycił mnie za ramiona i klapy marynarki, pytając, czy rozumiem coś tam, nie wiem co, coś, czego i on sam widocznie nie rozumiał, bo zupełnie nie mógł wytłumaczyć, o co mu idzie. Kobieta zjawiała się w teatrze punktualnie o dziesiątej. Miała na sobie ten sam czarny kostium, co poprzedniego dnia, z łańcuszkiem i zegarkiem, i ta ozdoba wydała mi się nieodpowiednia jak na tę ubogą dzielnicę przedstawioną na scenie i na to, żeby wyciągnąć się na płytach chodnika, kiedy Blanes miał ją pogłodzić leżącą po głowie. Ale nie miało to znaczenia: teatr był pusty, na widowni tylko Blanes, jak zwykle pijany, palący papierosa, ubrany w niebieski trykot i szarego koloru czapkę zsuwającą się na jedno ucho. Przyszedł wcześniej w towarzystwie dziewczyny, która miała zagrać rolę tej drugiej kobiety pojawiającej się w bramie tuż obok sklepu z warzywami i podającej Blanesowi napełniony piwem kufel. Dziewczyna ta nie pasowała, ona także nie pasowała do typu postaci, który sobie wyobraziłem, który ja sam sobie wyobraziłem, bo diabli wiedzą, jaki ten typ postaci miał w rzeczywistości być. Była to smutna i chuda dziewczyna, źle ubrana i źle umalowana; Blanes wyciągnął ją z jakiejś kawiarni i przyholował opowiadawszy jej przedtem jakąś absurdalną historię, to było oczywiste, gdyż dziewczyna zaczęła kroczyć z miną pierwszej artystki teatru i kina; patrząc, jak wyciąga rękę z kuflem piwa, miało się ochotę zaszlochać lub przepędzić ją kuksańcami. Ta druga, ta szalona, kiedy przybyła, stanęła w pewnej odległości i popatrzyła przez chwilę na scenę; ręce miała ułożone wzdłuż ciała i wydała mi się ogromnie wysoka, o wiele wyższa i szczuplejsza, niż mi się to dotychczas wydawało. Po czym, nie odzywając się słowem do nikogo, ze swym nieodmiennym, choć nieco przygaszonym, chorobliwym

uśmiechem, który jeżył mi nerwy, ruszyła przed siebie, przeszła przez scenę i ukryła się w bocznych kulisach, skąd miała za chwilę wyjść. Bezwiednie wiodłem za nią oczami; wzrok mój, spojrzenie moje przybrało dokładnie kształt jej wydłużonego, odzianego w czarny strój ciała i przylegając do niego, obejmując jej sylwetkę, odprowadziło kobietę aż do miejsca, gdzie krawędź kurtyny oddzieliła je, moje spojrzenie, od jej postaci.

Ja teraz znajdowałem się w centrum inscenizacji i ponieważ wszystko było w porządku i minęła już godzina dziesiąta, uniosłem łokcie, żeby uderzeniem w dłonie dać aktorom znak do rozpoczęcia spektaklu. Ale wtedy właśnie – nie zdając sobie zupełnie sprawy z tego, co się dzieje – zacząłem pojmować różne dziwne rzeczy i czym było to, w co daliśmy się wciągnąć, aczkolwiek nigdy potem nie udało mi się tego wyrazić, tak, jak się zna czyjąś duszę ale słowami nie da się tego wytłumaczyć. Na nic słowa. „Wolałem dać znak aktorom gestem niż klaśnięciem w dłonie i kiedy zobaczyłem, jak Blanes i dziewczyna, którą przyprowadził, ruszają na swoje wyjściowe pozycje, przesunąłem się za kurtynę, gdzie już znajdował się ten człowiek przy kierownicy swojego starego samochodu, który —kiedy człowiek zapuścił motor – zaczął terkotać ze znośnym hałasem. Z mojego miejsca – stałem na skrzynce, próbując ukryć się jeszcze głębiej w cień, gdyż nie miałem nic do roboty w scenie, która miała za chwilę się rozegrać – zobaczyłem, jak kobieta wyszła na scenę, poruszając się jak młoda dziewczyna; włosy gęste i prawie szare, rozpuszczone i przewiązane jasną wstążką na wysokości ramion; stawiała długie kroki należące niewątpliwie do dziewczyny, co to właśnie skończyła nakrywać do stołu i na chwilę wychyla się z okna na ulicę, żeby popatrzeć na zapadający zmierzch i – nie myśląc o niczym – poczuć się spokojną. Zobaczyłem, jak siada przy Blanesie, opierając głowę na dłoni a łokieć podpierając kolanem. Opuszkami palców dotykała lekko uchylonych warg, a twarz i oczy miała zwrócone ku jakiemuś dalekiemu punktowi, gdzieś poza mną, gdzieś poza ścianą, co sterczała za moimi plecami. Zobaczyłem, jak Blanes wstał, żeby przejść przez ulicę, i uczynił to z matematyczną dokładnością, tuż przed nadjeżdżającym samochodem, który kurząc natychmiast znikł z pola widzenia. Zobaczyłem, jak ramię Blanesa i ramię tej kobiety,

mieszkającej w domu naprzeciwko, połączyły się za pośrednictwem kufła z piwem; zobaczyłem, jak mężczyzna pije, nie odrywając od kufła ust, po czym oddaje naczynie kobiecie, a ta znika, powoli i bezszelestnie, w bramie swojego domu. Zobaczyłem, jak mężczyzna w niebieskim trykocie znów przechodzi przez ulicę, w chwilę przed nadjeżdżającym z dużą szybkością, z odwrotnego niż przedtem kierunku, otwartym samochodem, który zatrzymał się za kulisami, tuż przy mnie. Kierowca wyłączył motor i zobaczyłem, poprzez rozwiewający się niebieskawy dym samochodowych spalin, jak siedząca dziewczyna ziewa i oto wyciąga się na płytach chodnika z jedną nogą zgiętą w kolanie i z głową opartą na ramieniu, a pod ramieniem jej długie włosy. Wtedy człowiek w trykocie i czapeczce nachylił się i zaczął głaskać głowę dziewczyny. Ręka jego poruszała się rytmicznie w tę i z powrotem, wewnątrz dłoni przesuwano się po czole, palce wnikały we włosy, zwierzały się mocniej na jasnej wstążce i znów od początku.

Zlażłem z mojej skrzynki, wzdychając, nieco uspokojony i ruszyłem na czubkach palców ku scenie. Człowiek od samochodu, nieśmiało się uśmiechając, podążył za mną. Ta chuda dziewczyna, którą przyholował Blanes, wychynęła ze swojej sieni i dołączyła do nas. Zadał mi pytanie, jedno krótkie pytanie, jedno słowo, dotyczące tego, na co odpowiedziałem, nie przestając patrzeć na Blanesa i na leżącą kobietę. Ręka Blanesa głaskała czoło kobiety i jej głowę, nie okazując zmęczenia, i było tak, jakby Blanes nie zdawał sobie sprawy z tego, że przedstawienie się skończyło i że ostatni akord, ostatni moment spektaklu: głaskanie głowy kobiety nie może przeciągać się w nieskończoność. Blanes, pochylony, nie przerywał swojej czynności; wyciągał, wydłużał rękę, gładząc włosy w całej ich rozłożystości, od czoła, do ramion i pleców. Człowiek od samochodu, ciągle uśmiechnięty, zakaszał i splunął w bok. Dziewczyna od dzbana z piwem ruszyła do miejsca, gdzie znajdowali się oni: leżąca kobieta i nachylony nad nią, gładzący ją mężczyzna. Odwróciłem się wtedy w stronę właściciela samochodu i powiedziałem mu, że może już wyprowadzić swój wóz i że w ten sposób wcześniej się stąd wyniesiemy; dałem kilka kroków w jego kierunku, sięgając jednocześnie ręką do kieszeni, żeby wypłacić mu parę pesos. Coś dziwnego działo się po mojej prawej stronie, gdzie znajdowali się tamci, i kiedy chciałem nad tym pomyśleć, potknąłem się o Blanesa: cuchnęło mu z ust alkoholem i był bez swojej czapeczki na głowie. Uderzył mnie pod żebra i wykrzyknął:

– Czy pan nie widzi, kanalio, że ona nie żyje!

Stałem sam, z boku, skurczony od uderzenia i podczas gdy Blanes przemierzał scenę w tę i z powrotem, pijany, jakby oszalały, a dziewczyna od dzbana z piwem i mężczyzna od samochodu pochyłali się nad nieżyjącą kobietą – zrozumiałem, czym było to, czego szukała ta kobieta, czego szukał wczoraj po scenie pijany Blanes i czego, wydawało się, jeszcze teraz szukał, miotając się na wszystkie strony, z pośpiechem szaleńca: wszystko jasno zrozumiałem, jakby to była jedna z tych spraw, które człowiek, będąc jeszcze dzieckiem, przyswaja sobie raz na zawsze, a potem na nic zdają się słowa, żeby móc to wytłumaczyć.

przełożył Edward Stachura

WITAJ, BOB

Dla H.A.T.

To pewne, że z każdym dniem będzie coraz starszy i coraz dalszy od tej epoki, kiedy to zwał się Bob, z blond czupryną opadającą mu na skronie, z uśmiechem i badawczym wzrokiem w momencie, gdy cicho wchodził do klubu, mrucząc coś na powitanie lub poruszając nieznacznie dłonią w okolicy ucha, i szedł zasiąść pod lampą w pobliżu fortepianu, z książką lub po prostu bez niej, spokojny i osobny, odległy, przez całą godzinę zdolny patrzeć na nas z nieruchomą twarzą, poruszając od czasu do czasu palcami, żeby zmienić pozycję trzymanego w nich papierosa i otrzepać z popiołu kłapy swoich jasnych garniturów.

I jednak coraz dalszy – teraz, kiedy nazywa się Roberto i upija się byle czym, osłaniając podczas kaszlu usta brudną dłonią – od tego Boba sączącego piwo, dwa tylko kufle w ciągu najdłuższego nawet wieczoru, ze słupkiem monet na stoliku w barze klubu, monet przeznaczonych dla grającej szafy. Prawie zawsze sam, słuchając jazzu z twarzą śniętą, szczęśliwą i bladą, ledwo dostrzegalnie kiwając głową, żeby pozdrowić mnie, gdy przechodziłem, i od tej chwili już nie odrywając ode mnie wzroku tak długo, jak długo zostałem w klubie, tak długo, jak długo mogłem znosić jego niebieskie oczy nieznuzenie na mnie spoczywające, utrzymujące bez wysiłku wyraz intensywnej pogardy i łagodniejszej do zniesienia kpiny. Podobnie gdy był z innym chłopcem, w soboty, z jednym z tych tak wściekle młodych jak on, z którym rozprawiał o trąbkach, o solowych partiach instrumentów w jakimś utworze, o chórach, i o niezmiernym mieście, które wybuduje wzdłuż wybrzeża rzeki, kiedy zostanie architektem. Przerywał, gdy dostrzegał, jak wchodziłem do klubu, pozdrowiał mnie po swojemu, krótkim, nieznacznym ruchem głowy, i już nie spuszczał wzroku z mojej twarzy, wyzymając kącikiem ust jakieś ściszone słówka i tłumione uśmiešky w stronę swojego towarzysza, który w końcu też zaczynał na mnie patrzeć, milcząco podwajając w ten sposób pogardę i kpinę.

Niekiedy czułem przyptyw sił i próbowałem się rewanżować: opierałem głowę na dłoni i paliłem papierosa, ponad kieliszkiem, patrząc na Boba bez zmrużenia powiek, pilnie przy tym bacząc, by zachować cały czas zimny, nieco melancholijny wyraz twarzy.

W tym czasie Bob był bardzo podobny do Inés; mogłem poprzez salon klubu dostrzec w jego twarzy coś z jej rysów i być może któregoś z wieczorów zdarzyło się, że patrzyłem nań tak, jak patrzyłem na nią. Ale prawie zawsze wolałem zapomnieć o oczach Boba; siadałem zwrócony do niego plecami i patrzyłem na twarze osób prowadzących rozmowę przy moim stoliku; niekiedy byłem milczący i smutny, żeby Bob wiedział, że jest we mnie coś więcej niż to, z powodu czego mnie osądzał, żeby wiedział, że jest we mnie coś bliskiego jemu; innymi razy dodawałem sobie odwagi paroma kieliszkami i myślałem: „Kochany Bobie, idź opowiedz o tym twojej siostrzyczce”, i głaskałem ręce dziewcząt siedzących przy moim stoliku lub snułem jakąś cyniczną o czymś tam teorię, tak, żeby one zaśmiały się w głos i żeby on to słyszał.

Ale cokolwiek bym wyczyniał, ani w zachowaniu, ani w spojrzeniu Boba nie dawało się zauważyć w tym czasie żadnych zmian. Wspominam o tym jedynie na dowód, że właśnie dostrzegłam te moje w barze błazenady. Któregoś wieczoru, u niego w domu, czekałem w salonie, aż zejdzie z góry Inés, kiedy oto w drzwiach pojawił się Bob. Miał na sobie nieprzemakalny płaszcz zapięty pod samą szyję; ręce w kieszeniach. Pozdrowił mnie ruchem głowy, po czym szybko rozejrzał się wkoło i wszedł do środka w taki sposób, jakbym nie istniał, jak gdyby mnie już był unicestwił tym swoim ledwie ruchem głowy. Wszedł i zaczął przechadzać się, wykonując w-tył-zwroty, gdy dochodził do stołu, deptając po dywanie swoimi żółtymi, na gumowych podeszwach, trzewikami. Dotknął kwiatu jednym palcem, przysiadł na brzegu stołu, zapalił papierosa i zapatrzył się w wazon, zwrócony do mnie pogodnym profilem, lekko pochylony do przodu, rozluźniony i zamyślony. Nieopatrznie – stałem pochylony nad pianinem – nacisnąłem palcem lewej dłoni klawisz, jeden z niskich tonów, i kiedy to raz uczyniłem, zostałem zmuszony powtarzać ten dźwięk co trzy sekundy, jednocześnie patrząc na Boba.

Nie czułem do niego nic prócz nienawiści i wstydliwego respektu, i dalej wciskałem klawisz, wbijając go palcem, z jakimś tchórzowskim okrucieństwem, w ciszę domu, aż oto raptem zostałem wyrzucony poza obręb tej sceny obserwując ją tak, jak gdybym znajdował się w górnej części prowadzących na piętro schodów lub jak gdybym stał w drzwiach, widząc Boba i czując go, jego milczenie i jego jakby nieobecność przy esującej w powietrzu smudze dymu z palonego przezeń papierosa; czując siebie, wysokiego i sztywnego, cokolwiek patetycznego, cokolwiek śmiesznego w panującym półmroku, siąkającego co trzy sekundy w klawisz wskazującym palcem lewej ręki. Pomyślałem wówczas, że nie czynię tego dla jakiejś tam niezrozumiałej fanfaronady, ale że w ten sposób wołam go; głęboki ton, który mój palec raz po raz wydobywał z instrumentu pod koniec każdej kończącej się wibracji, był wreszcie odnalezionym jedynym żebraczym słowem, przy pomocy którego mogłem prosić jego nieubłaganą młodość o tolerancję i zrozumienie. Stał dalej nieporuszony aż do momentu, kiedy Inés – nim zaczęła do mnie schodzić – trzasnęła jakimiś drzwiami na piętrze. Wtedy Bob wyprostował się i leniwie ruszył ku mnie, stanął po drugiej stronie pianina i powiedział z czarującym uśmiechem:

– Ta noc, to noc mleka czy noc whisky? Pęd do ocalenia czy skok w przepaść?

Nie mogłem nic mu odpowiedzieć, nie mogłem zdemolować mu twarzy uderzeniem pięści; przestałem stukać w klawisz i powoli wycofałem rękę znad pianina. Inés była w połowie schodów, kiedy on, odsuwając się ode mnie, powiedział:

– Ostatecznie, któż tam wie. Być może miała to być improwizacja.

Pojedynek ciągnął się tak przez trzy, cztery miesiące i, co do mnie, nie mogłem przestać bywać wieczorami w klubie – przypominam sobie, mimochodem, że odbywał się wtedy turniej tenisa – ponieważ, jeżeli przez jakiś czas tam nie zachodziłem, Bob witał moje po przerwie pojawienie się ze wzmożoną ironią i pogardą w oczach i usadawiał się w krzesle wygodniej, ze szczęśliwym grymasem na twarzy.

Kiedy nadszedł ten moment, że nie mogłem już pragnąć innego obrotu sprawy, jak tylko czym prędzej poślubić Inés – w Bobie i w jego taktyce zaszyły zmiany. Nie wiem, w jaki sposób dowiedział się o mojej konieczności poślubienia jego siostry i o tym, jak mocno uczepliłem się jej konieczności wszystkimi siłami, jakie mi zostały. Moja miłość do tej konieczności unieważniła całą przeszłość i wszelkie więzy z terażniejszością. Nie zwracałem wtenczas na Boba uwagi, ale w krótki czas potem musiałem zdać sobie sprawę z tego, jak bardzo się zmienił jego stosunek do mnie. Ir kiedy to do mnie dotarło, aż przystanąłem na jakimś skrzyżowaniu, łącząc go przez zaciśnięte zęby, rozumując, że jego twarz przestała być kpiąca, że odnosił się teraz do mnie z powagą i z zimną, natężoną kalkulacją, tak, jak kiedy ma się trudne zadanie do wykonania, lub kiedy oblicza się wielkość wyrosłej na drodze przeszkody i przymierza do niej swoje siły. Ale ja już nie przywiązywałem znaczenia do sprawy i nawet doszedłem do tego, że pomyślałem, iż w jego nieruchomej, zimnej twarzy rodzi się zrozumienie tego, co było we mnie fundamentalne, mojej starej, czystej przeszłości, którą uwielbiana konieczność poślubienia Inés wydobyła spod warstwy zdarzeń i lat po to, żeby mnie zbliżyć do niego. Do Boba.

Potem zauważyłem, że czeka na moje wieczorne pojawienie się w klubie, ale zauważyłem to niedługo przed tym wieczorem, kiedy przysiadł się do stolika, przy którym samotnie siedziałem, i ruchem ręki odprawił kelnera. Odczekałem chwilę, patrząc na niego. Był taki podobny do Inés, gdy poruszał brwiami, i tak jak u Inés spłaszczal mu się czubek nosa, gdy mówił.

– Pan nie poślubi Inés – powiedział. Spojrzałem na niego, uśmiechnąłem się i odwróciłem głowę w inną stronę.

– Nie poślubi pan jej, ponieważ można tego uniknąć, jeżeli jest ktoś naprawdę zdecydowany temu zapobiec.

Uśmiechnąłem się znowu.

– Kilka lat temu – oznajmiłem mu – miałbym dużą ochotę poślubić Inés. Ale teraz, ni mnie to ziębi, ni parzy. Niemniej mogę pana wysłuchać, jeżeli zechciałby pan mi wyjaśnić...

Być może miał gotowe sformułowania i tylko czekał, aż dokończę, żeby mi je wygłosić.

– ...jeżeli zechciałby pan mi wyjaśnić, dlaczego to nie chce pan, żebym ją poślubił? – spytałem cedząc wolniutko słowa.

Odchyliłem się i oparłem o ścianę. Uświadomiłem sobie, że nigdy nawet nie podejrzewałem, jak bardzo mnie nienawidził i jak bardzo zdecydowanie. Był blady, z uśmiechem przyduszonym zaciśniętymi wargami i zębami.

– Należałoby to podzielić na rozdziały – powiedział; – nie skończyłbym w ciągu jednego wieczora. Ale da się to też powiedzieć w dwóch, trzech słowach. Nie poślubi pan jej, bo pan jest stary, a ona młoda. Nie wiem, ile pan ma lat, trzydzieści, czterdzieści, nieważne. Ale jest pan człowiekiem uformowanym, ukończonym, to znaczy skończonym, jak wszyscy mężczyźni w pana wieku, jeżeli nie są nadzwyczajni.

Zaciągnął się zgasłym papierosem, spojrzął przez okno na ulicę i znowu zwrócił oczy na mnie; opierałem głowę o ścianę i czekałem, co dalej.

– Oczywiście, pan ma powody, żeby wierzyć w swoją nadzwyczajność. Żeby wierzyć, że ocalił pan mnóstwo rzeczy z rozbitego okrętu. Ale tak nie jest.

Ja z kolei zaciągnąłem się moim papierosem, zwrócony doń profilem. Irytował mnie, drażnił mnie, ale mu nie wierzyłem. Wywoływał we mnie jakąś taką nienawiść o temperaturze letniej wody, ale byłem sobie pewny; nikt już nic potrafiłby sprawić, żebym w siebie zwątpił po tym, kiedy dane mi zostało poznać konieczność poślubienia Inés. Nie: siedzieliśmy przy tym samym stoliku i ja byłem tak samo czysty i tak samo młody jak on.

– Może pan się mylić – powiedziałem. – Może zechciałby pan wymienić coś z tego, co pana zdaniem jest we mnie skończone...

– O, nie – odparł szybko – nie jestem aż tak naiwny. Nie dam się wciągnąć w tę grę. Jest pan egoistą; jest pan zmysłowy w jakiś brudny sposób. Jest pan przywiązany do nędznych rzeczy i to właśnie rzeczy włóczą pana za sobą. Nie zmierza pan w żadnym kierunku i tak naprawdę wcale pan nie pragnie w jakimkolwiek kierunku zmierzać. To wszystko. Nic ponadto. Pan jest stary, a ona młoda. Nie powinienem nawet myśleć o niej w pana obecności. I pan ośmiela się...

Także i wtedy nie mogłem dać mu w mordę, więc zdecydowałem się nie zareagować na jego słowa. Wstałem, ruszyłem do grającej szafy, wrzuciłem monetę w szczelinę automatu i wybrałem jakąś na chybił trafił melodię. Po czym wróciłem wolno na swoje miejsce i wdałem się w słuchanie. Kawałek był z tych cichych; ktoś łagodnie śpiewał w środku długich pauz. Z boku głos Boba mówił, że nawet on, nawet ktoś taki jak on, nie był godny patrzeć Inés w oczy. Biedny chłopiec, pomyślałem z zachwytem. Mówił, że w tym, co on nazywał starością, najbardziej odrażające, to, co determinowało rozkład człowieka, lub może to, co symbolizowało ten rozkład – było myślenie konceptami, uogólnieniami: zamykanie wszystkich kobiet w słowie kobieta, brutalne popychanie kobiet w stronę gotowych ram, tak, żeby się wszystko zgadzało, żeby się pokrywało z obrazem namalowanym przez żalosne doświadczenie. Zresztą – mówił – doświadczenie nie jest tu właściwym określeniem. Bo już nie ma u starców doświadczeń, są jedynie powtórki, przyzwyczajenia, zwięzłe nazwy, które przykleja się do rzeczy i spraw, żeby je niby na nowo tworzyć. Mniej więcej coś takiego mówił. A ja myślałem łagodnie o tym, czy – tutaj i natychmiast – padłby trupem, czy też znalazłby jakiś sposób uśmiercenia mnie, gdybym mu wyjawiał, jakie obrazy we mnie ożywiały swoimi słowami, tym, że nawet on nie był godny dotknięcia Inés końcem palca, biedny chłopiec, lub pocałowania kraju jej sukni, śladu jej stóp i temu podobne. Po krótkiej przerwie – melodia skończyła się i grająca szafa pogasiła swoje światła, potęgując ciszę – Bob powiedział „nic więcej” i odszedł tym krokiem, co zawsze, ni pośpiesznym, ni powolnym.

Jeżeli tego wieczora twarz Inés ukazała mi się w rysach Boba, jeżeli w którymś momencie naszej rozmowy ich rodzeńskie podobieństwo mogło wykorzystać pułapkę jakiegoś gestu, bym wziął Inés za Boba – to był to mój ostatni kontakt z dziewczyną. To prawda, że w dwa wieczory po tym zdarzeniu spotkałem się z nią jeszcze raz i jeszcze drugi raz, w pewne południe, w czasie schadzki, którą wymusiła na Inés moja rozpacz, schadzki niepotrzebnej, bo z góry wiedziałem, że ani nasza obecność, ani jakiegokolwiek słowa nic już nie poradzą, że wszystkie moje dobijające się do niej prośby umrą w jakiś osłupiający sposób, tak jakby ich nigdy nie było, rozrzedzone doszczętnie w ogromnym niebieskim powietrzu placu, pod łagodną zielenią liści, w samym środku letniej pory.

Ulotne i ułamkowe rysy Inés, które tego wieczora ukazał mi w swojej twarzy Bob – aczkolwiek, zjednoczone w agresji, wymierzone były przeciwko mnie – należały do wspaniałego i czystego obrazu dziewczyny, stanowiły tego obrazu część. Ale jak tu mówić do Inés, jak tłumaczyć jej cokolwiek, przekonywać, jak zbliżyć się do niej poprzez barykadę tej nagle apatycznej kobiety, w którą zmieniła się podczas naszych dwóch ostatnich spotkań. Jak rozpoznać ją, czy choćby jak przywołać w myśli jej dawny obraz, patrząc teraz na wydłużoną sylwetkę tej kobiety siedzącej tak samo sztywno w fotelu przed domem jak na ławce na placu, w tej samej uległej pozycji w dwu różnych miejscach, o dwu różnych porach dnia. Jak rozpoznać ją teraz w tej kobiecie z wyciągniętą szyją, z oczami zapatrzonymi gdzieś przed siebie, z martwymi ustami, z rękami wbitymi między kolana, w fałdę spódnicy. Patrzyłem na nią i: „nie” „nie”, cały otaczający ją przestwór powietrza krzyczał: „Nie”.

Nigdy się nie dowiedziałem, jaki epizod z mojego życia wybrał Bob, żeby go opowiedzieć Inés i żeby się stało to, co się stało. W każdym razie jestem pewien, że nic nie wymyślił, że nie kłamał, bo w tym czasie nic – nawet Inés – nie mogłoby zmusić Boba do kłamstwa. Nie zobaczyłem więcej dawnej Inés ani jej nowej formy istnienia: pustej i skamieniałej; słyszałem, że wyszła za męża i że już nie mieszka w Buenos Aires. W tamtym czasie, miotany to nienawiścią, to cierpieniem, znajdowałem dziwną przyjemność na myśl o Bobie wyobrażającym sobie z kolei moje postęпки lub serię tychże, ten więc lub te, które były zdolne zabić mnie w sercu Inés i zabić ją w moim sercu.

Teraz, prawie już od roku, widuję Boba codziennie w tej samej kawiarni, w tym samym towarzystwie. Gdy nas przedstawiono – nazywa się teraz pełnym imieniem: Roberto – zrozumiałem, że w przeszłości pojęcie czasu nie istnieje; że wczorajszy dzień łączy się tam z dniem sprzed lat dziesięciu. Było jeszcze w jego twarzy coś z Inés, coś stępnego, starganego, jak nerw, ale i też jedno poruszenie jego ust wystarczyło, żebym na nowo ujrzał wydłużone ciało dziewczyny, jej uspokajający i swobodny sposób chodzenia i żeby te same niebieskie oczy znów na mnie spojrzały spod niedbale uczesanych włosów przewiązanych czerwoną wstążką. Nieobecna i przepadła na zawsze, mogła w mojej wyobraźni przechowywać się żywa, nietknięta przez czas, nie do pomylenia z kimkolwiek innym, identyczna ze swoją istotą. Lecz było bardzo pracołłonne grzebać, szperać w twarzy, słowach i gestach Roberta, żeby odnajdywać skrawki, strzępki Boba i żeby karmić tym nienawiść. Tego popołudnia, kiedy – po kilkuletniej przerwie – po raz pierwszy go spotkałem, czekałem kilka godzin na moment, kiedy zostanie sam albo samotnie opuści kawiarnię, żeby doń podejść, wygnać mu to, co chciałem mu powiedzieć i potem uderzyć. W cichości i spokoju – śledząc od czasu do czasu jego twarz lub wywołując obraz Inés na błyszczących szybach kawiarni – ułożyłem zgrabne obelgi, którymi go obrzucę i odkryłem cierpliwy ton, jakim je wygłoszę; wybrałem też punkt, miejsce jego ciała, gdzie zadam, pierwszy cios. Ale wyniósł się o zmierzchu w towarzystwie trzech kumpli. Postanowiłem więc czekać dalej, tak jak on przed laty, na moment, kiedy będzie sam.

Kiedy się zobaczyliśmy po raz wtóry, kiedy zainicjowaliśmy tę naszą drugą przyjaźń – która, mam nadzieję, nie skończy się już nigdy – porzuciłem myśl o jakiejkolwiek formie agresji. Zostało we mnie postanowione, że nigdy nie powiem mu nic o Inés ani o minionej przeszłości; zostało we mnie postanowione, że zachowam to wszystko żywe w cichości własnych zakamarków. Nic innego nie robię prawie każdego popołudnia w obliczu Roberta i znajomych kawiarnianych twarzy. Moja nienawiść zachowa się, płomienna i dziewicza, tak długo, jak długo dane mi będzie patrzeć na Roberta i słuchać go. Nikt nie wie o mojej zemście, ale ja ją przeżywam i smakuję każdego dnia. Rozmawiam z nim, uśmiecham się, piję kawę. I cały czas myślę o Bobie, o jego czystości, jego wierze, odwadze jego marzeń. Myślę o Bobie, który kochał muzykę, który zamierzał uczynić życie ludzi bardziej godnym i wybudować dla nich, wzdłuż wybrzeży rzeki, miasto olśniewającej piękności, miasto dla pięciu milionów mieszkańców, myślę o Bobie, któremu kłamstwo nie mogło przejść przez usta, który proklamował walkę młodych ze starymi, o Bobie – władcy przyszłości i władcy świata. Myślę o tym wszystkim spokojnie i drobiazgowo, patrząc na tego człowieka o żółtych od nikotyny palcach, zwanego Roberto, wiodącego groteskowy żywot, pracującego w jakimś podrzędnym, zatęchłym biurze, ożenionego z grubą babą, o której wyraża się „moja pani”, spędzającego długie niedziele w kawiarnianym fotelu, przeglądając gazety i grając na wyścigach przez telefon.

Nikt nie kochał żadnej kobiety z taką mocą, z jaką ja Kocham jego ruinę, jego nieodwracalne pogrążanie się w brudnym życiu ludzi. Nikt tak nie wariował z miłości do kobiety, jak ja teraz, chwytając rzadkie, ulotne drgania jego duszy, słuchając projektów snutych bez żadnego przekonania, które dyktuje mu czasem jakiś odległy i zdruzgotany Bob i które służą mu jedynie jako dokładna miara tego, jak nisko upadł, do jakiego stopnia, i na zawsze – się ześwinił.

Nie wiem, czy kiedykolwiek w przeszłości z taką radością i miłością witałem Inés, z jaką teraz witam codziennie Boba w mrocznym i cuchnącym świecie ludzi dorosłych. Jest on wśród nas jeszcze świeżym przybyszem, i od czasu do czasu pada ofiarą ataków tęsknoty. Widziałem go, jak – pijany – płakał, przeklinał siebie i przysięgał, że już rychło powróci do epoki tamtego Boba. Mogę zapewnić, że serce moje w takich razach przepełnione jest miłością do niego i staje się wrażliwe i tkliwe jak serce matki. W głębi duszy wiem, że nigdy nigdzie od nas nie pójdzie, bo nie ma dokąd pójść, ale jestem delikatny i staram się pogodzić go z losem. Jak te garście ziemi ojczystej lub te fotografie ulic i pomników, lub te piosenki, które emigranci zabierają ze sobą do nowego kraju – tak ja konstruuje dlań plany, projekty i inne jutra zawierające w sobie blaski i posmak tej krainy młodości, z której niedawno przybył. I on przystaje na to; z początku zawsze protestuje, chce, żebym podwoił obietnice, i wreszcie zgadza się, przytakuje mi; na twarzy jego żłobi się jakiś taki wykręcony, wykrzywiony uśmiech, w którym jest wiara, że pewnego dnia powróci do świata i czasu tamtego Boba. I tak to uspokaja się wewnątrz swoich trzydziestu lat, lawirując bez wstępu i swobodnie, bez potknięć, pośród wstrząsających zwłok dawnych ambicji, pośród odrażających form tych marzeń, co z wolna uległy rozkładowi pod rozartagnionym i nieprzerwanym naporem tylu tysięcy nieuniknionych stóp.

przełożył Edward Stachura

ESBJERG, NAD SAMYM MORZEM

Dobrze, że chociaż po południu trochę się ociepliło, a skąpe słońce oświetla niekiedy ulice i ściany domów, bo o tej porze spacerują już zapewne po Nowym Porcie, stoją koło jakiegoś statku, snują się z jednego nabrzeża na drugie, od budki prefektury do kiosku z kanapkami. Korpulentna Kirsten na niskich obcasach i z kapeluszem spleaszczonym na płowych włosach i on, Montes, niski, znudzony i nerwowy mężczyzna podpatrujący twarz kobiety, bezwiednie odczytujący nazwy statków i przyglądający się w roztargnieniu marynarskim manipulacjom z linami.

Wyobrażam sobie, jak przygryza wąsy i zмага się z pokusą zepchnięcia jej wieśniaczego ciała, które tak bardzo roztyło się w mieście i w beczynności, strącenia go do wody, między oślizłe kamienie i czarne burty statku, skąd dochodzi szum kipieli i gdzie zbyt mało miejsca, żeby się utrzymać na powierzchni. Wiem, że tam są, bo Kirsten przyszła po południu po Montesa do biura i widziałem, jak poszli razem w stronę Retiro, a poza tym zjawiła się z tą swoją dżdżystą twarzą, niby pomnik jesienią, twarzą kogoś, kto zasnął na deszczu i nie zamknął oczu. Kirsten jest gruba, piegowata, krzepka; być może już teraz ciało jej pachnie jak ładownie statku lub rybackie sieci, a kiedyś przejdzie trwałą wonią mleka i śmietany, jaka się zapewne unosi w jej kraju.

Bywa, że idą do portu o północy lub o świcie, i myślę, że gdy tylko okrętowe syreny pozwalają Montesowi słyszeć kroki kobiety wlokącej po bruku swe męskie pantofle, musi biedaczysko czuć się, jakby wchodził w ciemności z żywym nieszczęściem pod rękę. Gazeta podaje ogłoszenia o statkach odpływających w tym miesiącu i mógłbym przysiąc, że widzę, jak Montes trwa w cierpliwym bezruchu od chwili, gdy zabrmi syrena i statek zacznie się ruszać, aż do momentu, gdy stanie się taki mały, że już nie warto się mu przyglądać, widzę, jak zwraca niekiedy spojrzenie – żeby wciąż pytać niczego nie rozumiejąc, nie otrzymując nawet odpowiedzi – na pełną twarz kobiety, twarz wypogadzającą się, subtelniejącą na kilka chwil, smutną i zimną, jak gdyby deszcz spadł na nią we śnie, a ona zapomniała zamknąć oczy, duże, prawie ładne, w kolorze rzeki, gdy wody nie mąci brunatny namuł.

Poznałem tę historię, nie zrozumiałem jej dobrze, tego ranka, kiedy Montes przyszedł powiedzieć mi, że chciał mnie okraść, że zataił przede mną wiele zakładów z soboty i niedzieli, żeby zysk zgarnąć do własnej kieszeni, i że teraz nie może wypłacić wygranych. Nie interesowało mnie, dlaczego to zrobił, jego zaś potrzeba zwierzeń doprowadzała do szału, więc musiałem wszystkiego wysłuchać myśląc o kapryśnym szczęściu, jakże szczodrym wobec własnych i tylko własnych przyjaciół, ale głównie po to, żeby nie wybuchnąć gniewem, bo i tak, nawet gdyby ten bałwan nie próbował mnie okraść, trzy tysiące pesos nie leżałoby długo w mojej kieszeni. Potem zwymyślałem go, aż zabrakło mi słów, i użyłem wszystkich, jakie mi przyszły do głowy, sposobów poniżenia go, aby nie było wątpliwości, że jest nędznikiem, świnią, kanalią i złodziejem, i było oczywiste, że się zgadza, że skwapliwie potwierdzi to przed kimkolwiek, gdy tylko tego sobie zażyczę. I utarło się, również od tamtego poniedziałku, że ilekroć dam do zrozumienia, że jest kanalią, pośrednio, wtrącając do rozmowy, gdziekolwiek byśmy byli, jakąś aluzję, on natychmiast zrozumie sens mych słów i da znać krótkim uśmiechem i lekkim poruszeniem wąsów, że wie, o co chodzi, i że mam rację. Nie ustaliliśmy tego słownie, ale od tamtego dnia zawsze tak jest. Bez słowa wypłaciłem trzy tysiące pesos i przez parę tygodni trzymałem go w niepewności, czy zdecyduje się mu pomóc, czy też będę go prześladować, potem wezwałem go i powiedziałem, że tak, że przyjmuję propozycję i może rozpocząć pracę w moim biurze za dwieście pesos miesięcznie, których mu nie będę płacić. W ten sposób w czasie niewiele dłuższym niż rok i krótszym niż półtora zwróciłyby dług i potem mógłby sobie iść do diabła. Jasne, że nie pracuje dla mnie: do niczego nie był mi potrzebny, skoro nie mógł dalej przyjmować zakładów. Mam to niewielkie biuro pośrednictwa połączone z totalizatorem, żeby żyć

spokojniej, mieć gdzie przyjmować ludzi i bez ograniczeń korzystać z telefonu. Zaczął więc pracować dla Serrana, mego kumpla w paru interesach, który siedzi przy sąsiednim biurku. Serrano wypłaca mu pensję albo przekazuje ją mnie i przez cały dzień każe mu biegać od urzędu celnego do magazynów, z jednego krańca miasta na drugi. Nie odpowiadało mi, żeby ktokolwiek wiedział, że mój pracownik jest mniej pewny niż okienko kasowe na wyścigach, więc nikt o niczym nie wie.

Myślę, że całą tę historię, lub prawie całą, opowiedział mi pierwszego dnia, w poniedziałek, kiedy przyszedł do mnie skulony jak pies, z twarzą pozieleniałą i lśniącą na czole i nozdrzach zimnym, wstrętnym potem. Resztę dopowiedział mi chyba później, w czasie tych niezliczonych rozmów, jakie ze sobą przeprowadziliśmy.

Zacząło się to z początkiem zimy, wraz z pierwszymi chłodami, które każą nam wszystkim myśleć, choć zwykle nie zdajemy sobie z tego sprawy, że rześkie i czyste powietrze najlepsze jest dla dobrych interesów, podróży w gronie przyjaciół i snucia śmiałych projektów; powietrze zbyt kowne, być może właśnie tak. Montes wrócił do domu któregoś z takich wieczorów i zastał żonę siedzącą koło żelaznego piecyka, wpatrzoną w buzujący w nim ogień. Nie widzę w tym nic szczególnego, ale on tak mi to opowiedział i parokrotnie powtórzył. Była przygnębiona i nie chciała powiedzieć dlaczego; trwała w tym smutku, nieskora do zwierzeń, przez całą noc i cały najbliższy tydzień. Kirsten jest gruba, ciężka i musi mieć piękną skórę. Była smutna i nie chciała powiedzieć mu, co jej jest.

„Nic mi nie jest” – powtarzała jak wszystkie kobiety. Potem zaczęła zapełniać mieszkanie zdjęciami Danii, króla, ministrów, krajobrazów z krowami i pagórkami, wszystkim, co tylko znalazła. Mówiła wciąż, że nic jej nie jest, a ten bałwan Montes wyobrażał sobie Bóg wie co i gubił się wśród domysłów. Potem zaczęły przychodzić listy z Danii, on nie rozumiał ani słowa, a ona wyjaśniła, że napisała do paru dalekich krewnych i teraz otrzymuje odpowiedzi; wiadomości nie były jednak pomyślne. Powiedział żartem, że chce chyba wyjechać, a Kirsten zaprzeczyła. I tej nocy oraz następnej dotykała jego ramienia, ilekroć zasypiał i uparcie powtarzała, że nie chce odejść; zapalał papierosa i przytakiwał, podczas gdy ona mówiła, niczym tekst wyuczony na pamięć, o Danii, o fladze z białym krzyżem i drodze przez wzgórze, którą chodziła do kościoła. Opowiadała o tym wszystkim, jakby go chciała przekonać, że jest z nim w Ameryce całkowicie szczęśliwa, aż zasnął uspokojony. Jeszcze przez czas jakiś wysyłała i otrzymywała listy, aż nagle pewnej nocy, kiedy byli już w łóżku, zgasiła światło i rzekła: „Jeśli chcesz, coś ci powiem, ale nie wolno ci przerywać”. Powiedział, że tak, leżał koło niej w bezruchu, choć popiół z papierosa spadł na fałdę prześcieradła, i czekał z wyostrzoną uwagą, jak z palcem na spuście rewolweru, aż w opowieści żony pojawi się mężczyzna. Ona nie mówiła jednak o żadnym, mężczyźnie, lecz głosem zachrypniętym i cichym, jakby dopiero co płakała, powiedziała mu, że w Danii można zostawić na ulicy rowery i nie zamykać sklepów, gdy się idzie do kościoła lub gdzie indziej, bo nie ma tam złodziei, powiedziała, że rosną tam drzewa starsze i większe niż gdziekolwiek na świecie i że pachną, że każde drzewo wydziela własną woń, której nie sposób pomylić z innymi, pozostaje niepowtarzalna nawet wśród innych leśnych zapachów, że o świecie budzi wszystkich krzyk morskiego ptactwa i słyszeć szczeł

myśliwskich strzelb, a wiosna dojrzewa w ukryciu pod śniegiem i pojawia się nagle, zalewając wszystko niczym powódź i ludzie rozmawiają wtedy o odwilży. O tej właśnie porze w Danii panuje największy ruch w osadach rybackich.

Powtarzała również: „*Esbjerg er naer ved kysten*”, a słowa te, choć ich nie rozumiał, najbardziej wzruszały Montesa: mówił, że zarażały go chęcią płaczu, chęcią, jaką odnajdował w głosie żony opowiadającej mu o tym wszystkim głosem cichym, tonem, jakiego ludzie używają bezwiednie, kiedy się modlą. Raz i jeszcze raz. Słowa, których nie rozumiał, rozczułały go, napęłniały litością dla tej cięższej przecież i silniejszej od niego kobiety, tak że miałby ochotę strzec jej niby zagubionego dziecka. To chyba dlatego, jak sądzę, że zdanie, którego nie mógł zrozumieć, było czymś dalekim, obcym, odsłaniało mu nieznaną część jej osobowości. Tamtej nocy doznał uczucia litości, które w nim rosło, jak gdyby stan żony z każdym dniem pogarszał się, bez nadziei na ratunek.

I tak zaczął myśleć, że mógłby dokonać czegoś wielkiego, co zrobiłoby dobrze również jemu, pomogłoby żyć i na długie lata przyniosło ukojenie. Naszła go myśl, żeby zdobyć pieniądze na opłacenie podróży Kirsten do Danii. Rozpytywał o to nie myśląc jeszcze o wszystkim poważnie i dowiedział się, że dwa tysiące pesos wystarczy. Potem, nawet nie wiedział kiedy, odczuł potrzebę zdobycia tych dwóch tysięcy. Chyba tak właśnie było; nie wiedział, co się z nim dzieje. Zdobyć dwa tysiące pesos i powiedzieć jej o tym któregoś sobotniego wieczoru, po kolacji w drogim lokalu, przy ostatnim kieliszku dobrego wina. Powiedzieć i zobaczyć na jej twarzy, zaczerwienionej od jedzenia i wina, że mu nie dowierza, myśli przez chwilę, że kłamie, aby potem, powoli, dać się ponieść radości, a jeszcze później wybuchnąć łzami i nie zgodzić się. „Samo mi to przejdzie” – powie, a Montes będzie nalegał tak długo, aż ją przekona i zapewni, że i on nie pragnie rozłąki i że będzie czekał na nią tak długo, jak tylko będzie trzeba.

Czasami w nocy, kiedy w ciemnościach rozmyślał o tych dwóch tysiącach, o sposobie ich zdobycia i o scenie przy stoliku zarezerwowanym na sobotę u Scopelliego, chciał jej o wszystkim powiedzieć i z twarzą poważną i błyskiem radości w oczach zaczynał od pytania, w jakim dniu chciałyby wsiąść na statek; czasami, kiedy przed zaśnięciem roił mu się jej sny, Kirsten znowu opowiadała o Danii. W rzeczywistości nie była to Dania, ledwie część kraju, niewielki skrawek ziemi, gdzie się urodziła, nauczyła języka, gdzie po raz pierwszy tańczyła z mężczyzną i widziała śmierć ukochanej osoby. Było to miejsce, które utraciła tak, jak się gubi jakąś rzecz, nie mogąc potem o niej zapomnieć. Opowiadała mu także inne historie, choć prawie zawsze wracała do tych samych, a Montes wierzył, że stają mu przed oczyma drogi, którymi chodziła, drzewa, ludzie i zwierzęta.

Leżała wpatrzona w sufit i opowiadała, spychając go bezwiednie swym otyłym ciałem z łóżka, a on prawie zawsze był pewien, że widzi, jak wśród podłużnych zmarszczek koniuszek jej nosa pochyla się lekko nad ustami, a broda drży, ilekroć zaczyna mówić, głosem urywanym, dobywającym się z głębi gardła, odrobinę nużącym, dla ucha. „Wtedy właśnie pomyślał o zaciągnięciu pożyczki w banku, u lichwiarzy a nawet przyszło mu do głowy, że ja mógłbym dać te pieniądze. Którejś soboty albo niedzieli myślał o podróży Kirsten, gdy odbierał w biurze, z Jacintem, telefony i przyjmował zakłady na gonitwy w Palermo lub La Placie. Są dni słabsze, kiedy zakłady przynoszą zaledwie tysiąc pesos, ale czasami, gdy biegnie jakiś faworyt, pieniądz płynie tak, że przekracza nawet i pięć tysięcy. Montes miał obowiązek dzwonić do mnie przed każdą gonitwą i informować o stanie zakładów; kiedy groziło niebezpieczeństwo – czasem się to czuje – starałem się zabezpieczyć i oddawałem część zakładów dla Veleza, Martina lub Baska. Wpadł na pomysł, że mógłby nie powiadamiać mnie, ukryć trzy lub cztery najpewniejsze zakłady, zatrzymać dla siebie tysiąc biletów i, jeśli odwaga dopisze, postawić wszystko na jedną kartę: podróż żony lub strzał w głowę.

Mógł tak postąpić, gdyby się tylko odważył; Jacinto nie mógł dowiedzieć się, jaką liczbę biletów podaje mi przy każdej rozmowie przez telefon. Montes wyznał, że zastanawiał się nad tym blisko miesiąc, wydaje się to prawdopodobne, myślę, że taki facet jak on musiałby mieć wątpliwości i walczyć ze sobą, zanim zacząłby się pocić ze zdenerwowania między jednym i drugim dzwonkiem telefonu. Założyłbym się jednak o grubą forszę, że nie jest w tym szczerzy, że zrobił to w jednej chwili, że podjął decyzję nagle, uwierzył w siebie i najspokojniej w świecie zaczął mnie okradać pod bokiem tego drania Jacinta, który niczego nie podejrzewał i tylko potem wyjaśnił: „A mówiłem, że za mało tych biletów jak na taki wieczór”. Jestem pewny, że Montes uległ własnemu przecuciu, uwierzył w wygraną i wcale wszystkiego nie planował.

I tak zaczął przejmować zakłady, z czego wkrótce uzbierało się trzy tysiące pesos, więc krążył po biurze zrozpaczony, zlany potem, przyglądał się programom gonitw i goryłowatemu ciału Jacinta w jedwabnej koszuli i wyglądał przez okno na ulicę, która o zmierzchu powoli zapełniała się samochodami. Wtedy właśnie, gdy zrozumiał, że przegrywa, a należności wciąż rosną, setki pesos po każdym jazgocie telefonu, zaczął oblewać go – jak wszystkich tchórzy – tłusty, zielonkawy, zimny pot, z jakim zjawił się w tamto poniedziałkowe południe, kiedy zdołał wreszcie zebrać siły, żeby przyjść do biura i pomówić ze mną.

Napomknął jej o swoich planach jeszcze przed próbą okradzenia mnie: mówił, że niedługo wydarzy się coś ważnego i bardzo pomyślnego, że ma dla niej prezent, którego nie sposób z czymkolwiek porównać, i nie jest to rzecz konkretna, jakiej można by dotknąć. Musiał więc potem z nią porozmawiać i powiedzieć o nieszczęściu; stało się to nie przy stoliku zarezerwowanym u Scopelliego i nie podczas delektowania się zamorskim Chianti, lecz w kuchni, gdy popijali *mate*, a jej okrągła, zwrócona profilem i czerwona od ognia twarz wpatrywała się w płomyk pełgający pod żelazną kuchnią. Nie wiem, jak długo płakali, potem on postanowił odpracować dług, a ona poszukać jakiegoś zajęcia dla siebie.

Druga część tej historii zaczęła się, kiedy ona, po pewnym czasie, przyzwyczała się przebywać poza domem w godzinach, które nie miały wiele wspólnego z jej pracą; spóźniała się, kiedy byli umówieni, i czasami zrywała się w środku nocy, ubierała i wychodziła bez słowa. Nie miał odwagi wspominać o tym, w ogóle mówić zbyt wiele i wypominać cokolwiek wprost, ponieważ żyli z tego, co ona przynosiła do domu, a całym jego zarobkiem u Serrana był kielich, jaki od czasu do czasu mu stawiałem. Nabrał więc wody w usta i pogodził się z myślą, że teraz on zacznie ją dręczyć swoimi humorami, jakże jednak innymi, potęgującymi apatię, która ogarnęła ich tamtego wieczoru, gdy Montes chciał mnie okraść, i która już nie opuści ich zapewne aż do śmierci. Przestał jej ufać i chodziły mu po głowie różne głupie myśli, aż pewnego dnia poszedł za nią i zobaczył, że idzie do portu włokąc ciężko pantoflami po bruku, samotna, i długo potem patrzy odrętwiała w morze, obok tłumy – nie mieszając się z nim jednak – żegnającego statek. Podobnie jak w jej opowiadaniach, nie było tu żadnego mężczyzny.

Tym razem rozmawiali dłużej, a ona wszystko mu wyjaśniła: Montes powtarza raz po raz jeszcze jedną rzecz bez znaczenia, twierdzi uporczywie, jakbym nie chciał mu wierzyć, że wyjaśniła mu to głosem normalnym, że nie była smutna, zmieszana i nie czuła nienawiści. Potwierdziła, że zawsze, bez względu na pogodę, chodzi do portu patrzeć na statki odpływające do Europy. Bał się o nią i chciał z tym walczyć, chciał przekonać ją, że to co robi, jest gorsze od siedzenia w domu, lecz Kirsten odpowiedziała swym normalnym głosem, że jej to pomaga i że musi nadal, dopóki będzie mogła, chodzić do portu, żeby widzieć odpływające statki, pomachać ręką lub po prostu patrzeć tak długo, aż się oczy zmęczą.

I w końcu dał się przekonać, że powinien jej towarzyszyć, w ten sposób spłacić dług zaciągnięty wobec niej, tak jak spłaca mój. I dlatego teraz, w ten sobotni wieczór, podobnie jak przez niejedną noc i niejedno wolne południe przy ładnej pogodzie lub w deszczu, który łączył się z innym, wciąż zalewającym jej twarz, idą razem w kierunku Retiro i dalej, do portu, spacerują po nabrzeżu, aż statek odpłynie, mieszają się z ludźmi niosącymi płaszcze i walizy, kwiaty i chusteczki, a kiedy zawyje syrena i statek zacznie drgać, nieruchomieją i patrzą, patrzą tak długo, jak tylko mogą, myśląc, każde, o sprawach odmiennych i ukrytych, lecz bezwiednie połączeni beznadziejnością i uczuciem, że każde z nich jest samo, co zawsze wydaje się zdumiewające, gdy zastanowić się nad tym.

przełożył Rajmund Kalicki

DOM WŚRÓD WYDM

Díaz Grey z obojętnością przyjął fakt, że został sam, i wkrótce pochłonęło go roztrząsanie jedyne go wspomnienia, jakie w nim chciało pozostać, zmienne i pozbawione daty. Dobywał z pamięci obrazy, ożywiał je i poprawiał, aby nie umarły, uzupełniał ubytki po każdym przebudzeniu się i podbudowywał wspomnienie nieprzewidywanymi zmyśleniami zarówno wówczas, gdy opierał głowę o szybę gabinetu i zdejmował po południu fartuch jak i wtedy, gdy z uśmiechem na twarzy nudził się wieczorem w hotelowym barze. Jego życie, on sam, nie było już niczym innym jak tylko tym wspomnieniem, jedynym godnym przywołania i poprawek, tego, aby wypaczać, raz po raz, jego sens.

Lekarz podejrzewał, z biegiem lat uwierzył w to, że już pierwsza zapamiętana część historii zapowiadała wszystko, co, w najróżniejszych wariantach, wydarzyło się potem, zgodził się nawet z tym, że w perfumach kobiety – ich woń docierała do niego w czasie jazdy z przedniego siedzenia samochodu – zawarte były i zaszyfrowane wszystkie późniejsze wydarzenia, wszystko, co teraz przypominał sobie, ubarwiał, a co być może osiągnie formę doskonałą w dniach jego starości. Odkryje wtedy, że Ryży, strzelba, ostre słońce, historia o zakopanym pierścieniu, prowokujące nieporozumienia w zbutwiałym domku, a nawet końcowy pożar, były już w owym zapachu perfum nieznanego firmy, jaki teraz, nocami, odnajdywał na powierzchni niektórych przesłodzonych trunków.

Samochód pędził wzdłuż morskiego brzegu – początek wspomnienia – a potem zjechał z drogi i zaczął piąć się w górę, wolno i niepewnie, aż Quinteros zatrzymał go i zgasił światła. Díaz Grey nie był ciekaw krajobrazu: wiedział, że dom otoczony jest drzewami i leży wysoko nad rzeką, na uboczu, samotnie, wśród wydm. Kobieta została w samochodzie; oni wyszli. Quinteros dał mu klucze i złożone banknoty. Być może światło zapalniczki, którą kobieta podniosła do papierosa, musnęło przelotnie ich twarze.

– Nie kręć się za dużo i nie denerwuj. Plażą, na prawo, dojdiesz do osady – powiedział Quinteros. – Przede wszystkim nic nie rób. Zobaczmy, jak się to wszystko ułoży. Nie szukaj mnie i nie dzwoń. Zgoda?

Díaz Grey ruszył w stronę domku, kluczył między drzewami i udawał, że chce ukryć swoją białą odzianą postać. Wóz wjechał na drogę i zwiększył szybkość, aż hałas silnika zmieszał się z szumem morza i wkrótce słyszał już tylko morze; zamknął oczy i powtarzał z uporem, że oto żyje w jakimś miesiącu jesieni, przypomniał sobie ostatnie tygodnie wypełnione prawie całkowicie wypisywaniem recept na morfinę w lśniącem gabinecie Quinterosa i przyglądaniem się po kryjomu jego angielskiej kochance – Dolly lub Molly – która chowała je do torebki i kładła dziesięciopesowe banknoty na rogu stołu, nie wręczając mu ich bezpośrednio, nie zamieniając z nim nigdy ani słowa, nie okazując nawet po sobie, że go zauważa, wpatrzona w szybkie i posłuszne ruchy dłoni Díaza Greya nad receptariuszem.

Słoneczne dni na plaży, jakich przed przybyciem Ryżego było wiele, zły się we wspomnieniach w jeden zwykły dzień, który zdołał pomieścić wszystkie wydarzenia: jesienny dzień, prawie gorący, w którym znalazły się, poza tym, jego własne dzieciństwo i mnogość pragnień nigdy nie spełnionych. Nie musiał dodawać ani minuty, żeby widzieć siebie podczas rozmowy z rybakami na lewym krańcu plaży, widzieć, jak patroszy kraby, jak idzie plażą w kierunku osady, do sklepu, gdzie kapował żywność i wypijał parę kieliszków, i odpowiada monosylabami na uprzejme nagabywania sklepikarza. W tym samym, prawie upalnym dniu, kąpał się na opustoszałej plaży i wymyślił sobie, obok tylu innych rzeczy, zbutwiałą belkę kołysaną falami, a nad nią trzy jazgotliwe mewy. Wszedł się i staczał z wydm goniąc wśród krzaków za ważkami, wyczuwając, gdzie mógłby być schowany pierścionek.

A poza tym ziewał na tarasie domku, wyciągnięty na plażowym leżaku, z butelką piwa i jakimś pismem na nogach; zardzewiała i niesprawna strzelba, znaleziona w baraku, opierała się o ścianę powoju.

Díaz Grey siedział znudzony, z butelką, czasopismem i strzelbą, kiedy zza drzew wyszedł Ryży i zaczął się pięć w stronę domu; marynarkę miał przewieszoną przez ramię i szerokie plecy zgięte w pół. Díaz Grey odczekał, aż cień tamtego otrze się o jego nogi; podniósł wtedy głowę i spojrzał na rozwichrzone włosy, chude i piegowate policzki; wypełniło go mieszane uczucie litości i odrazy, które trwało potem we wspomnieniach niezmacone, silniejsze nad kaprysy pamięci lub wyobraźni.

– Przysłała mnie doktor Quinteros... Jestem Ryży – obwieścił z uśmiechem; z ręką wspartą na kolanie oczekiwał jakiejś niezwyklej zmiany, jaką jego imię miało wprowadzić w krajobrazie, umykającym poranku, wreszcie w samym Díaz Greyu i jego przeszłości. Był tęższy od lekarza, nawet teraz, gdy onieśmielony zgiął plecy w przedwczesny garb. Niewiele ze sobą rozmawiali, Ryży odsłonił rząd drobniutkich jak u dziecka zębów, wyjąkał coś i skierował wzrok w stronę rzeki.

Díaz Grey dalej mógł trwać w bezruchu, równie samotny, jak gdyby tamten w ogóle nie przybył, nie wyciągnął ręki i nie otworzył dłoni, aby upuścić marynarkę, jak gdyby nie przykucnął i nie usiadł na tarasie ze zwieszonymi nogami i tułowiem przesadnie skrzyconym w kierunku plaży. Lekarz przypomniał sobie historię choroby Ryżego, napuszony opis piromanii sporządzony przez Quinterosa, z którego wynikało, że ten rudy półgłówek, manipulator zapalkami i puszkami z benzyną w północnych prowincjach, próbował utożsamić się ze słońcem i zaprotestować przeciw własnej ofierze w mrokach matczynego łona. Być może teraz, zapatrzony w odbłaski na wodzie i piachu, rozpamiętywał, upoetycznione i konieczne, pożary, o których opowiedział Quinterosowi.

– Nie jemy? – zapytał Ryży wieczorem. Dopiero wtedy Díaz Grey przypominał sobie, że tamten jest tutaj, że siedzi, zgięty, ze swą okrągłą głową wyciągniętą w stronę piaszczystej kurzawy, jaką zaczęły wzbijać podmuchy wiatru. Zaprosił go do środka i razem jedli, próbował go spoić, żeby dowiedzieć się o czymś, co go niewiele obchodziło: czy przyjechał tu żeby się ukryć, czy też żeby go pilnować. Ale Ryży, kiedy jadł, mówił niewiele; wypijał każdą szklanekę wina, jaką mu podsuwano, a potem rozłożył się, boso, pod ścianą.

Później nastaly dni słoty, okres mgieł, które wplątywały się między drzewa i opadały szybko, zwiędłe, zamazując niekiedy lub ożywiając w innych barwach liście rozgniecione na piachu. „Nie ma go” – myślał Díaz Grey przyglądając się skurczonej i milczącej postaci Ryżego, patrząc, jak ten stąpa boso, rozpycha ramionami wilgoć i trzęsie się niczym mokry pies.

Z ręką na wpół wyciągniętą, z uśmiechem, który zdradzał długie oczekiwanie na cud niemożliwy, Ryży zawładnął strzelbą. Nocami, koło lampy, zaczął się nad nią pochylać, manipulować przy niej i oliwić – z tępym niedowierzaniem – śrubki i sprężyny; rano ginął we mgle z bronią na ramieniu lub przy nodze.

Lekarz znalazł resztki jakichś skrzynek, jakieś papiery, szmaty, dołożył kilka prawie suchych gałęzi i którejs nocy rozpałił ogień na kominku. Płomienie oświetliły dłonie zgięte nad przełamana strzelbą; Ryży podniósł wreszcie głowę i spojrzął w ogień, nieruchomo, z roztargnionym spojrzeniem człowieka, któremu migotanie światła, łagodne zaskoczenie iskierkami pomaga tylko śnić. Potem podniósł się, żeby poprawić położenie pni, rozgarnął je niedbale i znowu usiadł na niewielkim kuchennym stołku, jaki sam sobie wybrał, i wziął do ręki strzelbę. Na długo przed wygaśnięciem ognia wyszedł na inspekcję nocy, mgła przerodziła się już w mżawkę i zaczęła stukać o dach. Wrócił trzęsąc się z zimna, a lekarz widział, jak obojętnie przeszedł obok żarzącego się popiołu, który zaczerwienił jego mokłą twarz, potem wyciągnął się na łóżku i natychmiast zasnął, twarzą do ściany, obejmując strzelbę. Díaz Grey zarzucił mu na zabłocone nogi jakąś szmatę, pieszczotliwie poklepał po głowie i zostawił śpiącego, przemienionego w psa; czuł przez następne dni i noce, że znowu jest sam, aż do ranka, kiedy na chwilę ukazało się słońce. Zeszli wtedy na plażę – Ryży zobaczył, że lekarz wychodzi, i ruszył za nim, zatrzymując się czasami, żeby mierzyć strzelbą do tych nielicznych ptaków, jakie potrafił sobie wyobrazić, i biegł potem tak, że prawie się z nim zrównywał – aż brzegiem doszli do osady. Z plażową torbą pełną jadła i butelek wracali, gdy niebo już się chmurzyło; lekarz widział, jak szerokie, bose stopy Ryżego depczą te rozliczne miejsca, gdzie mógł być zagrzebany pierścionek.

Padalo przez cały dzień i Díaz Grey wstał, żeby zapalić lampę minutę wcześniej, nim usłyszał na drodze hałas motoru. Odtąd zaczynają się chwile, które zasilają resztę wspomnień i nadają im zmienny sens; jak noce i dni poprzedzające przyjazd Ryżego zwały się w jeden słoneczny dzień, tak ta część wspomnień zatarła się i ożyła stopniowo w któreś dżdżyste popołudnie spędzone w domu.

Słyszał, jak rozmawiają pnąc się do domku, poznał głos Quinterosa, odgadł, że kobieta, która przystawała ze śmiechem, była tą samą: spojrzął na Ryżego, nieruchomy i niemy siedział na stołku obejmując kolana; postawił płonąca lampę na stole, między nim a tymi, którzy mieli wejść.

– Hej, hej – powiedział Quinteros. Uśmiechał się, okazywał przesadne zadowolenie; dotknął wilgotnego ramienia kobiety, jakby prowadził ją na powitanie. – Myślę, że się już znacie? – Ona podała mu rękę i jednym zdaniem napomknęła coś o nudzie i samotności. Díaz Grey rozpoznał zapach perfum, wiedział, że się nazywa Molly.

– Sprawy są prawie załatwione – powiedział Quinteros. – Wrócisz do bandaży i jodyny z nieskalanym dyplomem. Nie miałem innego sposobu, jak przysłać ci to zwierzę; mam nadzieję, że ci nie przeszkadza, jakoś wytrzymujesz. Nie mogłem tego załatwić w inny sposób; uwaga na zapalki.

Molly podeszła do kąta, gdzie Ryży kotłował się, aż jęczał stół. Dotknęła jego głowy i przykucnęła, żeby postawić mu kilka zbędnych pytań, na które sama musiała udzielić oczywistych odpowiedzi. Díaz Grey zrozumiał, podniecony, że potrafiła odkryć jednym tylko spojrzeniem, być może węchem, że Ryży przemienił się w psa. Pochylił się i zaczął manipulować przy knocie lampy, aby ukryć twarz przed Quinterosem. – Bardzo mi tutaj dobrze. Najlepsze wakacje w życiu. A Ryży wcale mi nie przeszkadza; nie mówi wiele, zakochał się w strzelbie. Dla mnie może to wszystko trwać bez końca. Jeśli chcecie coś zjeść...

– Dziękuję – odparł Quinteros. – Jeszcze tylko parę dni, a wszystko będzie załatwione. – Ona wciąż przykucnięta koło uśmiechu Ryżego zamiatała płaszczem podłogę. – Myślę jednak, że trochę ci zepsuje wakacje. Czy masz coś przeciw temu, żeby Molly została tutaj na kilka dni? Dobrze jest wycofać ją z obiegu.

– Nie chodzi o mnie – odrzekł Díaz Grey, oderwał nagle od lampy drżącą dłoń. – Ale ona, mieszkać tutaj...

Odszedł od stołu dotykając ścian pokoju rękoma, wszedł i wyszedł z kręgu perfum.

– Jakos się urządzi – powiedział Quinteros. – Prawda, że dasz sobie radę? Dwa lub trzy dni.

Podniosła głowę i spojrzała na Quinterosa. – Mam Ryżego, który będzie mi śpiewał.

– Ona ci wszystko wyjaśni, jeśli zechce – rzekł Quinteros. – Pożegnał się prawie natychmiast i oboje, objęci, zeszli wolno, choć deszcz moczył i rozczesywał kobiece włosy.

Quinteros znika teraz aż do końca wspomnień i w ospały, jedyny dżdżysty wieczór kobieta wybiera miejsce, gdzie postawić łóżko, kieruje pracą Ryżego, który opróżnia ze zbędnych przedmiotów niewielki pokój wychodzący na zachód. Kiedy sypialnia jest już gotowa, kobieta zdejmuje nieprzemakalny płaszcz, nakłada plażowe pantofle, przesuwa lampę na stole, narzuca nowy styl życia, podaje wino w trzech szklankach, rozdaje karty i stara się wyjaśnić wszystko tylko za pomocą uśmiechu, przyglądając swą mokrą fryzurę. Grają raz i drugi, lekarz zaczyna rozumieć twarz Molly, jej niebieskie i niespokojne oczy, zawziętość szerokiej szczęki, łatwość, z jaką jej usta potrafią się cieszyć lub na oczekaniu być pozbawione wyrazu. Jedzą i znów popijają, ona żegna się i idzie spać; Ryży przeciąga swe łóżko pod drzwi kobiecej sypialni i kładzie się ze strzelbą na piersiach, postukuje piętą o podłogę, żeby Díaz Grey wiedział, że nie śpi. Grają w karty tak długo, aż kiedyś wypija za dużo wina i wypuszcza z rąk karty, które Ryży właśnie jej podał, otwierając tylko dłoń, ale bardziej stanowczo, niż gdyby cisnęła nimi o stół, właśnie w ten sposób postanawiając, że więcej już grać nie będą.

Ryży wstaje, zbiera karty i rzuca je w ogień kominka. Pozostaje teraz tylko, myśli lekarz, pogłaskać Molly lub z nią porozmawiać; znaleźć i powiedzieć takie czyste zdanie, które napomknęłoby o miłości. Wyciąga ramię i dotyka jej włosów, zdejmuje kosmyk z uszu, opuszcza go i znów podnosi. Ciężka strzelba Ryżego, trzymanej teraz za lufę, pada na stół. Díaz Grey podnosi pukiel i opuszcza go wyobrażając sobie za każdym razem łagodne uderzenia, jakie musi odczuwać jej ucho.

Ryży mówi coś nad ich głowami, potrząsa strzelbą i jej cieniem, powtarza nazwisko Quinterosa, kończy i zaczyna na nowo to samo zdanie, nadając mu sens bardziej przejrzysty lub zawiły, zależnie od tego, czy Molly patrzy na niego, czy też spuszcza oczy. Strzelba uderza Díaz Greya w przegub dłoni i przyciska ją do stołu.

– Nie można tak robić! – krzyczy Ryży.

Díaz Grey dalej odrywa kosmyki włosów od ucha palcami, które ledwie może wyprostować, Molly podnosi ręce i łączy je ziewając. Wtedy Díaz Grey czuje ból w dłoni i myśli, nie znajdując już pocieszenia, że być może jest złamana. Kobieta kładzie każdemu z nich dłoń na piersi. Ryży siada znowu na stołku koło wygasłego kominka, a Díaz Grey, chcąc uśmierzyć ból pełznący w górę ramienia, pcha zboląłą dłoń w usta Molly, które cofają się, opierają i rozwierają. Wtedy nadchodzi chwila, w której lekarz postanawia zabić Ryżego, i poniża się tak bardzo, że ukrywa pod koszulą, na brzuchu, nóż do patroszenia ryb, krąży przed Ryżym tak długo, aż zimne ostrze ogrzewa się, a w drzwiach, wśród przestawionych mebli pokoju, ukazuje się Molly, wyciąga ramiona i, sama siebie oskarżając, kusi nieokreślone przeznaczenie.

Lekarz, pozbywszy się noża, leży na łóżku i pali papierosa; słucha deszczu bijącego o dach, o powierzchnię niezmaconego zmierzchu. Ryży z zepsutą strzelbą na ramieniu pęta się pod drzwiami Molly, cztery kroki, zwrot, cztery kroki.

Deszcz wściekle uderza o dach i liście, potem, wyczerpany, ustaje; trwają teraz w pełnej wyczekiwania ciszy, wpatrują się przez drzwi i okna w szary krajobraz, przybierając pozy jakiejś muzealnej rzeźby, jedna ręka wyciągnięta, wszystkie uczucia wyrażone jak na dłoni. Przynajmniej ona i Díaz Grey; Ryży przeczuwa nieszczęście i krąży po pokoju, pojękuje i wlecze broń kolbą po ziemi. Lekarz czeka, aż szybkość jego kroków zwiększy się, stanie się szalona, czym wystraszy Molly, i wreszcie osłabnie.

Kiedy Díaz Grey zaczyna swą podróż między komórką a kominkiem, znosząc wszystko, co tylko się pali, tamten wciąż krąży, dysząc, intonując pieśń, której ona nie chce słuchać, choć ruchami głowy udaje, że mu akompaniuje. Oparta o futrynę drzwi wydaje się wyższa i szczuplejsza; ma na sobie marynarską bluzę i plażowe spodnie. Ryży powłóczy stopami i zawodzi, ona kiwa głową z chytryością i nadzieją, a tymczasem Díaz Grey zapala zapalki, płomyki ogniska pną się w górę i trzaskają w powietrzu. Nie oglądając się do tyłu, nie próbując nawet dowiedzieć się, co się dzieje, Díaz Grey wchodzi do pokoju Molly. Wyciągnięty na łóżku nuci pieśń Ryżego, spogląda na palce Molly na sprzączce paska, milknie odgadując, że dla tej gry cisza jest stosowniejsza. Znowu wzmagą się szum deszczu, a chmury rwą się, zatrzymują smutne światło wieczornego, dżdżystego zmierzchu. Przytuleni do siebie policzkami widzą przez okno, jak Ryży oddala się, przecina plażę i idzie brzegiem, skrajem piachu i wody wyznaczonym strużką zakrzepłej piany.

– Molly – mówi Díaz Grey. Wie, że trzeba uciec od słów, żeby można było wzajemnie oszukiwać, wierzyć, że to, co teraz robią, jest ważne i przywołać uczucie, już niewątpliwe, trwałości. Díaz Grey nie może jednak nie wymawiać jej imienia.

– Molly – powtarza, pochylony nad jej najnowszą wonią. – Molly.

Ryży stoi teraz sztywno koło zimnego kominka ze strzelbą wspartą na palcach stopy. Ona siada przy stole i pije; Díaz Grey obserwuje Ryżego nie tracąc z oczu poplamionych winem zębów Molly, odsłanianych powtarzającym się grymasem, który nawet nie próbuje być uśmiechem. Ona stawia szklankę, wzdyga się, mruczy coś do siebie po angielsku. Ryży dalej pilnuje martwego ogniska, podczas gdy Molly domaga się ołówka, zapisuje jakiś wiersz i każe Díaz Greyowi przeczytać go i zachować na zawsze, cokolwiek by się stało. Na twarzy kobiety maluje się taka rozpacz, że Díaz Grey odważa się spojrzeć, porusza ustami, jak gdyby czytał, i ostrożnie chowa zapisaną kartkę, podczas gdy jej uczucia błędzą wśród uniesień i szlochu.

– Ja go napisałam, jest mój – kłamie. – Jest mój i twój. Chcę ci wytłumaczyć, co znaczy, chcę, żebyś się go nauczył na pamięć.

Cierpliwa i rozzulona, każe mu powtarzać, poprawia go i zachęca:

Here is that sleeping place,

Long resting place.

No stretching place,

That never-get-up-no-more.

Place

Is here.

Wychodzą na poszukiwanie Ryżego. Trzymając się pod rękę idą dróżką, na której widzieli go kiedyś, w tamten niespokojny wieczór; schodzą, z trudem, krok za krokiem, zbliżają się do brzegu i dochodzą aż do osady, do sklepiku. Díaz Grey zamawia szklanekę wina i opiera się o ladę, ona znika na chwilę w głębi sklepiku, krzyczy coś i mamrocze w kącie przy telefonie. Kiedy wraca, ma na ustach uśmiech nowy, uśmiech, który wzbudziłby niepokój lekarza, gdyby skierowała go do innego mężczyzny.

Wracają w lekkiej mżawce, jak gdyby deszcz znów chciał ich zbliżyć. Kobieta przystaje.

– Nie znajdziemy Ryżego – mówi nie patrząc na niego. Podnosi usta, aby Díaz Grey mógł ją pocałować, i kiedy rozdzielają się, zostawia mu w dłoni pierścionek. – Za to możemy żyć miesiącami, wszędzie. Chodźmy po moje rzeczy.

Kiedy tak szybkim krokiem idą brzegiem, Díaz Grey daremnie szuka słów i spojrzenia, jakim chciałby pożegnać Ryżego. I właśnie teraz, niedaleko brzegu, pływa zbutwiała belka, unoszona i zatapiana raz po raz przez fale, a trzy mewy z piskiem krążą po niebie.

Ona dostrzega samochód wcześniej niż Díaz Grey i rusza biegiem, ślizgając się po piachu. Lekarz widzi, jak wspina się na wydnię, z otwartymi ramionami, traci równowagę i znika; zostaje sam na opustoszałej plaży z wiatrem kłującym w oczy. Odwraca się, żeby je osłonić, w końcu siada na piachu. I wtedy – czasami jest to późny zmierzch, innym razem pełnia południa – wykopuje w piachu dół, wrzuca tam pierścionek i zasypuje go, powtarza to osiem razy, w miejscach, gdzie stąpił Ryży, lub które on sam wskazał jednym tylko spojrzeniem. Osiem razy grzebie na deszczu pierścionek i oddala się, idzie w stronę morza, stara się zwieść własny wzrok patrząc na wydmy, rachityczne drzewka, dach domu, samochód na zboczu. Ale zawsze wraca, bez wahania, prosto do miejsca ukrycia, zanurza palce w piachu i dotyka pierścionka. Potem, z twarzą zwróconą ku niebu, odpoczywa, pozwala się moczyć kroplom deszczu i uspokaja się; niespiesznie rusza w stronę domu.

Ryży wyciągnął się koło wygasłego kominka i żuje coś powoli, trzymając w ręku szklanekę wina. Kobieta i Quinteros szepczą żywo, zwróceni do siebie twarzami, tak długo, aż nie sposób udawać, że nie słyszą jego kroków.

– Cześć – mówi Quinteros i uśmiecha się, wyciąga dłoń, na głowie ma jeszcze pomięty kapelusz.

Díaz Grey przysuwa krzesło i siada obok Ryżego; gładka go po głowie i poklepuje, coraz mocniej, czekając, aż ten wybuchnie gniewem i będzie mógł mu dać w zęby. A tamten żuje nadal i ledwie się odwraca żeby spojrzeć; wówczas Díaz Grey pozwala dłoni odpocząć na rudych włosach i patrzy na kobietę i Quinterosa.

– Wszystko załatwione – mówi Quinteros. – Wątpliwości interpretujemy na korzyść podejrzanego, żeby powtórzyć słowa sędziego. Jeśli martwiłeś się, myślę, że teraz... Chociaż, oczywiście, możecie zostać tutaj, jak długo chcecie.

Zbliża się i pochyla, żeby wręczyć mu nowy zwitek banknotów. Kiedy Molly kończy się malować i zapinać pod szyją swój nieprzemakalny płaszcz, Díaz Grey podnosi się i otwiera w świetle, przy twarzy kobiety, dłoń z leżącym na niej pierścieniem. Ona bez słowa – musimy przyjąć, że scena ta odbyła się późnym wieczorem – ujmuje go za palce i zgina je, jeden po drugim, aż ukrywa pierścionek.

– Jak długo będziesz chciał – powtarza Quinteros w drzwiach. Díaz Grey i Ryży słyszą hałas oddalającego się silnika, potem ciszę i szum morza.

Na tym kończy się, we wspomnieniach, długi deszczowy wieczór zapoczątkowany przybyciem Molly do domu wśród wydm; znowu można odmierzać wydarzenia zwykłym biegiem czasu.

Ryży podnosi się z takim przejęciem, jak gdyby chciał powiedzieć, że rozumiał wszystko wcześniej niż Díaz Grey, i zwraca ku drzwiom, w stronę słabnącego deszczu, swą twarz uczłowieczoną przez zaskoczenie i smutek. Po raz pierwszy dotyka lekarza, chwyta go za ramię i zdaje się nabierać sił poprzez to zbliżenie, potem podnosi się i wybiega z domu.

Díaz Grey otwiera dłoń i zbliża ją do światła, żeby obejrzeć pierścionek i zdmuchnąć przyklejone ziarenka piasku, kładzie go na stole i wolno wypija szklankę wina, jakby mu smakowało, jakby pozostawało mu jeszcze coś, o czym może rozmyślać. Jeszcze czas, mówi do siebie i jest pewien, że Ryży nie potrzebuje pomocy. Kiedy wreszcie postanawia wyjść, odnajduje i analizuje obojętnie ostatnie wrażenie, jakie może włączyć do tego mglistego wieczoru: smugę szkarłatnego światła, która rozciąga się wysoko nad drzewami. Zapala papierosa i rusza ku ścianie domu, do której przylega barak; myśli obojętnie, że jednak zostawił sobie pierścionek, że zapomniał na stole kartki z wierszem, że być może rozmyślny cynizm pozwoli mu oczyścić się z tej namiastki uczucia i własnej śmieszności.

Ilekcję Díaz Grey w swym gabinecie przy głównym placu prowincjonalnego miasteczka zaczyna litować się nad sobą roztrząsając to jedyne wspomnienie, zmuszony jest wówczas łączyć nieudaną przeszłość ze świadomością obecnej słabości, głowę o rzadkich, jasnych włosach wspartą o szybę okna z uczuciem, samotności, z którą pogodził się, gdy była już nie do pokonania. Z trudem również dopuszcza myśl, że jego pedantyczny żywot, ciało wyzbyte lubieżności, łagodne przekonania są symbolami zasadniczej pretensjonalności wspomnień, jakie od lat stara się w sobie podtrzymywać.

W ulubionym zakończeniu tych wspomnień Díaz Grey wali się koło domu na mokry piach. Szaleństwo Ryżego, który ściąga gałęzie, papiery, deski i resztki mebli pod drewnianą ścianę domku, doprowadza go do spazmatycznego śmiechu, każe mu krztusić się kaszlem i tarzać po ziemi; kiedy czuje zapach benzyny, obezwładnia Ryżego jednym władczyim gwizdem, zbliża się do niego stąpając po wilgotnych liściach, wyjmując z kieszeni pudełko zapalek i potrząsa nim koło ucha ślizgając się na mokrych liściach i podchodząc coraz bliżej.

przełożył Rajmund Kalicki

UŚMIECHY PIEKIEŁ

HISTORIA KAWALERA Z RÓŻĄ I CIĘŻARNEJ DZIEWICY Z LILIPUTU

1

W pierwszej chwili pomyśleliśmy, że znamy tego mężczyznę od dawna, jego przeszłość i przyszłość. Piliśmy właśnie ciepławe piwo w ogródku przed Universalem; zapadała z wolna noc późnego lata, powietrze wokół platanów zastygło w oczekiwaniu, a chępliwe grzmoty zdawały się groźnie zbliżać od strony rzeki.

– Patrzcie – wyszeptał Guiñazú, odchylając się na metalowym krześle. – Tylko niezbyt natrętnie. Bez zachłanności i ostrożnie, nie dowierzajcie sobie. Jeśli będziemy przyglądali się obojętnie, jest nadzieja, że rzecz będzie trwała, że się nie rozwieją, że w pewnej chwili usiądą, zawołają kelnera, zamówią coś do picia, że będą naprawdę istnieć.

Spoceni i oczarowani, zapatrzyliśmy się w stolik przy wejściu do kawiarni. Dziewczyna była drobna i pełna, miała na sobie obcisłą sukienkę rozpiętą na piersiach, brzuchu i udzie. Wyglądała na bardzo młodą i zdecydowaną szukać szczęścia; nie umiała zamknąć roześmianych ust. Założyłem się, że ma dobre serce, i przepowiedziałem jej parę zmartwień. Z papierosem w ustach, pożądlivych i pełnych, z jedną ręką na włosach, zatrzymała się przy stoliku i rozejrzała dookoła.

– Założmy, że wszystko jest w porządku – powiedział stary Lanza. – Jest nazbyt bliska doskonałości jak na mieszkankę Liliputu, nazbyt pewna siebie i wyzywająca jak na dziecko przebrane za kobietę. Nawet na nas spojrziała, chyba oślepiła ją światło. Zresztą i tak liczą się intencje.

– Możecie dalej patrzeć – zezwolił Guiñazú – ale milczcie. Być może rzeczywiście są takimi, jakimi ich widzimy, może naprawdę przebywają w Santa Marí.

Mężczyznę trudno było jednoznacznie określić, a niepokój i zmienność czyniły go żywym, trwałym i niepowtarzalnym. Był młody, szczupły, niezwykle wysoki; był nieśmiały i zarazem zuchwały, nieszcześliwy i jednocześnie wesoły.

Niezdeterminowanie kobiety; poruszyła dłonią wyrażając jakby niechęć do stolików i gości siedzących w ogródku, gniewny pomruk burzy, stąpała po ziemi pozbawionej piękna i niespodzianek. Chłopiec postąpił krok, żeby podsunąć dziewczynie krzesło i pomóc usiąść. Uśmiechał się na powitanie, pogłaskał jej włosy, a potem dłonie, opadając powoli, aż jego szare spodnie, bardzo wąskie w łydce i kostce, dotknęły krzesła.

Z tym samym uśmiechem, z jakim zwracał się do dziewczyny, a który ona odwzajemniła, rozejrzał się, żeby zawołać kelnera.

– Już spadła pierwsza kropla – powiedział Guiñazú. – Od rana zbiera się na deszcz i akurat teraz musi zacząć padać. Zamaże, rozpuści wszystko, cośmy oglądali i z czym już się prawie pogodziliśmy. Nikt nie będzie chciał nam wierzyć.

Mężczyzna zwrócił na chwilę głowę w naszą stronę, być może patrzył na nas. Ze swą ciemną i lśniąca czupryną, która opadała mu na czoło, w dziwnym garniturze z szarej flaneli, do którego krawiec przytwierdził niewielką, sztywną różę, z czujną i pełną nadziei obojętnością, z życzliwością wobec życia starszą niż on sam.

– A może mieszkańcy Santa Marí – obstawał Guiñazú – zauważą ich i zaczną coś podejrzewać, a przynajmniej poczują lęk lub nienawiść, nim ostatecznie deszcz ich wymaże. Być może komuś wydadzą się dziwni, nazbyt piękni i szczęśliwi, i podniesie głos alarmu.

Kiedy zjawił się kelner, przez chwilę naradzali się; mężczyzna głaskał dłońe dziewczyny, cierpliwie coś proponował, był panem czasu i dzielił go z nią. Pochylił się nad stołem, żeby pocałować jej oczy.

– Nie patrzmy teraz na nich – doradził Guiñazú.

Słuchałem posapywań starego Lanzy, kaszlu, który towarzyszył każdemu zaciągnięciu się papierosem.

– Najrozsądniej byłoby zapomnieć o nich, nikomu o niczym nie mówić.

Lunał deszcz i pamiętam, że nie słyszeliśmy już grzmotów od strony rzeki. Mężczyzna zdjął marynarkę i okrył plecy dziewczyny, prawie się przy tym nie poruszając, nie przestając składać jej dowodów swego oddania, jakby chciał uśmiechem wyznać, że żyć jest jedynym możliwym szczęściem. Dziewczyna podniosła kołnierz i przyglądała się rozbawiona ciemnym plamom rosnącym na jego żółtej, jedwabnej koszuli zmoczonej strugą deszczu.

Światło neonu odbijało się w kroplach wody na dostojnej i biednej różyczce wyrastającej z butonierki. Nie odrywając oczu od męża – zauważyłem właśnie obrączki na dłoniach połączonych nad stołem – pochyliła głowę, aby nosem musnąć kwiat.

W bramie, gdzieśmy się schronili, stary Lanza przestał kasłać i powiedział coś uszczypliwego o kawalerze z różą. Wybuchliśmy śmiechem, oddzieleni od tej pary poszumem ulewy, i pomyśleliśmy, że zdanie to dobrze określa chłopca i że zaczynamy go z wolna poznawać.

Nic, czego się potem o nich dowiadaliśmy, nie budziło mego zainteresowania, aż do chwili, gdy mniej więcej po miesiącu para zamieszkała w Las Casuarinas.

Dowiedzieliśmy się, że byli na balu w Klubie Progreso, choć nie wiadomo, kto ich tam zaprosił. Ktoś z nas widział, jak dziewczyna tańczyła całą noc, drobna i ubrana na biało, nie zapominając nigdy, ilekroć zbliżała się do długiego i ciemnego bufetu, przy którym jej mąż rozmawiał z najstarszymi i najzamożniejszymi członkami Klubu, nie zapominając przesiać mu uśmiechu tak czułego, tak spontanicznego i szczerego, że nie sposób było jej nie wybaczyć.

Natomiast on, szczupły i wysoki, szczupły, choć pełen energii, jeszcze raz szczupły i wszechobecny, tańczył tylko z kobietami, które mogłyby mu – nawet gdyby tego nie czyniły – opowiadać o braku zrozumienia u własnych mężów i egoizmie dzieci, o dawnych balach, kiedy tańczyło się walca, one-stepsa i kończyło posuwistym periconem, piło się lemoniadę i mazagran.

Tańczył tylko z nimi i ledwie parę razy skłonił przed ich córkami i pannami swe wysmukłe ciało ubrane w czerń, piękną głowę z uśmiechem wolnym od przeszłości i uprzedzeń, pełnym ufności w nieśmiertelne szczęście. Ale i to czynił z uprzejmym roztargnieniem, w przelocie. One, dziewice i młode małżonki – opowiada naoczny świadek – te, które zgodnie z kobietą paplaniną nie zaczęły jeszcze żyć i te, które przedwcześnie żyć przestały i przeżuwały teraz, rozżalone, własną gorycz i porażki, znalazły się tam jakby tylko po to, aby wypełnić lukę między dojrzałymi kobietami i mężczyznami, zappełnić miejsca między balowym parkietem i niewygodnymi stołkami przy barze, gdzie w półmroku wolno sączono trunki i rozprawiano o wełnie i zbożu. Opowiada naoczny świadek.

Razem zatańczyli ostatnią melodię, a potem zgodnie i uparcie kłamali, aby wykręcić się od wspólnej kolacji. Mężczyzna pochylał się, cierpliwie i powściągliwie, nad leciwymi dłońmi, które ścisnął nie odważywszy się ich pocałować. Był młody, szczupły, silny, był tym, czym pragnął być, i nie dopuszczał uchybień.

Podczas kolacji nikt nie zapytał, kim są i kto ich zaprosił. Jakaś pani przypomniała sobie w chwili ciszy ukwieconą gałązkę, którą dziewczyna nosiła w lewej klapie białego kostiumu. Mówiła niewiele, nie wydawała sądów, wspomniła tylko tę gałązkę rajskiej jabłoni przypiętą złotą broszą do kostiumu, zerwaną być może z jakiegoś drzewa na opustoszałej ulicy, w ogrodzie pensjonatu, gdzie zamieszkali wkrótce po tym, jak wyprowadzili się z Hotelu Victoria, w jakiejś kryjówce, której nikomu z nas nie udało się odkryć.

Prawie każdego wieczoru Lanza, Guiñazú i ja rozmawialiśmy o nich w Kawiarni Berneńskiej lub w Universalu, gdy tylko Lanza kończył korektę w redakcji i dołączał do nas; lekko utykając stąpał powoli, dobroduszny i słabowity, po słonecznych plamach, jakie sączyły się przez zastygłe w bezruchu konary drzew.

Lato było mokre, a ja bliski pogodzenia się z myślą, że oto zbliża się starość, chwyciłem się zbawiennej myśli, że przecież jeszcze nie w tej chwili. Spotykaliśmy się z Guiñazú i rozmawialiśmy o mieście i zachodzących w nim zmianach, o testamentach i chorobach, o suszy i małżeńskich zdradach, o zastraszającym tempie, z jakim przybywa nowych, nieznanym ludzi. Oczekiwałem starości, tak jak Guiñazú czekał być może bogactwa. O naszej parze nie rozmawialiśmy, dopóki Lanza nie wyszedł – o różnej zresztą porze – z redakcji „El Liberala”. Kuśtykał ku nam, jeszcze bardziej wynędzniały, zanosił się najpierw kaszlem, przeklinał naczelnego i cały ród Malabia, a potem prosił o małą kawę zamiast apéritifu i brudną chusteczką przecierał okulary. Bardziej słuchałem wtedy Lanzy niż Guiñazú, chciałem opanować sztukę starzenia się. Ale nic z tego, tej oraz paru innych rzeczy nie można się nauczyć od innych.

Ktoś z nas napomykał o tej parze, a pozostali mówili, co im było wiadome, nie zastanawiając się, czy jest tego dużo, czy mało, jak to między prawdziwymi przyjaciółmi.

Tańczą, są tancerzami, to na pewno można stwierdzić; i nic nadto, gdybyśmy przysięgli mówić tylko o wydarzeniach prawdziwych, aby poznać lub odkryć całą prawdę. Ale niczego sobie nie przysięgaliśmy. W ten sposób kłamstwa, jakich każdy z nas mógł dostarczyć, o ile pochodziły z pierwszej ręki i nie przeczyły prawdzie, jaką wszyscy trzej przeczuliśmy, były użyteczne i mile widziane. Hotel Plaza nie jest już dla nich wystarczająco nowoczesny i elegancki. Mam na myśli przyjezdnych w ogóle, i cieszę się, że tak jest. Jeśli zaś chodzi o tę parę, przyплыли promem i skierowali się od razu do hotelu Victoria, dwa pokoje z łazienką, bez wyżywienia. Możemy wyobrazić ich sobie na pokładzie, jak objęci przyglądają się wszystkiemu z ciekawością lub obojętnością i bronią przed zwodniczym lekceważeniem i optymizmem, od chwili gdy tylko statek ruszył z prądem rzeki i skierował się do portu Santa María. Odmierzają każdy metr budynków wyższych niż jednopiętrowe, obliczają możliwości manewrowania promu, wypatrują miejsc niebezpiecznych i zasadzek, oceniają spiekotę naszego letniego południa. Razem, on lewą ręką osłania całe nieomal drobne ciało zamyślanej dziewczyny, ona spogląda na nasz brzeg niby zamyślane dziecko i skubie wargami płatki róż, które kupił jej na przystani w Salto. Potem jadą do hotelu Victoria najnowszym modelem samochodu spośród wszystkich stojących na przystani w hałaśliwym szeregu; w godzinę później rusza za nimi furgonetka z walizami i kufrem. Mają list polecający do grubego, wyniosłego prawnika generała Latorre i mało prawdopodobne jest, aby wiedzieli już tego pierwszego dnia, że go nie znamy, że jest dla nas obojętny, że staramy się o nim zapomnieć i nie wiązać go z mitem generała Latorre, budowanym uporczywie, w naiwności lub złej wierze, przez trzy zagubione i nostalgiczne pokolenia. Dowiedzieli się w każdym bądź razie, że prawnuk wyjechał do Europy.

„Nie szkodzi – powiedział on, z krótkim, szczerym uśmiechem. – Miejsce jest miłe, możemy tu zostać przez pewien czas”.

Tak więc zostali, ale już nie w hotelu Victoria. Zwolnili dwa pokoje z łazienką i ukryli się gdzieś tak skutecznie, że spotykaliśmy ich tylko wieczorami na kolacji w kawiarni Plaza, w Berneńskiej lub w którejś z restauracji nabrzeża, bardziej malowniczych i tańszych. Tak było przez tydzień lub dziesięć dni, aż do balu w Klubie Progreso. Potem była przerwa, kiedy myśleliśmy, że się zgubili na zawsze, kiedy puszczailiśmy wodze fantazji i opisywaliśmy ich przyjazd do jakiegoś innego miasta na wybrzeżu, zadufani i odrobinę próżni, trochę zrzędlivi z powodu regularnej monotonii naszych triumfów, po to tylko, aby dalej snuć opowieść: „Życie zawsze piękne”, lub przedstawiać fałsz: „Miłość doskonała”. Nigdy jednak nie mogliśmy się zgodzić co do nazwy statku, a ja przeciwstawiałem wszystkim nikczemnym teoriom wyjaśnienie teologiczne, nie mniej absurdalne niż rzeczywiste zakończenie tej historii.

Przerwa skończyła się, kiedy dowiedzieliśmy się, że mieszkają, a przynajmniej sypiają, w jednym z krytych czerwoną dachówką domków na plaży, jakich tuzin kupił Specht – za cenę, którą sam podał, ale płatne gotówką – od starego Petrusa, kiedy to stocznia zaczęła podupadać i kiedy melancholijnie powtarzaliśmy, że chyba już żaden pociąg nie ruszy torami, których połowę, po ćwierć z każdej strony, położono między El Rosario i Portem. Sypiali więc, od północy do dziewiątej rano, w jednym z dawnych domków Petrusa. Szofer Spechta – Specht był wtedy prezesem Klubu Progreso – przywoził ich i odwoził. Nigdy nie udało się nam dowiedzieć, gdzie jedzą śniadania, bo pozostałe posiłki spożywali w domu Spechta, przy starym okrągłym placu, czyli placu Brausena lub też Fundatora.

Dowiedzieliśmy się także, że nigdy nie podpisali umowy na wynajem domku na plaży. Specht nie opowiadał wiele o swych gościach, ale też nie unikał tego tematu. Potwierdzał w Klubie:

– Tak, odwiedzają nas codziennie. Wnoszą trochę odprężenia. Nie mamy dzieci.

Pomyśleliśmy, że pani Specht, gdyby tylko chciała mówić, mogłaby dać nam klucz do zrozumienia tej pary, podsunąć stosowne określenia i przymiotniki. Te, które sami wymyślaliśmy, niezbyt nas przekonywały. Byli, ona i on, nazbyt zuchwali i szczęśliwi, żeby zadowolić się wynagrodzeniem i przyszłością, jaką zwykle ofiarować się służbie: mieszkaniem, wyżywieniem i kieszonkowym, które pani Specht kazała im przyjmować, choć o nie nie prosili.

Okres ten trwał zapewne około dwudziestu dni. Lato zaczynało się z wolna chylić ku jesieni, niebo było jeszcze o zmierzchu krystaliczne, południa ciche i zastygłe, ale duże i barwne liście leżały tu i ówdzie na ulicach.

W ciągu tych dwudziestu dni chłopiec i jego mała przyjeżdżali codziennie do miasta o dziewiątej, samochód Spechta porywał ich z rzeńskiej plaży i zostawiał na starym placu, pośród spiekoty późnego lata. Widzieliśmy – nie miałem z tym jeszcze kłopotów – jak uśmiechają się do szofera, do pachnącego skórą samochodu, do ulic, na których rano ruch był zwykle mniejszy, do drzew rosnących na placu i wychylających się zza parkanów, do żelaznej bramy i marmurów przy bramie domu, do służącej i do pani Specht. Uśmiechają się potem przez resztę dnia tym samym przyjaznym wobec całego świata uśmiechem, choć na jej ustach być może niekiedy mniej czystym i przekonującym, jakby nie zawsze stosownym do chwili. A nade wszystko chcą być pomocni od rana aż do momentu wyjazdu, wymyślają dla siebie zajęcia, odświeżają meble, czyszczą klawisze pianina, przygotowują w kuchni dania, na które przepis on pamiętał lub też na poczekaniu improwizował. I rzeczywiście byli użyteczni, zwłaszcza kiedy przerabiali suknie i stroje pani Specht i przyglądali się poprawkom z dyskretnym, lecz zasłużonym podziwem. Byli użyteczni, kiedy potakiwali jego zgorzkniałym i nieśmiertelnym komunałom lub ograniczali się do pochłaniania opowieści o jego autobiograficznych wyczynach, przedłużając wieczorne pogawędki, póki Specht nie zaczął ziewać. (Ona, oczywiście, w mniejszym stopniu; przy łagodnych dźwiękach muzyki szeptała częściej z panią Specht o modzie, kompotach i nieszczęściach, co stanowiło stosowne tło dla wielkiej epiki męskich rozmów).

– Nie jest więc kawalerem z różą – stwierdził Lanza – lecz *chevalier servant*. Mówię bez drwiny. To się zresztą okaże.

Dowiedzieliśmy się potem, że Specht, bez potrzeby uciekania się do przemocy, wyrzucił ich następnego dnia po przyjęciu, jakiego wydał był u siebie w domu. Jak zawsze, o dziewiątej rano szofer przyjechał tej niedzieli do domku przy plaży, ale nie zabrał ich, tylko przekazał list, trzy lub cztery grzeczne i stanowcze linie wypełnione pismem starannym i niespiesznym, jakiego wychodzi zwykle spod pióra wczesnym rankiem. Wyrzucił ich, bo się upili, bo zastał w jego objęciach panią Specht, bo ukradli mu komplet srebrnych łyżek, na których wryte były herby szwajcarskich kantonów, bo strój małej nieprzyzwoicie odsłaniał jedną pierś i kolano, bo pod koniec przyjęcia pokazali, jak tańczą marynarze, komicy, Murzyni i prostytutki.

Ta ostatnia wersja była zdaniem Lanzy najbliższa prawdzie. Pewnego ranka, po nocy spędzonej w redakcji i kawiarni, ujrzał ich w jednej z kafejek przy ulicy Caseros.

Dobiegała końca ciepła i wilgotna noc i drzwi lokalu były otwarte, wolne od pluszowej kotary, pokus i niespodzianek. Zatrzymał się, żeby zakląć i zapalić papierosa, i wtedy zobaczył ich: tańczyli samotnie wśród mieszanego zachwytu nielicznych gości przy stolikach, wyrażali w tańcu zamęt, szal, miłosne uniesienie.

– Bo jakimkolwiek nazwać to słowem, jestem pewien, że byłoby ono tylko eufemizmem. Niewiele różniło się to wszystko od plemiennego tańca, zaręczynowego rytuału, płaśów i dąsów, jakimi kobieta osacza i pęta mężczyznę, niedotrzymanych obietnic, które jeszcze bardziej podsycają pożądliwość. Ale tutaj ona była jakby lekko ociężała, trochę skrzępowana, kiedy tak sunęła po podłodze nie odrywając stóp, kołysała swym drobnym, choć pełnym ciałem, i ściagała mężczyznę wzrokiem cierpliwym i rozpromienionym i dłońmi, które podnosiła niby w geście obrony i prośby o wsparcie. On natomiast tańczył wokół niej, przeginał się w pasie za każdym razem, gdy się oddalał lub zbliżał, obiecywał i wspierał obietnicę wyrazem twarzy i ruchem stóp. Tańczyli tak, bo przyglądali im się inni, choć przecież tańczyli tylko dla siebie, w tajemnicy, zabezpieczeni przed ludzkim wścibstwem. Chłopiec miał koszulę rozpiętą do pępka i widzieliśmy, jak szczęśliwy był, że się poci, że jest lekko pijany i podniecony, szczęśliwy, że ktoś na niego patrzy, a on może na siebie czekać.

4

Wtedy, po raz pierwszy, tak jak przepowiedzieliśmy, musieli się zbliżyć do nas. Któregoś ranka mężczyzna zjawił się w kancelarii Guiñazú, wykąpany i pachnący, owijając palce zgiętym wzdłuż pięćdziesięciopesowym banknotem.

– Nie mogę zapłacić więcej, w każdym bądź razie gotówką. Proszę mi powiedzieć, czy suma ta wystarczy za poradę.

– Pomyślałem o was i poprosiłem, żeby usiadł, niezbyt pewien, czy to on. Sam rozsiadłem się na fotelu, zaproponowałem mu kawę i przeprosiłem na chwilę, żeby podpisać kilka pism. A kiedy poczułem, że moja nieuzasadniona niechęć nie potrwa długo, bo już wypierają ją ciekawość i jakaś bezosobowa nieomal zazdrość, kiedy pogodziłem się z myślą, że to, co każdy uznałby za bezczelność lub obelgę, może być czymś innym, niezwykłym i prawie magicznym przez swą niecodzienną, zrozumiałem wówczas, że mój gość jest tym od żółtej koszuli i róży w butonierce, jakiego widzieliśmy tamtego deszczowego wieczoru w ogródku Uniwersalu. Chcę przez to powiedzieć, nawet jeśli dalej darzę go niechęcią: człowiekiem święcie przekonanym, że jedyną ważną rzeczą jest po prostu żyć, i w konsekwencji wierzącym, że wszystko, co przeżywa, jest ważne, dobre i godne całkowitego oddania. Powiedziałem, że tak, że za pięćdziesiąt pesos, stawkę jak dla starego przyjaciela, mogę mu powiedzieć, z dokładnością do kilku miesięcy, jakiej kary może się spodziewać od kodeksu, prokuratora i sędziów. I co należy robić, żeby kary uniknąć. Chciałem go usłyszeć i chciałem, przede wszystkim, zabrać od niego zielony banknot, który z roztargnieniem kręcił w palcach, jak gdyby myślał, że wystarczy mi go tylko pokazać.

Wreszcie rozwinął banknot i położył na biurku i schowałem go do portfela i przez minutę rozmawialiśmy o Santa Marii, krajobrazach i pogodzie. Opowiedział mi o liście polecającym do prawnika Latorre i zapytał, czy mógłby pozostać w domku na plaży – on i ona, jakżeby inaczej, taka młoda, a już w ciąży – mimo poróżnienia się ze Spechtem i mimo że istniała tylko, jak to nazwał, słowna umowa o wynajem.

Pomyślałem chwilę i wybrałem odpowiedź na tak; wyjaśniłem wolno, jakie mu przysługują prawa, powołałem się na numery i daty ustaw, wszystko to, co jest strawą jurysprudencji. Poradziłem mu zdeponować w sądzie stosowną sumę na poczet komornego i wezwać Spechta do dopełnienia istniejącej, słownej i faktycznie zawartej umowy.

Zauważyłem, że słowa te przypadły mu do gustu; potakiwał głową z zadowolonym półuśmiechem, jak gdyby słuchał ulubionej, dalekiej melodii w dobrym wykonaniu. Poprosił, przepraszając, że nie rozumie, o powtórzenie dwóch lub trzech zdań. Ale nic poza tym, nie okazał ani odrobiny szczerego entuzjazmu lub ulgi, niestety. A kiedy po chwili milczenia powiedziałem mu znużonym głosem, że wszystko to, o czym mówiłem, odpowiada literze prawa stosowanego do tego przypadku, lecz w brudnej codzienności Santa Maríi wystarczy, żeby Specht zadzwonił do komendanta policji, a on i młoda pani oczekująca dziecka wyrzuceni zostaną z domku do jakiegokolwiek miejsca leżącego o dwie mile poza granicami miasta, wybuchnął śmiechem i spojrzął na mnie tak, jak gdybym był jego przyjacielem i opowiedział mu godny zapamiętania dowcip. Był tak podniecony, że wyjąłem portfel, aby zwrócić mu pięćdziesiąt pesos. Ale nie dał się wciągnąć w pułapkę. Wydobył z przedniej kieszonki spodni mały, złoty zegarek, jaki ongiś nazywano *chatelaine*, ponarzekał na towarzyskie obowiązki i brak pewności, czy aby ta pogawędka o interesach przerodzi się kiedyś w rozmowę prawdziwych przyjaciół. Mocno uściśnałem mu dłoń podejrzewając, że mam wobec niego dług daleko większy niż te pięćdziesiąt pesos, na jakie go naciągnąłem.

Potem zniknęli, widywano ich w soboty wśród komiwojażerów w Klubie Handlowca, przez pewien okres nic o nich nie było wiadomo, aż pojawili się nagle w Las Casuarinas.

Tym razem blisko nas i w dodatku mało brakowało, a wybuchłby skandal. Blisko, dlatego że Guiñazú był adwokatem doñi Miny Fraga, właścicielki Las Casuarinas; ja odwiedzałem ją, kiedy doktor Ramírez wyjeżdżał z Santa Marí, natomiast Lanza już zeszej zimy wyczelował piękny nekrolog zatytułowany „*Doña Herminia Fraga*”, zajmujący siedmiocentymetrową kolumnę druku, pełen żalu, choć dwuznaczny, w którym wynosił przede wszystkim kolonizacyjne zasługi nieboszczyka ojca doñi Miny.

Niewiele, a wybuchłby skandal, gdyż trzeba pamiętać, że doña Mina, nim ukończyła dwadzieścia lat, trzy razy uciekała z domu. Pierwszy raz z peonem z estancji i stary Fraga batem zmusił ją do powrotu, jak chce legenda, która mówi też o śmierci uwodziciela, tajemnym pochówku i zatuszowaniu całej sprawy przez przekupnego komisarza w roku 1911. Potem poszła nie z, lecz za magikiem z cyrku, który żył w szczęśliwej harmonii ze swym powołaniem i ślubną żoną. Sprowadziła ją wtedy policja, na życzenie sztukmistrza. Uciekła wreszcie, już w dniach tej niby-rewolucji z 1916 roku, ze sprzedawcą medykamentów dla zwierząt, człowiekiem wąsatym, afektowanym i pewnym siebie, który utrzymywał dobre handlowe stosunki ze starym Fragą. Tym razem była to jej najdłuższa nieobecność i wróciła, choć nikt jej nie wzywał ani też nie sprowadzał siłą.

W tym czasie Fraga kończył właśnie budowę Las Casuarinas, ogromnej willi pod miastem, z myślą o posagu dla córki lub może tylko dlatego, że sprzykrzyło mu się życie w estancji. Wiele mówiło się wtedy o religijnej manii jego córki, o jej wstąpieniu do klasztoru i jakimś nieprawdopodobnym księdzu, który odmówił poparcia dla sprawy, gdyż zwątpił w szczerłość doña Miny. Pewne jest tylko to, że Fraga, który sam wspominał bez przechwałek, że noga jego nie stanęła w kościele, kazał wznieść na terenie Las Casuarinas, jeszcze przed ukończeniem willi, kapliczkę. A kiedy zmarł, córka wydzierzawiła za najwyższą możliwą cenę estancję i wszystkie odziedziczone pola, zamieszkała w Las Casuarinas i zamieniła kapliczkę w domek dla gości lub ogrodnika.

W ciągu tych czterdziestu lat nosiła różne imiona, raz była Herminia, innym znów razem doña Herminita lub doña Miną. Dożyła starości, samotności i arteriosklerozy, bez świadomości przegranej i bez tęsknot.

Tam właśnie znaleźli się kochankowie, którzy spadli nam jak z nieba w pewne burzowe popołudnie. Rozgościli się na dobre w kapliczce Las Casuarinas i dawali teraz, dniami i nocami, w idealnych warunkach, jeśli chodzi o dekorację, publiczność i kasę, spektakl, do którego próbę generalną przeprowadzili już u Spechta.

Las Casuarinas leży w pewnej odległości od miasta, w kierunku północnym, na drodze prowadzącej na wybrzeże. Zobaczył ich tam pewnego niedzielnego ranka Ferragut, notariusz, współnik Guiñazú. Ich troje i psa.

– O świcie padało; kilka godzin deszczu i wichury. O dziewiątej już się roz pogodziło, a ziemia była lekko wilgotna, brunatna i pachnąca. Zostawiłem samochód na szosie na wzniesieniu i prawie natychmiast ujrzałem ich, niczym na małym obrazie, z tych, które się oprawia w szerokie, złożone ramy, nieruchomych i zadziwiających, gdy tak schodziłem do nich. W głębi chłopak w błękitnym ubraniu ogrodnika, przysiągłbym, że szytym na miarę, klęczał przed krzakiem róży, przyglądał się mu nie dotykając i uśmiechał zadowolony ze zwycięstwa nad mrówkami i liszczkami; otaczały go, dobrze świadczące o autorze obrazu, rekwizyty jego profesji: łopata, grabie, nożyce, i kosiarka do trawy. Dziewczyna siedziała po turecku na materacu, w słomkowym kapeluszu, który opadał jej na ramiona, z dużym sterczącym brzuchem, nogi okryła szeroką i wzorzystą spódnicą i przeglądała jakiś magazyn. Obok niej, na wiklinowym fotelu z daszkiem, doña Mina z brudnym, kudłatym psem na spódnicy, uśmiechała się na widok tych porannych dowodów bożej chwały. Wszyscy byli pogodni i pełni wdzięku; każde z nich z niewinną naturalnością grało swą rolę w tym nowo stworzonym raj Las Casuarinas. Zatrzymałem się onieśmielony przy drewnianej furtce, mając się za niegodnego intruza, ale stara kazała mnie prosić i już podnosiła dłoń i marszczyła twarz, żeby mnie z daleka rozpoznać. Miała na sobie suknię bez rękawów, z dekoltem. Przedstawiła mi dziewczynę: córeczka, a kiedy chłopak skończył tropić mrówki i podszedł do nas kołyszając się i szczerząc zęby, doña Mina zaśmiała się nienaturalnie, jak gdyby powiedział jej frywolny komplement. Miał na imię Ricardo. Grzebał w ziemi, aż zabrudził sobie paznokcie i przyglądał się im zakłopotany, nie tracąc jednak nadziei: „Uratujemy prawie wszystkie krzaki, doña Mina. Jak już pani mówiłem, posadzono je za gęsto. Ale nie szkodzi, jakoś sobie poradzimy”. Nie szkodzi, wszystko było proste,

ożywić zeschłe róże lub przemienić wodę w wino.

– Przepraszam – wtrącił Guiñazú. – Czy wiedział, że jesteś notariuszem, że stara wezwała cię, że istnieje coś takiego jak testament?

– Jestem pewny, że wiedział. Ale to nie miało dla niego znaczenia.

– Wiedział, był chyba tego pewien.

– A kiedy stara oddała siedzącej na piętach dziewczynie cherlawego i kaprawego kundla i po omacku zastukała laską, żeby się podnieść i pójść ze mną do domu, chłopak podskoczył, pochylił się i podał jej rękę. Powoli szli przodem, on opisywał jej, w miarę jak wymyślał na poczekaniu, cechy charakteru nieznaney osoby, która sadziła róże, ona przystawała, rozbawiona, poszcypywała go, uderzała chusteczką po twarzy. W gabinecie podsunął mi krzesło i przeprosił, aby dalej walczyć z mrówkami.

– Taaak – zaczął niepewnie Guiñazú, bawiąc się szklanką. – Być może słusznie potępiają w Santa Maríi to, co się dzieje w Las Casuarinas. Ale gdy pieniądze, zamiast przypaść jakiemuś krewnemu z prowincji, trafią do rąk tego domorosłego ogrodnika, damy do towarzystwa i nie narodzonego dziecka... Jak długo jeszcze stara pociągnie? – zapytał mnie.

– Trudno przewidzieć. Dwie godziny albo pięć lat, sądzę. Od kiedy ma gości, porzuciła dietę. Nie wiadomo, czy jej to zaszkodzi, czy pomoże.

– Tak – ciągnął Guiñazú – mogą jej pomóc. – Zwrócił się do Ferraguta: – Dużo ma pieniędzy? Ile?

– Ma duże pieniądze – odparł Ferragut. – Dziękuję. Czy tamtej niedzieli zmieniła testament?

– Wyznała mi, bo cały czas mówiła tak, jakby się przede mną spowiadała, że po raz pierwszy w życiu czuje się naprawdę kochana. Że ta mała w ciąży jest dla niej lepsza od najprawdziwszej córki, że chłopiec, najczulszy i najbardziej wyrozumiały ze wszystkich mężczyzn i że gdyby śmierć przyszła ją teraz zabrać, umierałaby w szczęśliwym przekonaniu, że ten jej wstrętny, rozpuszczony kundel pozostanie w dobrych rękach.

Lanza zaniósł się konwulsyjnym chichotem i żałośnie zakasłał. Spojrzał na nasze twarze i zapalił papierosa.

– Nie za bardzo mamy się czym karmić – powiedział. – I wszystko okazuje się cenne. Ale jest to stara historia. Tyle tylko, że jak mi wiadomo rzadko objawia się w formie równie doskonałej. Tak więc, niech mi pan powie, w poprzednim testamencie zostawiła majątek księżom lub jakimś krewnym.

– Krewnym.

– A tego dnia zmieniła testament.

– A tego dnia zmieniła testament powtórzył Ferragut.

Mieszkali w Las Casuarinas, wygnani z Santa Marí i reszty świata. Ale czasami, raz lub dwa razy w tygodniu, przyjeżdżali do miasta po zakupy rozklekotanym chevroletem starej.

Jako starzy mieszkańcy chętnie wspominaliśmy teraz odległą i krótkotrwałą działalność w mieście domu publicznego i poniedziałkowe spacery panienek. Mimo upływu lat, nowej mody i zmian demograficznych mieszkańcy miasta byli wciąż tacy sami. Nieśmiali i zarozumiali, szukali oparcia we własnych sądach, a sądzili innych z zazdrości lub lęku. (Ważne jest, kiedy mówimy o tych ludziach, pamiętać, że brakło im spontaniczności i radości, że byli obojętnymi przyjaciółmi, nieżyczliwymi pijaczkami, kobietami goniącymi za dobrą partią, identycznymi i łatwymi do pomylenia niby bliźniacze siostry, mężczyznami oszukany i samotnymi. Mówię o mieszkańcach Santa Marí, być może ludzie wiele podróżujący już się przekonali, że jednakość człowieczej natury jest doprawdy zadziwiająca i zniechęcająca).

Ale ta nieokreślona pogarda, z jaką mieszkańcy Santa Marí przyglądali się parze przebiegającej raz lub dwa razy w tygodniu ulicę wymiecionego i postępowego miasta, była w istocie inna od wzgardy, z jaką przed laty odmierzali kroki, postoje i powroty dwóch lub trzech kobiet z domku na plaży, które przez kilka miesięcy chodziły w poniedziałki po południu na zakupy.

Bo wiedzieliśmy wszyscy parę rzeczy o tym szczupłym, roześmianym chłopcu i drobnej kobiecie, która nauczyła się utrzymywać w równowadze na wysokich obcasach swój rosnący brzuch i kroczyła ulicami centrum niezbyt wolno, lekko odchyłona do tyłu, z Teką męża na karku. Wiedzieliśmy, że żyją za pieniądze doñi Miny, i było jasne, że w tym przypadku postępek ich jest szczególnie niegodziwy i niewybaczalny. Być może dlatego, że chodziło tu o parę, a nie o jednego mężczyznę, może mężczyzna był za młody lub też oboje dziwnie sympatyczni, kiedy tak udawali, że o niczym nie wiedzą.

Ale wiedzieliśmy również, że testament doñi Miny został zmieniony, i dlatego, ilekroć spotykaliśmy ich na spacerze, do oznak lekceważenia dorzucaliśmy nieśmiałą i wyważoną propozycję przyjaźni, zrozumienia i pobłażliwości. Jeszcze zobaczymy, kiedy się to okaże potrzebne.

Tym, cośmy najpierw zobaczyli, było przyjęcie urodzinowe doñi Miny. Zobaczył je za nas Guiñazú.

Powiedzieli – powtarzały to stare i bogate baby, które zaproszono, a które podziękowały za zaproszenie – że doña Mina z pewnością nie obchodzi urodzin w upalnym marcu. Obiecali nawet pokazać gościom na dowód tego zielonkawe zdjęcia, obrazki z przykładowego dzieciństwa doñi Miny, na których miała zajmować środkowe miejsce, jedyna dziewczynka z odkrytą głową, w nie dokończonym ogrodzie willi Las Casuarinas, w czasie urodzinowych uroczystości, w gromadce dzieci we włochatych czapkach i płaszczkach z futrzanymi klapkami i kołnierkami.

Ale nie pokazali zdjęć i nie mieli ku temu okazji. Mimo że chłopak obiecywał, a przynajmniej zrobił wszystko, co w jego mocy. Zamówił zaproszenia na delikatnym kremowym papierze z czarnymi, wypukłymi literami (Lanza robił korektę składu). W trzy lub cztery dni objechali ulice miasta i gościńce podmiejskich posiadłości wygrzebaną nie wiedzieć skąd dwukółką. Jej obręcze miały nowe gumy, pomalowana była na kolor ciemnozielony i czarny, a duży, posągowy koń, ciężki i astmatyczny, oderwany od pługa lub kierata, ciągnął teraz tę parę, oszalały, ociekający pianą i bliski omdlenia. A oni siedzieli sztywno w uniformach pośłańców za krągłym, końskim zadem, siedzieli ze swymi bliźniaczymi, roztargnionymi uśmiechami i beużytecznym batem.

– Ale niczego nie osiągnęli, a przynajmniej niewiele — opowiadał nam Guiñazú. – Przychodzi mi na myśl, że może byłoby inaczej, gdyby on sam pokazał się i przemówił do każdej z tych staruch, których łaski przyszedł się dopraszać... Prawdą jest, że tamtej soboty nikogo nie udało się im ściągnąć, żadnego mężczyzny i żadnej kobiety, których nazwiska w pełni zasługiwałyby na wzmiankę w kolumnie towarzyskiej „El Liberala”. Przyszedłem raczej koło dziewiątej niż ósmej i zobaczyłem już w ciemnym ogrodzie ludzi z butelkami. Stąpałem po schodach niechętnie, a raczej z chęcią szybkiego skończenia z tym wszystkim, wdychałem delikatną woń drewna tłącego się gdzieś w pobliskim kominku, słuchałem muzyki dochodzącej ze środka, wytwornej, wyniosłej i dumnej, która rozbrzmiewała nie dla mnie ani też dla nikogo z obecnych w domu lub ogrodzie.

W ciemnym korytarzu jakaś Mulatka w fartuszkach i czepku poderwała się przy stosie kapeluszy i damskich okryć. Pomyślałem, że przebrali ją i postawili tutaj, aby donośnie zapowiadała gości.

Najpierw, przypadkowo, jako że stał koło pluszowej kotary, zobaczyłem naszego znajomego, chłopca, mężczyznę z różą w butonierce. Potem minąłem odświętnie ubraną gawiedź, aby złożyć wyrazy uszanowania doñi Minie. Siedziała sztywno w fotelu z nowym obiciem i głąskała mordkę swego cuchnącego kundla. Jej ręce i dekolt zdobiły koronki. Złożyłem życzenia, cofnąłem się o krok i wtedy ujrzałem nagle oczy, jego i tej zgrabnej małej, siedzącej na dywanie z głową opartą o fotel. Oczy ciężarnej wyrażały jakąś głupawą słodycz, niewzruszone, fizyczne szczęście.

Oczy starej przyglądały mi się i coś mi mówiły, przekonane, że nie jestem w stanie odkryć, o co chodzi, szydziły z mojej niedomyślności, a również, zawczasu, ze wszystkiego, co mógłbym rozumieć opacznie. Oczy, które przez mgnienie spoczęły na mnie z karcącą wymówką. Jakbym był dzieckiem, jakby się rozbierała przed ślepcem. Oczy wciąż lśniące, nieustępliwe, osaczone przez czas, iskrzące się przez sekundę ognikami bezosobowej zemsty między zmarszczkami i obwisłymi workami.

Chłopiec z różą jeszcze przez pół godziny zmieniał płyty. Kiedy miał już dosyć lub poczuł się pewniej, odszukał ciężarną dziewczynę, pomógł jej wstać i zaczęli tańczyć na środku sali, otoczeni rozstępującym się gwałtownie kręgiem gapiów. Postanowili żyć, znosić wszystko z radością, wyzbyć się konkretnych nadziei. On kołysał się leniwie, drobił stopami po bordowym, wytartym dywanie, ona poruszała się jeszcze wolniej, w cudowny sposób nie odmieniona przez swój wielki brzuch, który rósł z każdym obrotem tańca, znanego jej na pamięć, tak że nawet głucha i ślepa potrafiłaby go powtórzyć bezbłędnie.

I nic ciekawego aż do końca, aż do wzniesienia kwietnego pomnika, który ożywia tę historię i pozbawia ją sensu. Nic w istocie ważnego po ów barwny i soczysty kopiec, dławiący i o nieznanym przeznaczeniu, zwarzony w trzy dni przez majowe chłody.

Lanza i Guiñazú widzieli więcej, byli dwa lub trzy razy znacznie bliżej niż ja z wodniczego jądra całej tej sprawy. Ale za to ja miałem tę lichą satysfakcję, że o trzeciej nad ranem pędziłem do Las Casuarinas; po mnie przyjechał chłopak dużym, zdyszonym koniem w siną i chłodną noc, mnie pomagał narzucić płaszcz z roztargnioną, nie natarczywą uprzejmością, mnie przepowiedział po drodze – lżąc czule konia i coraz energiczniej pociągając za cugle – zakończenie, jakie już wcześniej przewidzieliśmy, jakby spragnieni tego, żeby wydarzenia potoczyły się zwawiej.

Zad parsającego zwierzęcia kołysał się miarowo w księżycowym świetle, słysząc było pusty odgłos kłusujących kopyt gotowych wieźć mnie w nieznaną.

Chłopiec wpatrywał się w pustą drogę jakby w nadziei, że dostrzeże niebezpieczeństwa i przeszkody; stare, grube rękawice ochraniały jego dłonie, niepotrzebnie wyciągnięte przed siebie.

– Śmierć – powiedział. Spojrzałem na jego wściekle zęby, na nos kształtny aż do przesady, wyraz twarzy stosowny do tej jesiennej nocy, do przejmującego chłodu, do tego, co się spodziewał zastać w domu. – Zgoda. Ale nie lęk, nie respekt, nie groza tajemnicy. Wstręt, oburzenie na niesprawiedliwość ostateczną, która sprawia, że wszystkie dotychczasowe tracą znaczenie i stają się niemożliwe do wybaczenia. Spaliśmy i zbudził nas dzwonek; umieściłem dzwonek koło łóżka. Starła się jeszcze uśmiechać i wszystko zdawało się toczyć po jej myśli i za jej przyzwoleniem, jak zawsze. Ale jestem pewien, że nas nie widziała, całą swą twarzą oczekiwała jakiegoś dźwięku, głosu. Podparta poduszkami chciała usłyszeć coś, czego nie mogliśmy jej powiedzieć. A ponieważ głos nie docierał, zaczęła poruszać głową, wymyślać słowa w nieznanym języku, aby pomówić z kimś innym, tak szybko, że nie można jej było zrozumieć, wyprzedzając odpowiedzi, broniąc się, żeby jej nie przerywano. Osobiście myślę, że sprzeczała się o coś z jakąś przyjaciółką z lat młodości. A po dziesięciu minutach tego szalonego szeptu nie ulegało wątpliwości, że przyjaciółka, dziecko nieomal, poddała się i że ona, doña Mina, pozostanie teraz na zawsze wśród wieczornych jaśminów i glicynii z kędzierzawym mężczyzną o ciężkich powiekach i czarodziejską laseczką pod pachą. Tyle przynajmniej rozumiałem i w to wierzę. Obłożyliśmy ją butelkami z ciepłą wodą, podaliśmy proszki, oporządziłem konia i przyjechałem po pana. Ale to była śmierć. Może pan już tylko wystawić świadectwo zgonu i zarządzić na jutro sekcję zwłok, bo cała Santa María gotowa jest myśleć, że to ja ją otrujęm albo że my, ja, moja żona i maluch, otruliśmy ją, żeby zagarnąć spadek. Ale, jak pan, na szczęście, sam stwierdzi po otwarciu jej wnętrzości, życie jest daleko bardziej skomplikowane.

Dziewczyna, już w czerni, jakby trzymała w kufrze najmodniejsze żałobne stroje w przewidywaniu tej nocy, zapaliła świece koło rozczochranej głowy doñi Miny, w nogach łóżka rozsypała trochę drobnych i bladych fiołków i czekała na nas zwrócona plecami do drzwi, z twarzą w dłoniach i klęcząc na tanim białym materacu, przyniesionym być może ze służbówki.

Mieszkali dalej w willi i jak mówił Lanza w kawiarni wpatrując się w twarz Guiñazú – w tych dniach szczególnie przebiegłą, chytrzejszą i bardziej adwokacką niż kiedykolwiek – nikt nie może ich stamtąd wyrzucić dopóty, dopóki nie otworzy się testamentu i nie zostanie udowodnione, że jest ktoś, kto ma do tego prawo, albo też okaże się, że mogą wynieść się stąd po sprzedaniu wszystkiego. Guiñazú przyznawał mu rację i uśmiechał się.

– Nie ma pośpiechu. Jako wykonawca testamentu mogę poczekać trzy miesiące, nim złożę go w sądzie. Chyba że zjawi się jakiś krewny z rozsądnymi roszczeniami. Póki co mieszkają w willi; a należą do tych rzadko spotykanych ludzi, którzy pasują do każdego miejsca, ożywiają je lub nadają mu nowy sens. Co do tego jesteśmy zgodni. Widziałem ich podczas cotygodniowej wędrowki po sklepach, jak zawsze, i mogłem nawet dowiedzieć się, jak myślą sobie radzić z dalszymi zakupami. Ale z nimi nie rozmawiałem. I rzeczywiście nie było powodów do pośpiechu. Możliwe że zajęli na własny użytek salon w willi i zamieniają go teraz w muzeum doñi Míny. Sądzę, że mają wystarczającą ilość strojów, kapeluszy, parasolek i trzewików, aby zilustrować jej bohaterski żywot od czasów wojny paragwajskiej do naszych dni. Być może odkryli też paczki z listami, dagerotypy i bindy jej ojca, proszki na powiększenie biustu, rzeźbiony komplet z kości słoniowej na biurko oraz fiołki ze środkami podniecającymi. Dzięki tym elementom, o ile potrafią je wykorzystać, każdy turysta z łatwością będzie mógł odtworzyć osobowość doñi Míny, ku chwale nas wszystkich, nękanymy myślą, że historia obdarzyła nas jedynym, tylko bohaterem, Brausenem Fundatorem. Nic nas nie goni.

(Podejrzywałem jednak, że goniła go niezdrowa nadzieja, że chłopiec z różą przyjdzie do jego kancelarii i poprosi o otwarcie testamentu lub podanie nazwisk spadkobierców. Że czeka na niego, aby zrewanżować się za przyjemne zakłopotanie, jakie sprawił mu tamtego ranka, kiedy odwiedził go i za nic zapłacił pięćdziesiąt pesos).

– Nic nas nie goni – ciągnął Guiñazú – a póki co, wydaje się, że i im nigdzie nie spieszo. Bo dla mieszkańców Santa Marii milcząca klątwa, którą przed półwieczem ekskomunikowano z naszego występnego świata występna dońg Minę, utraciła sens i rację bytu w dniu pogrzebu. Potem, w okresie żałoby, najbardziej powściągliwi spośród nas, farmerzy i kupcy, a nawet rodziny wywodzące się od pierwszych osadników, zaczęli darzyć tę parę niepohamowaną sympatią, na tyle szczerą, na ile to było konieczne. Zaczęli narzucać się im ze swą gościnnością i nieograniczonymi kredytami. Spekulowali, oczywiście, na testamencie, śmiało lub rozważnie inwestowali w tę parę swój szacunek i towary. I czynili to, warto podkreślić, z pełnym oddaniem. A oni, tancerze, kawaler z różą i ciężarna dziewczyna z Liliputu, wykazali, że potrafią stawić czoło nowej sytuacji, zalewowi czułości, grzechów odpuszczeniu i pochlebstwom, jakimi kusilo ich całe miasto. Kupują tylko to, co najniezbędniejsze do życia i szczęścia, białą welenkę dla niemowlęcia i specjalne herbatniki dla psa. Dziękują za zaproszenia, ale, niestety, są w żałobie. Wyobrażam ich sobie wieczorem w salonie, w którym nie mają już przed kim tańczyć, obok kominka i wśród bezładu pierwszych przedmiotów zebranych do przyszłego muzeum. Za to tylko, żeby ich usłyszeć, oddałbym facetowi pięćdziesiąt pesos honorarium i dołożył drugie tyle. Za to, żeby usłyszeć, dowiedzieć się, kim są i jacy jesteśmy w ich oczach.

Guiñazú nie powiedział nam ani słowa o testamencie, o zmianach podyktowanych przez starą Ferragutowi, aż do chwili, gdy przyszła mu wreszcie na to ochota. Być może znużyło go czekanie na chłopca, na milczącą spowiedź, która pozwoliłaby mu go osądzić.

Ochota przyszła w pewne upalne, jesienne południe. Jadł z nami obiad i położył na parapecie restauracyjnego okna brązową teczkę, którą sprawił był sobie tuż przed ukończeniem studiów, a która wyglądała wciąż jak nowa, jakby wykonana ze skóry zwierzęcia młodego i silnego, bez śladów po rozprawach i brudnych sądowych korytarzach. Przykrył ją kapeluszem i powiedział, że niesie testament do sądu.

– I niech się dopełni ludzka sprawiedliwość – zaśmiał się. – Zmarnowałem wiele czasu, bawiłem się wyobrażając sobie rozwiązanie, jakie mogłaby narzucić sprawiedliwość boska. Starłem się odgadnąć, jak wyglądałby ten testament, gdyby, zamiast doñi Miny, spisać go kazał sam Pan Bóg. Ale kiedy myślimy o Bogu, myślimy o nas samych. Bóg, o którym myślałem – a poświęciłem temu wiele czasu – nie przeprowadziłby, jak się wkrótce okaże, lepiej całej tej sprawy.

Zobaczyliśmy, jak idzie w kierunku placu i przecina go w pośpiechu, wysoki, wyprostowany, z teczką wiszącą na dwóch palcach, pewny tego, co czyni, pod ciężkim, żółtawym słońcem, przekonany, że niesie do sądu najlepsze dla nas, dla całego miasta rozwiązanie, na jakie zasłużyliśmy.

Zaczęliśmy poznawać wszystko następnego dnia, wczesnym rankiem. Dowiedzieliśmy się, że Guiñazú pił z sędzią kawę z koniakiem, że rozmawiali przez chwilę i wśród westchnień wymieniali poważne spojrzenia, jak gdyby doña Mina dopiero co zmarła i jej śmierć nie była im obojętna. Sędzia Canabal był człowiekiem korpulentnym, o zimnych, wylupiastych oczach, trochę gęgała, któremu – niepotrzebnie zresztą – zabroniłem z końcem roku używać alkoholu. Pochylił nad testamentem swą ciężką głowę, posepniejąc w miarę jak przewracał kartki wprawnym paluchem. Potem podniósł się dysząc gniewnie i odprowadził Guiñazú do drzwi.

– Jeśli i te zbiory przepadną, będzie wesoło – powiedział jeden z nich.

– A teraz wysyłają do Brazylii zboże prawie za bezcen – odparł drugi.

Drzwi nie zdążyły się jeszcze zamknąć, kiedy Canabal wybuchnął nagle śmiechem i rechotał do rozpuku.

– Pies! – wrzeszczał. – Zdanie, w którym ta stara cyniczka mówi o miłości i psie. Chciałbym widzieć ich twarze! I chyba zobaczę je w tym gabinecie. Myśleli, że mają ją w kieszeni, i patrzcie... Pies i pięćset pesos.

Guiñazú wrócił do pokoju i uśmiechał się w milczeniu. Canabal wycierał twarz ciemną chusteczką.

– Proszę mi wybaczyć – wyparskał – ale przez całe życie, nawet kiedy miałem praktykę adwokacką, nie słyszałem o czymś równie komicznym. Pies i pięćset pesos.

– Pomyślałem to samo – odparł Guiñazú z wyrozumiałością. – Ferragut także się niecierpliwi, żeby zobaczyć ich twarze. Sprawa wydała mi się naprawdę komiczna. – Nie przestając się uśmiechać podszedł do okna wychodzącego na wąską i prostą ulicę, wypiękniała w żółtym słońcu i wilgotnym powietrzu, na sklep muzyczny, skąd dobiegały rozszalałe dźwięki jakiejś młodzieżowej melodii. – A jeśli uwzględnimy, że zmarła zostawiła spory majątek...

– No właśnie – powiedział Canabal i znowu zachichotał.

– Majątek dla jakichś kuzynek i siostrzenic, które być może nigdy jej nie widziały i z pewnością jej nienawidziły, i dziesiątki tysięcy dla ludzi, o których nikt nic nie wie i których będzie trzeba szukać po całym kraju... Jeśli uwzględnimy, panie sędzio, że para ta opiekowała się nią i umiała jej kilka miesięcy życia i że stara była pewna – tak jak my wszyscy, odwoławszy się do naszego parszywego doświadczenia – że spodziewają się coś odziedziczyć. Jeśli przyjmiemy, że stara myślała o tym, kiedy wzywała Ferraguta, żeby powiedzieć mu, że chłopiec, mała i dzieciak otrzymają za to wszystko pięćset pesos, jakie miały uwolnić ich od finansowych kłopotów...

– Ależ Guiñazú – rzekł sędzia, rozwiewając chusteczką suchą i smutną woń. – Człowieku, właśnie dlatego się śmieję. W tym cały dowcip: w zestawieniu tego wszystkiego, co wymieniła.

„Ma bezbarwne spojrzenie – pomyślał Guiñazú. – Tylko blask i wypukłość; mógłby godzinami patrzeć, nie drgnąwszy powieką, z całym płatkim róży w oku”.

– Ale mnie to już nie bawi – ciągnął Guiñazú. – Historia jest nazbyt komiczna, przerażająco komiczna. Tak bardzo, że zacząłem brać ją na serio, nie ufając temu, co się wydaje oczywiste. Myślę przykładowo, już na pożegnanie, o psie, niech mi pan powie, dlaczego zostawiła go jemu, a nie którejś z tych kuzynek milionerek.

Zamknął teatralnie drzwi i prawie natychmiast usłyszał rechot Cañábala, bełkotliwe pytania, które tamten głośno sobie stawiał i zanosił się śmiechem.

Dowiedzieliśmy się również, że Guiñazú – który przestał się z nami widywać w kawiarni – odwiedził następnego dnia Las Casuarinas. Dowiedzieliśmy się, że pił z nimi w ogrodzie herbatę, że obejrzał osłonięte przed chłodem i posypane środkiem owadobójczym, krzaki róż.

Dowiedzieliśmy się, kiedy Guiñazú zaczął wreszcie mówić, kiedy nadeszła zima i Las Casuarinas opustoszało, a mieszkańcy Santa Maríi, nieczuli na chłód i przymrozki, rozprawiali o nieśmiertelnej i niejasnej historii z testamentem, dowiedzieliśmy się, że tamtego dżdżystego, jesiennego popołudnia Guiñazú, nie czekając na dopełnienie wszystkich prawnych formalności, przekazał im zdychającego i robiącego pod siebie kundla oraz pięć stupesowych banknotów.

W rzeczywistości jednak znacznie wcześniej mieliśmy powody podejrzewać, że Guiñazú dał im psa i pieniądze. Powinniśmy byli domyśleć się tego w miodowy, niedzielny ranek, kiedy ktoś opowiedział nam, że dziewczyna, obejmując rękoma brzuch tak wielki, jakby dźwigała jedenastomiesięczny płód, z kudłatym, kaprawym psem przy nodze siedziała w porcie na schodach, koło promowej przestani, wśród stosu waliz i okrągłych pudeł na kapelusze.

Powinniśmy byli domyśleć się wszystkiego, gdy ktoś inny opowiedział, że chłopiec, popędzając nie wiedząc czemu konia, objeżdżał tego samego dnia o świcie dwukółką z Las Casuarinas okoliczne wille i skupował kwiaty. Brał wszystkie, nie przebierając, płacił bez targowania się, składał naręcza pod budą, mówił „tak”, gdy częstowano go jabłecznikiem, i znowu wskakiwał na kozła. Tłukł się po polnych drogach, stukał do bram, kazał zwierzęciu pędzić pod niknącym kręgiem księżyca, wśród ujadania chudych, niewidzialnych psów, wychodził na spotkanie latarń i nieufności, aż osłabł i został bez grosza, poczuł się głodny i senny, wyzbyty początkowej wiary i pamięci o jakimkolwiek pierwotnym zamiarze.

Był już ranek, kiedy koń, potrząsając łbem, zatrzymał się pod murem cmentarza. Chłopiec poderwał z kolan dłonie, jakby broniąc się przed dusznym odorem kwiatów ściśniętych pod plandeką, i w oczekiwaniu na głos dzwonu otwierającego cmentarną bramę rozmyślał o kobietach, umarłych i zwycięskich.

Być może przekupił dozorcę, uśmiechem lub obietnicą, swoim zmęczeniem lub rozpaczą, jaką wyrażało jego ciało i twarz, starsza i bardziej nosata. A może dozorca czuł to, co nam – Lanzie, Guiñazú i mnie – wydawało się, że wiemy: że umierają młodo ci, co nazbyt kochają bogów. Obwąchał go chyba, niepewny, zwiedziony przez moment wonią kwiatów. Być może dotknął go laską, nim rozpoznał i uznał za przyjaciela, za gościa.

Bo pozwolono mu wprowadzić wóz, podjechać, szarpiąc cugłami spieniony pysk konia, pod panteon z kolumnami, z czarnym aniołem o złamanych skrzydłach, datami i epitafiami na metalowych tablicach.

Bo widziano, jak stał, jak klęczał na koźle, a potem na tłustej, czarnej i wiecznie wilgotnej ziemi, na nieregularnej, bujnej murawie, jak poruszał rękoma, posapywał odsłaniając ze zmęczenia zęby i prznosił w pośpiechu świeżo ścięte kwiaty z wozu na grób, wiązanka za wiązanką, nie darując ani jednemu pąkowi, ani jednemu listkowi, aż zwrócił pięćset pesos, wznosił zuchwały i niestaranny kopiec, który dla niego i dla umarłej wyrażał coś, czego nigdy w pełni nie zdołaliśmy zrozumieć.

przełożył Rajmund Kalicki

ALBUM

Zobaczyłem ją po wyjściu z redakcji, kiedy stałem oparty o ścianę, na której wisiała tablica z nazwiskiem mego dziadka Augustyna Malabii, założyciela pisma. Przyniosłem jakiś artykuł o zbiorach lub porządku na ulicach Santa Marí, jedną z tych wierutnych bzdur, które mój stary, przejęty wciąż myślą o trzeciej stronie, zawsze u góry, w lewej kolumnie, nazywa wstępniakami i które po wydrukowaniu dają wrażenie solidności wspieranej powagą cyfr.

Była niedziela, wilgotne i gorące popołudnie początków lata. Szła od strony portu lub miasta z lekką lotniczą torbą, otulona futrem, które musiało ją parzyć, krok za krokiem, pod białymi ścianami domów i wodnistym, żółtawym niebem, trochę sztywna, zasmucona; wydawało się, że zbliżają ją do mnie zmierzch, rzeka, dźwięki walca dobiegające od placu i dziewczyny spacerujące w parach pod łysymi drzewami.

Kroczyła teraz obok Berneńskiej jakby odrobinę młodsza, drobniejsza w rozpiętym futrze, poruszała stopami z dziwną chyżością, której nie podchwytywały nogi i która nie ożywiała jej posągowego ciała.

Vásquez z działu zwrotów zbliżył się korytarzem i stanął koło mnie, widział, że się jej przyglądam, więc zaczął czyścić scyzorykiem paznokcie, jakby lekko onieśmielony nazwiskiem mego dziadka. Zapaliłem fajkę i czekałem na moment, kiedy będę mógł przeciąć ulicę, być może otrzeć się o kobietę, przekonać się, ile ma lat, i trzasnąwszy drzwiczkami wsiaść do nowego samochodu, którym ojciec pozwolił mi przyjechać. Ale ona zatrzymała się na rogu zasłaniając głowę, czubkiem wełnianej czapki, wyblakły kufel, który na reklamowym plakacie podnosił jakiś wąsaty blondyn. Znieruchomiała, jakby bezwolnie, tylko dlatego, że wygasł impuls, który pchał ją w górę ulicy.

– Musi być trochę stuknięta – powiedział Vásquez. – Od tygodnia mieszka w Hotelu Plaza; przyjechała sama, mówią, że z pełnymi kuframi. Ale całymi dniami, rano i wieczorem, pęta się z torbą po nabrzeżu, o każdej porze, nawet kiedy nie ma promu i motorówek.

– Jest brzydka, ma już swoje lata – powiedziałem i ziewnąłem.

– To zależy, jak spojrzeć, Joigito – zaopiniował łagodnie. – Jeszcze nie jeden chciałby ją usidłać. – Klepnął mnie w ramię na pożegnanie i przeciął w poprzek ulicę, prawie tak, jak miałem zamiar to zrobić, szary i drobny, krokiem przejętym od swego przyjaciela Junty, jakby ciągnął po asfalcie brzemień pękatego ciała, którego przecież nie miał. Przeszedł tuż obok kobiety na rogu przy Berneńskiej i nie poruszywszy głową, żeby się jej przyjrzeć, wszedł do lokalu.

Wiedziałem, że nie ze względu na mnie – i zapewne nikt nie miał na to wpływu, nawet ona sama – kobieta odpoczywała na ulicy, nieruchoma i złocista w środku niedzielnego popołudnia, poddając się biernie parnej spiekocie i nostalgii bez celu. Stałem dalej w bezruchu, wpatrzony w nią, aż pusta fajka zachrypiała w chwili, gdy kobieta poruszyła się i zaczęła schodzić w kierunku hotelu opustoszałą, boczną uliczką, która nas rozdzieliła i wkrótce połączyła. Szła krokiem szybkim i lekkim, jakby znaczyła tylko bieg czasu, obojętna na hałas bębnow, zuchwalstwa klarnetu, zapadający zmierzch, wątle i nikłe wonie zwiastujące własną śmierć.

Następnego dnia rano pomyślałem, że Vásquez skłamał lub przesadził i że kobiety nie ma już w Santa Maríi. Pierwszym autobusem pojechałem do miasta, żeby wymienić siatkę w rakietce, przekonałem Hansa, że prędzej umrze, niż rozpowie, że w poniedziałek rano, przy zamkniętych drzwiach swego zakładu, strzygł mi włosy, poszeptaliśmy wśród błysku nożyczek i luster, kupiłem tytoń do fajki i ruszyłem w stronę portu.

Kobiety nie było i nie zjawiała się, prom przywiózł kilku pasażerów, worki z pszenicą albo kukurydzą i jakiś stary, rozklekotany autobus. Pałłem fajkę, najpierw spacerując, a potem siedząc na nabrzeżu z nogami zwieszonymi nad wodą. Czasami tylko, z ukosa, obserwowałem ruch na jezdni i przy bramie czerwonego budynku urzędu celnego; nie wiedziałem, jak się zachować i o czym myśleć, gdyby kobieta z torbą i może znowu w futrze i wełnianej czapce stanęła niespodziewanie za moimi plecami. Dokładnie o pierwszej rozległ się dźwięk syreny i prom oderwał się od nabrzeża. Poczekałem jeszcze trochę, zgłodniały i pełen odrazy do fajki. Worki i autobusy zostały na brzegu; mój stary napisał kiedyś wstępniak „Czy musimy importować pszenicę?” (na te tradycyjnie żyzne do niedawna ziemie Santa Maríi), a także o „Cennym wkładzie w rozwój transportu na prowincji” (działalność na rzecz postępu podjęta w zdecydowanej formie przez naszą zbiorowość).

Zawieszony niemal na widnokręgu, stateczek znieruchomiał. Zacząłem piąć się w stronę miasta. Nie pamiętałem już o kobiecie z lotniczą torbą, obojętny mi był i nie kusił ślad, jaki zostawiła w dzielącej nas przestrzeni między rogiem Berneńskiej a redakcją „El Liberala”. Zły i głodny łykałem zapałczany odór fajki i myślałem po drodze: „Nie konsultowana z nikim decyzja, podjęta w niewytłumaczalny sposób przez kierujące nami organy, zezwoliła niedawno na przywóz 27 i pół bunszli pszenicy do portu Santa María. Ta sama niezawisłość opinii, która pozwoliła nam przyklasnąć dokonaniom nowej Rady, każe nam dzisiaj wystąpić z bezstronnym głosem potępienia”.

Z La Nueva Italia zadzwoniłem do mamy i powiedziałem, że zjem w mieście, aby nie spóźnić się na zajęcia. Byłem pewien, że kobieta została odtrącona lub też rozwiła się wśród głupoty Santa Marí, którą dobitnie symbolizują artykuły mego ojca: „Prawdziwy afront, nie wahamy się użyć tego słowa, ze strony panów radców wobec surowych i ofiarnych rolników z okolicznych kolonii, którzy własnym znojem z pokolenia na pokolenie przysparzali nam godnych zazdrości bogactw, z jakich teraz wszyscy korzystamy”.

Kiedy wyszliśmy po lekcjach, Tito uparł się, żebyśmy skoczyli na wermut do Universalu (nie chciał iść do Hotelu Plaza w obawie, że może spotkać się tam ze swym starym), gdzie zwierzył mi się z miłosnej przygody ze swą młodszą kuzynką, nauczycielką; obstawał przy wiarygodności szczegółów, odpowiadał bez zająknięcia na moje pytania, było jasne, że od dawna przygotował się do tych zwierzeń. Spoważniałem, posmutniałem, obruszyłem się.

– Wiesz – powiedziałem, szukając uporczywie jego spojrzenia – musisz się teraz z nią ożenić. Nie ma tłumaczeń, nawet gdyby kuzynka nie chciała. Jeśli prawdą jest to, co mi powiedziałaś, musisz się z nią ożenić. Mimo wszystko; choć ma biedaczka łydki grube jak uda, choć wykrzywia usta jak stara panna.

Tito zaczął się śmiać i potrząsać głową, i już chciał powiedzieć, że to żart, kiedy wstałem, tak że poczerwieniał ze strachu i niepewności.

– Nie chcę i nie mogę się z tobą widywać, dopóki się z nią nie zaręczysz. Zapłać, bo zaprosiłeś.

Żałowałem tego tylko przez pierwsze trzy kroki, kiedy przechodziłem przez chodnik koło kawiarni i wpychałem zeszyty i książkę do angielskiego w kieszeń płaszcza. Gruby, zaczerwieniony, chełpliwy, służalczy, teraz być może z wilgotnymi oczyma, idiota, mój kolega. Nadal było parno; ciepło na skrzyżowaniach ulic i nijako w cieniu podwórek, jeszcze cieplej po krótkim marszu. Kiedy schodziłem do portu, czułem się, na przekór sobie, szczęśliwy, zacząłem nucić jakiś marsz bez tytułu, który zamyka popisy orkiestry na placu, poczułem zapach jaśminów, przypomniałem sobie dawne wakacje, kiedy to farmerzy zarzucali miasto tonami jaśminowego kwiecia, i odkryłem, zwolniwszy kroku, że i ja mam wspomnienia.

Ujrzałem ją z wysokości ukwieconego bulwaru; jej sylwetka rosła na drugim końcu mola, w miarę jak zbliżała się ku mgłom nad wodami, a torba i futro stapały się w jedno. Chodziła tam i z powrotem, podczas gdy paliłem fajkę; chwilami przystawała na dużych płytach mola tuż nad brzegiem i wpatrywała się we mgłę i daleki, bezchmurny skrawek horyzontu z różowymi ruinami pałacu rodziny Latorre, choć byłem pewny, że na nikogo nie czeka i że tylko udaje. Motorówki przybijały do brzegu i znowu ginęły na rzece, a ona nawet nie poruszyła głową, aby zobaczyć, skąd dochodzą zawodzenia syren, i nie spojrzała na zamazane grupki pasażerów. Stała, drobna i sztywna, i wpatrywała się w wielki biały tuman osiadły na falach, jakby czekając niespodzianek, zbliżeń. Zaczynało już zmierzchać i znacznie się ochłodziło, kiedy miała wreszcie dosyć i odwróciła się, żeby zobaczyć, czy może przejść wprost przez bulwar.

Szedłem za nią do samego hotelu, przekonany, że czuje moją obecność parędziesiąt kroków za sobą – choć nie odwróciła się i ani razu nie spojrzała na mnie – i że jestem jej pomocny, że pomagam wspinać się po ulicach, żyć. Szła odrętwiała, nieczuła, jak poprzedniego wieczoru, w niedzielę, kiedy to znalazła się obok Berneńskiej, wśród tęsknych melodii granych na placu przez orkiestrę, którą Fitipaldi prowadził błyskami swych wściekłych oczu. Widziałem, jak zatrzymuje się przy każdej wystawie sklepowej, ociera się prawym ramieniem o szybę, przygląda się niedbale, poświęca każdej dokładnie pół minuty, z twarzą obojętną na napastliwość migotliwych świateł, bez względu na to, czy pokazują jej halki, czy też paczuszki z yerba *mate*, wędki lub części zamienne do traktorów.

Weszła w końcu do hotelu, a ja ruszyłem w stronę klubu, nabiłem fajkę, przyglądałem się mgłę rozszarpywanej przez zimny wiatr tuż nad placem i potem zawróciłem. Siedziała w barze na stołku, nad małym kieliszkiem, w który wpatrywała się nie dotykając go, ochraniając rękoma torbę leżącą na spódnicy. Usiadłem pod oknem, z dala od bufetu, i zacząłem przeglądać zeszyt z notatkami. Ona dalej była spokojna, skupiona, zahipnotyzowana złocistą kroplą w kieliszku. Może zobaczyła mnie w lustrze, może zauważyła, gdy tylko zjawiłem się w porcie z fajką w zębach i świeżo odkrytymi wspomnieniami. Przeczytałem w zeszytce: *Why, thou wert better in thy grave, that to answer with by uncoveied body this extermity of the skies*. Z pewnością jednak widziała mnie w lustrze, bo kiedy podniosłem oczy, nie musiała nawet odwracać głowy, żeby ująć kieliszek palcami, zejść ze stołka i ruszyć prostą drogą, którą w cudowny sposób odnalazła między stolikami, z nietkniętym kieliszkiem na wysokości piersi i torbą, którą lekko zdjęła z kolan.

Usiadła i postawiła kieliszek dokładnie na środku stolika, a ponieważ niczego nie zamawiałem, nie sposób było domyśleć się, do kogo należy. Przyglądała się mu z opuszczonymi oczyma, a ja zacząłem poznawać jej twarz i chowając zeszyt do angielskiego doznawać coraz większego niepokoju. Siedziała w wełnianej czapce – z frędzlami, starej i niestarannie zrobionej na drutach – naciągniętej bez wdzięku na jedno ucho, spokojna i poważna, jakby zastanawiała się przed podjęciem ostatecznej decyzji, jakby konieczne było, żeby wszystko zaczęło się od tej właśnie parodii zamyślenia. Zobaczyłem, że jedynym, co mnie w niej pociągało – mimo mego głodu, głodu Tita, wszystkich żarłocznych i lęklwych pragnień moich przyjaciół – była okrągła twarz, śniada, młoda i już podniszczona, z powiekami, których kąciki opadały na kości policzkowe, i dużymi, wyzywającymi ustami. Wpatrzona we mnie, jednym haustem wypijała zawartość kieliszka i kiedy stawiała go na stole, już się uśmiechała; był to jeden gwałtowny uśmiech, bezradny i zarazem zaborczy jak jej spojrzenie, jak gdyby przyglądała mi się zębami, wydłużonymi czerwoną kreską, meszkiem i zmarszczkami, jakie je okalały.

– Mogę ci mówić ty? – zapytała. – Przed wieloma laty umówiliśmy się na to popołudnie. Prawda? Nie ma znaczenia, kiedy, bo sam widzisz, że nie mogliśmy o tym zapomnieć i zjawiliśmy się punktualnie.

Twarz, a do tego głos. Kiedy podszedł kelner, zamówiła drugi kieliszek? ja niczego nie chciałem, zająłem się fajką, zaczerwieniony, onieśmielony, pewien, że nie kpi i że jej wyjaśnienia są zbędne. Twarz, wciąż, i ten głos, żywy jak jej stopy, swobodny i niewinny, przekonujący, nieustępliwy.

Wszystko to jednak było tylko wstępem, jako że prawdziwa historia zaczęła się w tydzień potem. Wstępem była także moja wizyta u Díaz Greya, lekarza, z prośbą, aby przedstawił mnie komiwojażerowi pewnej firmy farmaceutycznej, który zamieszkał z pół tuzinem walizek pełnych próbek leków na pierwszym piętrze hotelu, w tym samym korytarzu, gdzie mieścił się pokój kobiety, a także moje spotkanie z komiwojażerem i sposób, w jaki jego łagodny cynizm, jedwabna koszula z podwiniętymi rękawami, małe zaślinione usta beztrósco upokorzyły, w pewne popołudnie w zagraconym pokoju, wyuczone na pamięć zdania, jakie próbowałem przed nim obojętnie powtarzać. Nim powiedział tak, zarechotał, prawie bezgłośnie, i wyciągnięty w skarpetkach na łóżku, z cygarem w ustach, przypomniał kilka własnych, brudnych przygód. Zeszliśmy razem i wyjaśnił w recepcji, że codziennie po południu będę przychodził do jego pokoju, aby mu pomóc przepisywać na maszynie zamówienia: „Proszę mu dawać klucze”, ucisnął mi dłoń, poważnie, jak dorosłemu mężczyźnie, z dziwną dumą w swych małych i uszczęśliwionych oczach. Rodzicom nie chciałem wymyślać innego kłamstwa; powtórzyłem bajeczkę o przepisywaniu na maszynie zamówień poleconych mi przez komiwojażera, niewiele się przejmując pieniędzmi, które powinienem był zarobić i im pokazać. Każdego popołudnia, po lekcjach – a czasami także przed, gdy tylko udało mi się uciec – wchodziłem do hotelu, pozdrowiałem z uśmiechem osobę pełniącą dyżur w recepcji i jechałem do góry windą lub wspinałem się po schodach. Komiwojażer – Ernesto Maynard, głosiły nalepki na próbkach – objeżdżał apteki wybrzeża; przez pierwsze dni wiele czasu poświęcałem na zbadanie zawartości tubek i słoików, na lekturę obietnic i zaleceń drukowanych na jedwabistym papierze stylem bezosobowym, niekiedy mrocznym, umiarkowanie optymistycznym. Oparty o drzwi

wśluchiwałem się potem w ciszę na korytarzu, hałasy dobiegające z baru i miasta. Stało się.

Kobieta udawała zawsze, że śpi i budziła się z lekkim zaskoczeniem, wymieniając różne męskie imiona, odurzona snem, którego przerwania nie mogła wynagrodzić ani moja obecność, ani żadna inna rzeczywistość. Byłem wygłodniały, a głód mój rósł wciąż i nie potrafiłem już wyobrazić sobie życia bez niej. A przecież okazało się wkrótce, że zaspokajanie tego głodu, wśród wielu rozmyślnych i nieuniknionych komplikacji, ma cenę, którą będziemy musieli, ja i kobieta, zapłacić.

Prawdziwa historia zaczęła się w pewien zimny wieczór, kiedy słuchaliśmy szumu deszczu i nieruchomi, skurczeni, zapomnieliśmy jedno o drugim. Wąska smuga żółtego światła padała na drzwi z łazienki, a ja wyobrażałem sobie samotne latarnie na placu i bulwarze i prostopadłe strużki deszczu. Historia ta zaczęła się, kiedy powiedziała nagle, nie poruszając się, kiedy jej głos oderwał się i zawisł w półmroku nad nami.

– I co z tego, że pada, choćby padało tak przez sto lat, nie jest to deszcz. Spadająca woda, ale nie deszcz.

Towarzyszył tym słowom i poprzedzał je duży, niewidoczny uśmiech; zapewne przemówiła dopiero wówczas, gdy uśmiech nabrał kształtów i wypełnił jej twarz.

– Tylko padająca woda, którą ludzie muszą jakoś nazwać. I dlatego w tym miasteczku lub mieście nazywają deszczem padającą wodą; ale to nieprawda.

Nie podejrzewałem, nawet wówczas, kiedy padło słowo Szkocja, że teraz się wszystko zaczyna; jej łagodny głos płynął nieprzerwanie nade mną. Wyjaśniła mi, że o deszczu można mówić tylko wtedy, gdy pada bez żadnego sensu i potrzeby.

– Zamek leżał w Aberdeen i był tak stary, że wiatr hulał po korytarzach, salach i schodach. Było tam więcej wiatru niż na zewnątrz, w ciemnościach. A deszcz, który zebrał nas na dwa dni wokół kominka wysokiego jak roślina męczyzna, ściągnął nas w końcu pod rozbite okna. Nie rozmawialiśmy, od rana do wieczora przesiadywaliśmy w salonie, każdy z nosem na szybie, spokojni jak kamienni święci w kościele. A trzeciego dnia, chyba MacGregor obwieścił, że deszcz przestał padać i że wkrótce zacznie sypać śniegiem, zawieje drogi i niech każdy sam oceni, czy jest to lepsze, czy gorsze od deszczu.

Taka była pierwsza opowieść; powtarzała ją czasami, prawie zawsze, gdy prosiłem o to znużony spiekotą w Indiach lub obozowiskiem w Amatlán. Chyba nikt inny nie potrafił tak kłamać, myślałem. Albo nikt nie polował na lisy, aż wybuchnęła śmiechem, potrząsała głową i zmagła się dzielnie z jakimś wstydliwym, wyblakłym wspomnieniem, aby po chwili przywiązać konia do drzewa i ukryć się z jakimś lordem lub parą, albo też młodszym synem lorda w ruinach, tarzać się na liściastym kobiercu, podczas gdy wokół nich – w kiczowatej, jesiennej scenerii, jaką ożywiała, bez wysiłku, leżąc koło mnie, z uczuciem bezosobowej, boskiej przyjemności – pędziła za lisem sfora myśliwych, aż trzęsła się ziemia; W zgodnym szaleństwie, które opisywała słowami wyniosłymi i zwiędłymi: orszak myśliwych, sfora psów, myśliwskie kurtki, las, nagonka niepotrzebna przemoc, drobna, ruda śmierć.

A w środku każdego zmyślenia znajdowałem kobietę, każda opowieść była właśnie nią, leżącą obok mnie. Przestały interesować mnie książki i marzenia, byłem pewien, że kiedy wyruszymy w podróż, jaką planowaliśmy, ja i Tito, krajobrazy, miasta, odległości, cały świat odsłonią mi oblicze, które mi nic nie będzie mówiło, portrety nieobecnych twarzy, odarte nieodwołalnie z prawdziwej rzeczywistości.

Jak zawsze czułem głód, ale słuchanie jej przerodziło się w nałóg silniejszy, przyjemniejszy, tylko mój. Bo nic nie mogło się równać z tą niezwykłą możliwością, jaką przede mną otwierała, przywilejem kłopotania się o to, czy wybierać Wenecję, czy też Kair, kiedy na kilka godzin przed spotkaniem siedziałem z udawanym skupieniem wśród dwunastu biednych chłopców zapatrzonych, jak na tablicy i na ustach mister Poola pęczniewą bezładne słowa; nic nie mogło zastąpić upragnionych podróży, o które wystarczyło szeptem poprosić, aby się ziściły, nigdy jednakowe, wciąż inne i coraz doskonalsze.

Przemierzyliśmy trasę od Nowego Jorku po San Francisco – po raz pierwszy, ale to, co opisała, rozczerowało mnie podobieństwem do reklamy trunków w jednym z zagranicznych magazynów, jakie przychodzą do redakcji: przyjęcie w hotelowym pokoju, ogromne okna bez firanek, z widokiem na marmurowe miasto skąpane w promieniach słońca; a wydarzenie to, to jakby plagiat tego, co zaszło w hotelu Bolívar w Limie – „płakaliśmy z zimna na wschodnim wybrzeżu i jeszcze tego samego dnia, niebywałe, kąpaliśmy się na plaży”, kiedy zjawił się mężczyzna.

Był barczysty i niski i wystarczył mi jeden rzut oka, aby móc go dzisiaj przywołać i ożywić w pamięci: krzaczaste brwi, kołnierz połyskliwej i pasiastej koszuli, perła w krawacie, modny krój klap. Być może także, choć niekoniecznie, uparty, półksiężycowaty uśmiezek, owłosione dłonie na stole, niby oręż do obnoszenia i wywierania presji. Siedzieli obok sali restauracyjnej, była siódma wieczorem. Ona pochylała się nad kieliszkami i popielniczką, strużka dymu przecinała jej twarz; pod czarnymi brwiami mężczyzny dostrzec można było łagodny rumieniec zawstydzenia, niepewność, czy należy przerwać jej egzaltowane komplementy.

Wsiadłem do windy i zamknąłem się w pokoju Maynarda; wyciągnięty na łóżku, z fajką w ustach, przysłuchiwałem się odgłosom na korytarzu, przeczytałem opowieść o dramatycznych i częściowych tylko zwycięstwach nad chorobą Parkinsona i dowiedziałem się, że ciężka anemia jest chorobą blondynek o niebieskich oczach. I nagle przyszła mi do głowy myśl, że mogła wejść z nim na górę; wyobraziłem sobie jej drobne kroki, nieświadome celu, pod eskortą ciężkiego, powolnego stąpania mężczyzny. Zjechałem na dół. Siedzieli przy stoliku i dalej rozmyślali o tych samych sprawach; kobieta wpatrywała się w jego czarne brwi, mężczyzna w ręce na obrusie.

Przeciąłem plac bez uczucia zazdrości, smutny i obrażony, szukając w myśli przyczyn przegranej. Skręciłem w Urquiza i wszedłem do sklepu żelaznego. Sprzedawca w długim po kostki, szarostalowym albo popielatym, fartuchu siedział na wysokiej drabinie, trzymał na kolanach drewnianą skrzynkę i zaglądał w otwory śrub, aby przekonać się, jaki mają gwint, prawy czy lewy. Po sprawdzeniu segregował je. Stara siedziała za ladą, z czarną chustką na ramionach, poważna, skąpa, jeszcze bardziej niedowidząca niż przed tygodniem.

– Tito uczy się na górze. – Nie odpowiedziała na powitanie, nie poprosiła, żebym wszedł, przyglądała mi się tak, jakby podejrzewała, że to z mojej winy jej siwe włosy stawały się coraz bardziej odrażające. Wtedy uciekłem się do uśmiechu, krótkiego błysku, świadectwa niewinności z dwoma zuchwałymi ognikami w oczach. Walczyła ze sobą przez moment:

– Dlaczego nie wchodzisz?

– Tylko na chwilę, dziękuję. Chcę pożyczyć od niego zeszyt.

Przeszedłem przez patio, zobaczyłem za drzwiami siostrę Tita pochyloną nad żelazkiem, chłód wisiał w powietrzu, jakiś czarny kot umknął przed moim kopniakiem i śliną. Tito schował pod poduszkę magazyn, który czytał, i zrobił porozumiewawczy gest, po którym wyciągnął z szafy i postawił na stole butelkę słodkiej wódki.

– Mam za to tylko jedną szklankę.

Był zadowolony z siebie, grubiutki, odrobinę speszony. Ja, poważny i melancholijny, przyjąłem to z wyrozumiałością, wypilem po nim, oparłem łokieć na wytartej ceracie stołu, wolno zapaliłem fajkę.

– Czytałem jeszcze raz ten wiersz – powiedział i podniósł brudną, ozdobioną kwiatami szklankę, przeznaczoną do mycia zębów lub zaparzania ziółek. – Mów, co chcesz, nie jest zły. Sporo tu dymu. Otworzyć okno?

W Santa Marfí z nadejściem nocy rzeka znika, cofa się cicho w mrok niczym zwijany dywan, z prawa miarowo wdzierają się pola – patrzymy wtedy wszyscy na północ – zniewalają nas, wnikają w rzeczne koryto. Nocna samotność pośród wód lub nad ich brzegami ożywia, jak sądzę, wspomnienia, pustkę lub przyszłość; noc na równinie, zapadająca punktualnie i władczo, zostawia nas samych sobie, światłych, żyjących czasem terazniejszym.

– Nie jest to wiersz – powiedziałem słodko. – Wmawiasz staremu, że się uczysz, i zamykasz się, żeby czytać te świństwa, które sam ci pożyczyłem. To wcale nie wiersz, to usprawiedliwienie, że mogłem napisać wiersz, ale nie potrafiłem.

– Mówię ci, że jest dobry. – Lekko uderzył pięścią w stół, hardy, podniecony.

Kiedy zapada noc, zostajemy bez rzeki; zawodzenia syren w porcie przemieniają się w muczenie zabłąkanych krów, a wiatr nad wodą jęczy niby suchy podmuch nad pszenicznymi łanami i grzbietami wzgórz. Niech każdy zostanie sam i przygląda się sobie, aż się rozsypie, bez wspomnień i jutra; z twarzą na zawsze wolną od tajemnic.

– A twoja siostra wyjdzie za subiekta, oczywiście jeszcze nie w tym roku. Kiedy już twój stary nie będzie miał innego wyjścia, jak odstąpić im swój udział. A ty któregoś dnia staniesz za ladą, nie żeby konkurować ze sprzedawcą o siostrę, jak byłoby sprawiedliwie i poetycznie i jak ja bym zrobił, ale żeby nie okradli cię razem do ostatniego peso.

Podał mi szklanę z pobłażliwym i lekko cynicznym uśmiechem. Pociągnąłem łyk starając się przypomnieć sobie, z czym do niego przyszedłem. Zbliżyłem zapalną do syczącej fajki. Przyszedłem rozmyślać, pod opiekuńczą obecność Tita, o tym, że nie jestem zazdrosny o mężczyznę z krzaczastymi brwiami i perłową spinką; że przecież nie spojrzała na mnie i nie mogłaby spojrzeć z zawziętą chęcią upokorzenia mnie, jak wydało mi się po wejściu do baru, że tak naprawdę żal mi było tylko przygód i podróży, wesołej oberży w Neapolu, gdzie kochała się przy dźwiękach mandoliny, i spacerów po São Paulo, gdzie pomagała gderliwemu i posępnemu mężczyźnie naprawiać architekturę tropików. Nie lęk przed samotnością! lęk przed utratą samotności, która dała mi poczucie siły, wprowadziła w świat przygód, jakich nigdy w przyszłości nie zaznam i nie będę mógł niczym zastąpić.

Następnego wieczoru po mężczyźnie nie było nawet śladu i ani ja, ani ona nie wspominaliśmy o niefortunnym wczorajszym spotkaniu. (Moje szczęście polegało po części na unikaniu rzeczowych pytań, niezaspokajaniu ciekawości, dlaczego przyjechała do Santa Marí, dlaczego chodziła z torbą po nabrzeżu). Być może tamtego wieczoru była bardziej opiekuńcza, bardziej wymagająca i drobiazgowa. Pewne jest tylko to, że nie było już jej, nikt nie wołał jej imienia i nie obejmował w długiej opowieści o podróży statkiem po Renie, przy złej pogodzie, z Moguncji do Kolonii. Wszystko inne jest wątpliwe: przeznaczenie uśmiechu w półmroku, niepokojący chłód, lubość, z jaką rozwlekała się nad szczegółami podróży, chęć pominięcia tego, co istotne, zamazania znaczeń. W każdym bądź razie opisała mi to, co znałem na pamięć: stateczek na rzece, śmiałych blondynów, niespełnione nadzieje na ostateczną katastrofę.

I kiedy ubierałem się, poprawiłem beret i starałem się szybko odzyskać zaufanie do tego głupiego świata, wybaczyłem jej i to niepowodzenie i obmyśliłem przeprosiny, które wyrażałyby moją pełnię awanturnicznych doświadczeń i odrażającą dojrzałość.

Pamiętam, jak rozczochrana i zrezygnowana pomagała mi, godziła się na moje odejście, żegnała moje chude ciało, ospałość i zasłuchanie.

I jeśli to pożegnanie z kobietą podróżującą wieczorem po wzburzonym Renie było rozstaniem z matką, to spotkanie następnego dnia o szóstej było rozmową z ojcem. Siedział – w osobie Ernesta Maynarda – lekko podpity w barze przy bufecie, z zaczerwienioną i podnieconą twarzą, pilnował wejścia, przekonany, że mnie tu złapie. Wystarczyło jedno kiwnięcie palcem, żeby mnie przywołać.

– Dzień dobry – wymruczałem grubym głosem; usiadłem koło niego, ułożyłem na kolanach książki i zeszyty i przysiałem na trunek, na który on miał ochotę.

Popijaliśmy w milczeniu. Potem położył dłoń na moim ramieniu, nic więcej, bez pobłażliwości lub współczucia. Będę wspominał z wdzięcznością przez długie lata, jak gryzł obok mnie cygaro, wyjmował je z ust, aby przyjrzeć się małymi, zadowolonymi oczkami długości i barwie popiołu, jak szukał, gruby i pewny siebie, w swej nieokrzesej, prostej głowie słów, które by niezbyt raniły, lecz zawierały przy tym ową gorycz, co krzepi i uczy.

– A więc, wyprowadziła się. Znam całą historię. Mieszkam w hotelach i jeżdżę po całym wybrzeżu przekonując lekarzy, dentystów, aptekarzy i znachorów. Potrafię sprzedać każdą rzecz, wiedziałem o tym od dawna, gdy byłem jeszcze młodszy od ciebie, mam taki talent. Ciężko haruję. Ale nigdy nie bawię się w plotki. Znam je, nim zaczną krążyć; wszystkie rogi, poronienia i szalbierstwa. Wyjechała dziś rano albo, dokładniej, nie wróciła na noc. Zostawiła karteczkę z prośbą, żeby przechować kuferek, po który wróci, i wtedy ureguluje pozostałość rachunku, jakieś trzysta pesów. Nic poza tym kuferkiem; trzyma w nim chyba kamienie albo starą odzież i rachunki z innych hoteli. Wiedziałem, że kwadrans po szóstej przyjdiesz do hotelu. Czekałem, żeby ci powiedzieć bez ogródek, że ta kobieta więcej nie wróci i żebyś nią sobie nie zawracał głowy. Nie ma sensu żyć jak ci wszyscy biedni faceci, którzy kupują koszule, albo robią to za nich ich żony, w La Moderna i wybierają garnitury z katalogów Gath and Chaves. Czekając, aż podupadną interesy i żony, albo na nic już nie czekając. Musisz machnąć na to wszystko ręką, któregoś dnia, mówię ci, jeszcze mi za to podziękujesz.

Podziękowałem i wyszedłem, czując po raz pierwszy, że nie mam do kogo iść. Tej nocy chciałem odbudować cały świat, każde miejsce, które mi opisała, każde zmyślenie. Przestałem wspominać jej twarz, kiedy za oknem już świtało.

Nie było sensu prosić o pożyczkę. Rano poszedłem do banku i zostawiłem na mojej książeczce oszczędnościowej pięć pesos; u Salema zastawiłem zegarek po siostrze (szwagierka, milcząca i przejęta, zdjęła go z dłoni po jej śmierci). Przed południem stałem już przed recepcją pełen pieniędzy, siły, mrocznej potrzeby znieważania i trwonienia. Wyjaśniłem, że ta pani przysłała mi trzysta pesów na wykupienie kufierka, podsunęto mi rachunek, na każdym kazano napisać „z upoważnienia Carmen Méndez”. Umówiliśmy się z Titem, że przeniesiemy kuferek do garażu za sklepem, kiedy już starzy będą spali. Przez cały dzień myślałem o doktorze Díaz Greyu, rojąc sobie, że wszystko to robię z myślą o nim, o jego nieokreślonej dżentelmeńskiej famie, jaką cieszył się w mieście, kiedy drobny, starannie ubrany, samotny, kuśtykał, z lubością podpierając się laską.

Tak więc w dwadzieścia cztery godziny po jej wyjeździe z Santa Marí, wyczerpany i dumny, zamknąłem się z Titem w garażu, otworzyliśmy butelkę i rozmawiali o nocy poślubnej i duchach siedząc na kufierku i uderzając go lekko piętami. Kiedy w butelce została już tylko połowa, a on poprosił mnie, żebyśmy nie mówili więcej o ciele jego siostry, zerwałem kłódkę i zaczęliśmy wyciągać brudną i niepotrzebną nikomu bieliznę, pachnącą nie perfumami, lecz potem i stęchlizną, jakieś stare czasopisma, dwie angielskie książki i album w skórzanych okładkach z inicjałami C. M.

Przykucnąłem z fajką w ustach wykrzywionych wyniosłym grymasem i zobaczyłem, jakże już dorosły, fotografie, na których kobieta – coraz starsza i coraz bardziej łatwowierna w miarę, jak wściekle przerzucałem kartki albumu – pędziła konno w Egipcie, uśmiechała się do graczy w golfa na łąkach Szkocji, ścisnęła się z filmowymi aktorkami w jakimś kalifornijskim kabarecie, rozmyślała o śmierci wśród uroczysk Rouen, urzeczywistniała, zniesławiała każdą historię, którą mi opowiedziała wieczorami, kiedy kochałem ją i słuchałem.

przełożył Rajmund Kalicki

MASKARADA

María Esperanza weszła do parku ceglastą ścieżką, która wśród ciemnych drzew prowadziła do jeziora i skręcała tuż nad brzegiem, zderzywszy się ze światłem reflektorów i czarnymi plecami ludzi zapatrzonych w pędzące motorówki z chorągiewkami i muzyką i w tancerzy na sztucznej wysepce. Była zmęczona, a pantofle na obcasach, wyższych niż kiedykolwiek, sprawiały ból, jakby ścięta przy kostkach miała poranione. Zatrzymała się, choć czuła, nie wiedzieć dlaczego, że to jeszcze nie tutaj, a poza tym bała się tych wszystkich zamysłonych twarzy, poważnych lub uśmiechniętych, bała się, gdyż były tak podobne do jej własnej, którą pokryła krzykliwą, białą, czerwoną i czarną farbą, bała się, że przyjrzą się jej, odkryją, do jakiego bractwa należy, i obrzucą pogardliwym spojrzeniem za to, że zajmuje się czymś, czego nie należałoby robić z taką twarzą, jaką miała przed paroma godzinami w lustrze, czystą i wolną od farb, promienną, wesołą i nie zawstydzoną, z wodą kapiącą z włosów.

Szła brzegiem jeziora wciskającego się między mrok i zagajnik, wśród dźwięków muzyki, jaka dochodziła z wysepki wraz z podmuchami wiatru owiewającego jej szyję. Usiadła na ławce i oswobodziła stopy z pantofli, przymknęła oczy i chłonęła uległe, szczęśliwa, trochę senna, wszystko, co niosła noc, daleką muzykę i woń kwiatów. Ale dopadło ją nagle mroczne wspomnienie sprzed paru godzin, tuż po obrazie czystej twarzy w lustrze, i to złośliwe oblicze wspomnienia zdawało się ranić jej serce i przejmować lękiem drobne ciało na ławce. Podniosła się i ruszyła w stronę parku otwierającego się na nabrzeże.

W miarę jak zbliżała się do świateł i zaczynała rozróżniać jasne, cyrkowe plakaty i kolorowe światełka kiosków (a muzyka baletowa na jeziorze ginęła za jej plecami, zaś marsze i tanga z niedalekiej kawiarni różowiły policzki), prostowała ciało, stawiała kroki coraz dłuższe i wolniejsze i naśladowała sposób poruszania się, jaki przećwiczyła tuż przed wyjściem. Niosła teraz głowę tak, jak to po raz ostatni widziała w lustrze, wysoko podniesioną, z zaokrąglonymi brwiami i obietnicą uśmiechu.

Znalazła się w drugiej części parku, ogłuszona gwarem muzyki, śmiechem, pokrzykiwaniami na kelnerów i zamówieniami powtarzanych przez nich przy bufecie. Przed jaskrawym światłem i hałasem chronił ją jeszcze cień drzewa, skąd mogła patrzeć na estradę i podniesioną kurtynę. Trio tancerzy w marynarskich strojach wystukiwało nogami rytm o deski estrady.

Drobna kobieta kręciła się między dwoma olbrzymami. Twarz jednego z mężczyzn była jasna i smutna, ze zwisającym nosem; drugi był chudy, miał niskie czoło i czarne, tłuste włosy, a cała głowa, całe jego szczupłe ciało wyrażało w tańcu nieuleczalną, żywiołową niechęć do życia. Ona była blondynką i uśmiechała się, zaczerwieniona, rozplomieniona, szczyrzyła dzieciinne ząbki, potrząsała włosami, przesadnie podkreślała rytm muzyki, rękoma, nogami i biodrami, śmiała się ze snopem bladego światła na twarzy, które bezlitośnie wypalało jej rysy i uwydatniało nos.

Na prawo jakiś człowiek we fraku pokazywał gawiedzi małpę siedzącą w kucki na stole, w stroju posłańca, podczas gdy inna małpa, trochę większa, smutna, o ociężałych ruchach, mrugała oczyma, ścisnęła w łapach akordeon i dobywała z niego wciąż tę samą nutę, ten sam dźwięk, który wydawał się być już ostatni. Mężczyzna we fraku wykrzywił usta i mówił coś chrapliwym głosem, a ludzie raz po raz zanosili się śmiechem, milkli na chwilę dla złapania oddechu i znowu zgodnie rechotali, tak że roześmiana María Esperanza, oparta o drzewo, z ręką na sękatym pniu, nie wiedziała, czy bawią ją mężczyzna, to, co mówi, czy też małpy.

Na lewo, trochę dalej, za rzędem białych i błękitnych lampek – błękit taki smutny, taki niemiły, jakiego nigdy nie widziała, nie wyobrażała sobie nawet, że taki może istnieć – za falą muzyki fortepianowej, która zdawała się wciąż powtarzać ten sam motyw, jakaś kobieta przebrana za mężczyznę, w czapce i z czerwoną chusteczką na szyi, śpiewała niezrozumiale i zaciągała się raz po raz papierosem. Patrzyła to w jedną, to w drugą stronę, jak gdyby goniła wzrokiem za słowami tanga porywanymi przez wiatr, chciała zobaczyć, jak daleko docierają, jak daleko potrafi je pchnąć i na głowę jakiego widza spadają, na jakim stoliku i na jakim skrawku podeptanego trawnika giną. Na dalekiej scenie kobieta w stroju mężczyzny nie miała twarzy. María Esperanza stała wciśnięta plecami w drzewo, czuła cały świat na swych barkach. Nie wiedziała, o czym śpiewa kobieta, ale kilka słów, jakie dotarło z rozbawionej nocy, znowu obudziło w niej uczucie smutnego szczęścia, jakiego doznała przed chwilą i zgubiła gdzieś w mroku, koło ławki. Niebo było czarne i kiedy spojrzała na nie, poczuła od plaży powiew chłodnego powietrza, które łatwo mogło położyć kres jej ożywieniu i ostatecznie pogrążyć ją w smutku, ją i jej ciało, oglądane przez złośliwą twarz wspomnienia, o którym nie powinna była myśleć.

Oderwała się od drzewa i zaczęła krążyć między stolikami. Kiedy stawiała pierwszy krok, nikt się jej nie przyglądał, przy następnym wszystkie głowy zwracały się, żeby ją zobaczyć, wszystkie uśmiechy, błyszczące spojrzenia, przepocone twarze kierowały się w jej stronę, ale już kolejny krok znowu stawiała sama, nie zauważana przez nikogo. Zatrzymała się. Stanęła niezdecydowana koło stolika, przy którym gruby mężczyzna o czarnych wąsach pił piwo i, nie spojrzawszy na nią, wpatrywał się znad pienistego kufła w tancerzy na scenie. Była sama, jak gdyby przywlokła za sobą drzewo i ukryła swój profil w splekanej korze, a zapomnianą dłoń wciąż opierała o gładki sęk.

Jakaś kobieta poruszyła kapeluszem z kwiatami, zachichotała i natychmiast spojrzały na nią trzy twarze ze sceny, wszystkie spojrzenia skierowały się w jej stronę, a ona szła cały czas, wypróbowanym na szczęście, zalotnym krokiem, i nie pozostawało jej już nic innego, jak dalej krążyć niemądrze po miejscach najrzęsiściej oświetlonych, gdzie zbiegały się kolorowe światła, ciekawość osób siedzących przy stolikach i spacerujących wolno, samotnie, parami lub z dziećmi, po parku w tę rześką, letnią noc. María Esperanza przymknęła oczy, poczuła, że jej usta składają się w uśmiech, otworzyła oczy i znowu podeszła do stolika z grubym mężczyzną, którego twarz, gdy tylko ją odkrył, rozpogodziła się; dwoma palcami poprawił węzeł krawata, obciągnął poły marynarki i postawił na stoliku kufel z piwem. Wpatrywał się w nią dobrodusznie, tak dobrodusznie, że wyszeptala nie i minęła go ocierając się ciałem o gałęzie ostrokrzewu, które przewlekłe powtórzyły jej szept.

Z lewa dobiegała wrzawa oklasków towarzyszących ukłonom kobiety przebranej za mężczyznę, która z czapką w dłoni prawie dotykała rozsypanymi włosami białych i błękitnych lampek, tych, których błękit przyprawiał o mdłości Marię Esperanzę. Spocona czuła, jak na jej twarzy rozmazują się farby, a ból w kostkach staje się coraz ostrzejszy.

I oto natychmiast po oklaskach znowu wszyscy zaczęli się jej przyglądać, a kupiecistka, która po tancerzach zjawiała się na scenie i szybko poruszała przy żywych dźwiękach *paso doble*, ujęła się pod boki i śpiewała, roześmiana, wpatrzona w nią, postąpiła dwa lub trzy kroki i dalej śpiewała, wpatrywała się, szydziła, rozmawiała tylko z nią przy rechocie publiczności siedzącej przy stolikach.

Wtedy oderwała się od ściany żywopłotu i podeszła do chudego mężczyzny w słomkowym kapeluszu zsuniętym na kark, który w bezruchu palił papierosa, i stanęła ocierając się prawie o niego i zaglądając mu w twarz. Mężczyzna dalej palił, a jego małe i smętne oczy patrzyły przed siebie. Ona szybko się odwróciła i ruszyła wyprostowana, ale już krokiem codziennym, powoli, z dłońmi opuszczonymi, do stolika, przy którym grubas pił drugi kufel piwa; odstawił go natychmiast, gdy tylko ją zauważył, a kiedy usiadła przy nim na metalowym krzeselku, twarz jego przybrała znowu dobrotliwy wyraz. Zauważyła jeszcze, że się jej przez chwilę przygląda swym dobrotliwym spojrzeniem. Potem zakrył ją cieniem, żeby przywołać kelnera, i znowu uśmiechnął się – słodko niby gęsty syrop, co miało znaczyć, że ona, María Esperanza, jest córką tego grubasa o gęstych czarnych wąsach pijącego piwo w parku w rzeńską, letnią noc – ujął jej dłoń leżącą na spódnicy, położył, trzymając wciąż w swojej, na stoliku i zadał pytanie, śmiech, drugie pytanie, za wszystko tylko dwa pytania, których dobrze nie zrozumiała.

przełożył Rajmund Kalicki

UŚMIECHY PIEKIEŁ

Pierwszy list, pierwszą fotografię otrzymał w redakcji po północy, przed zamknięciem numeru. Stukał na maszynie, trochę głodny, odurzony kawą i papierosami, z powszednią radością pochłonięty biegiem myśli i posłusznym rodzeniem się słów. Wystukiwał właśnie „Należy podkreślić, że sędziowie nie widzieli nic podejrzanego, ba, nic niezwykłego w ostatecznym zwycięstwie Playboya, który wysunął się na czoło w gonitwach zimowych i niczym strzała pomknął w decydującym biegu”, kiedy między swą twarzą i maszyną spostrzegł czerwoną, poplamioną tuszem dłoń Krajowca z kopertą.

– To do ciebie. Zawsze mieszają korespondencję. Żadnego przekłętego ogłoszenia z klubów, a potem kiedy zbliżają się wybory, leją łzy i wciąż im za mało miejsca. A już północ, no powiedz sam, czym mam zapełnić kolumnę.

Na kopercie widniało jego nazwisko, Dział Sportowy, „El Liberal”. Niezwykła była tylko para zielonych znaczków, i stempel z Bahii. Skończył artykuł właśnie w chwili, gdy zgłosił się ktoś, żeby porwać tekst do składania. Siedział teraz wyczerpany, zadowolony, prawie sam w przestronnym pomieszczeniu redakcji i myślał o ostatnim zdaniu: „Powtórzmy raz jeszcze z obiektywizmem, który od lat cechuje wszystkie nasze sądy. Służymy tylko kibicom”. W głębi Murzyn przewracał koperty z zapasami, a leciwa dama z kroniki towarzyskiej wolno zdejmowała rękawiczki w swej oszklonej kabinie, kiedy Risso z roztargnieniem otworzył kopertę.

Zawierała zdjęcie formatu pocztówkowego, szare, ciemne, na którym nienawiść i brud skupiły się na mrocznych krawędziach tworząc jakby grube, nieregularne ramki, prawie wypukłe, niczym krople potu oblewające zboląłą twarz. Spojrzał zaskoczony, nie pojął do końca, wiedział tylko, że oddałby wszystko, żeby zapomnieć to, co zobaczył.

Schował fotografię do kieszeni i zaczął nakładać płaszcz, kiedy Dama wyszła ze swej szklanej budki z wachlarzem papierów w dłoni.

– Halo – powiedziała – widzi pan, o tej porze dopiero kończą się przyjęcia.

Risso patrzył na nią z góry. Jasne, farbowane włosy, zmarszczki na szyi, wydatny spiczasty podbródek, obwisły niczym mały brzuszek, obwieszona tandetną biżuterią.

„To również kobieta. Widzę ją teraz z czerwoną chusteczką na szyi, ostrymi paznokciami na starych i pożółkłych od papierosów palcach, z pierścionkami i bransoletami, w stroju, który za pieniądze dostała od modystki, przecież nie od kochanka, na nieskończenie wysokich obcasach, być może koślawych, ze smętnym grymasem na ustach i szaloną bez mała radością, ilekroć się uśmiecha. Wszystko będzie łatwiejsze, jeśli przekonam siebie, że ona także jest kobietą”. – Wygląda to na rozmyślne. Ile razy zjawiam się, pan wychodzi, jak gdyby uciekał pan przede mną. Strasznie dziś zimno na dworze. Zostawiają mi, zgodnie z obietnicą, materiały, ale bez żadnego nazwiska, wyjaśnienia. Domyślaj się teraz, łatwo o pomyłkę, można palnąć duże głupstwo. Nie znam żadnych nazwisk poza parą młodą, i Bogu dzięki. Przepych i zły smak, nic poza tym. Podejmowali przyjaciół na wystawnym bankiecie u rodziców młodej. Nikt poważny nie bierze teraz ślubu w sobotę. Niech się pan dobrze ubierze, od bulwaru ciągnie polarnym chłodem.

Kiedy Risso ożenił się z Gracją César, połączyło nas milczenie i odrzuciliśmy wszystkie złe wróżby. Dziewczyna przyglądała się w tamtych czasach mieszkańcom Santa Marí z plakatów trupy teatralnej „Piwnica”, z murów podniszczonych jesienną pluchą. Czasami nietknięta, innym znów razem z wąsami dorysowanymi ołówkiem, podarta zawistnymi paznokciami lub pierwszymi deszczami, odwracała lekko głowę i spoglądała na ulicę, czujna, trochę nieufna, jakby w złudnej nadziei, że przekona nas, że ją zrozumiemy. Błyski w załzawionych kącikach oczu, powiększonych w pracowni fotograficznej Orloff, podobnie jak i jej twarz, zdradzały jednak tę udawaną miłość do pełni życia, miłość, za którą kryła się wyłącznie zuchwała pogoń za szczęściem.

To dobrze, myślał zapewne Risso, było to pożądane i konieczne, wypełniało rosnącą z miesiąca na miesiąc pustkę po śmierci żony, wszystkie te niezliczone, sobotnie ranki, kiedy po kornym wyczekiwaniu dawał świadectwo swej zażyłości w nadbrzeżnym burdelu. Ten błysk, w oku na plakacie, zbiegł się z nieporadnością, z jaką raz po raz wiązał swój nowy żałobny krawat przed owalnym i ruchomym lustrem w sypialni burdelu.

Pobrali się i Risso sądził, że wystarczy żyć jak dotychczas i poświęcać jej, nie zastanawiając się nad tym, prawie o niej nie myśląc, uniesienia swego ciała, szaloną potrzebę absolutu, jaka przez długie noce go zniewalała.

W jej wyobraźni Risso jawił się jako pomost, punkt wyjścia, początek. Przeszła w dziewictwie przez dwa narzeczeństwa – jakiś reżyser, jakiś aktor – być może dlatego, że teatr był dla niej oprócz zabawy również zawodem, więc myślała, że miłość winna się narodzić i trwać poza tym wszystkim, unikać skażenia tym, co się robi dla zapomnienia i pieniędzy. W czasie spotkań z jednym lub drugim, na ulicach, nadbrzeżnym bulwarze lub w kawiarni, nie mogła uwolnić się od męczącego uczucia, że jest wciąż na próbie, że zмага się z rolą, czuwa nad głosem i rękoma. Widziała własną twarz zawsze na minutę przed jakimkolwiek gestem lub grymasem, jakby się jej przyglądała albo dotykała dłońmi. Była pełna zapału i łatwowierna, godziła się ulegle na rolę własną i partnera, na pot i teatralny kurz, (nierozłączne znaki czasu), który ich okrywał.

Kiedy nadeszła draga fotografia, z Asunción i z jakimś innym mężczyzną, Risso przeląkł się, że bardziej niż cegokolwiek, nie potrafi znieść owego nie znanego uczucia, które nie jest nienawiścią ani bólem i które umrze wraz z nim bez nazwy, bliskie niesprawiedliwości i zgubnemu przeznaczeniu, lękiem pierwszego człowieka na ziemi, nihilizmowi i początkom wiary.

Tę drugą fotografię wręczył mu kolega z działu kryminalnego we środę wieczorem. Czwartek jest dniem, kiedy może poświęcić swej córce czas od dziesiątej rano aż do dziesiątej wieczorem. Postanowił rozerwać kopertę nie zaglądając do środka, schował ją i dopiero w czwartek rano, kiedy córka czekała na niego w salonie pensji, rzucił na arkusik papieru krótkie spojrzenie i podał go nad muszłą klozetową: także i tutaj mężczyzna był odwrócony plecami.

Wiele jednak razy oglądał zdjęcie z Brazylii. Nosił je przez cały dzień, a o świecie wyobrażał sobie, że to żart, jakaś pomyłka, przejściowe szaleństwo. Już mu się to zdarzało; budził się z koszmarne go snu i uśmiechał z wdzięcznością do kwiatów na ścianach sypialni.

Wyciągnięty na łóżku wyjął z marynarki kopertę, a z koperty zdjęcie.

– Tak – powiedział głośno – w porządku, to prawda i tak już musi być. Nie ma to zresztą znaczenia, nawet gdyby nie było zdjęcia, wiedziałbym, że się tak stanie.

(Kiedy robiła je przy pomocy samowyzwalacza, wywoływała w ciemni, pod czerwonym i ośmielającym światłem lampy, przewidywała zapewne taką właśnie reakcję Rissa, podjęcie wyzwania, niechęć do wyładowania się w furii. Przewidziała także lub może tylko pragnęła z wątlą nikłą nadzieją, że w tej oczywistej zniewadze, zdumiewającej niegodziwości, dopatry się miłosnego przesłania).

Zamknął się w sobie raz jeszcze, nim spojrział: „Jestem sam i zdycham z zimna w pensjonacie przy ulicy Piedras w Santa Marí, każdego ranka, samotny i rozżalony własną samotnością, jakbym tego szukał, wyniosły, jakbym na to zasługiwał”.

Na zdjęciu kobieta bez głowy wbijała ostentacyjnie pięty w skraj tapczanu, czekała na niespokojnego, ciemnego mężczyznę, wyolbrzymionego na pierwszym planie, wiedziała, że nie musi pokazywać twarzy, żeby ją rozpoznano. Na odwrocie spokojne litery układały się w napis: „Pozdrowienia z Bahii”.

Wieczorem tego dnia, kiedy otrzymał drugą fotografię, przyszło mu na myśl, że ostatecznie mógłby zrozumieć pełnię tej obelgi, a nawet się na nią zgodzić. Ale wiedział, że poza granicą jego wyobrażeń leży zawziętość i wyrachowane zapamiętanie, z jakim dopełniała zemsty. Odmierzył ich niewspółmierność, czuł, że nie zasługuje na podobną miłość, podobną nienawiść, wolę sprawienia bólu.

Kiedy Gracja poznała Rissa, mogła się domyślić wielu spraw obecnych i przyszłych. Odgadła, że jest samotny, patrząc na jego bródkę i guziki przy kamizelce, odgadła, że jest rozgoryczony, ale jeszcze nie pokonany, i że szuka możliwości rewanżu, choć stara się nie dopuszczać do siebie podobnych myśli. Przez wiele niedziel patrzyła z wyrachowaniem na placu, przed spektaklem, na jego ponurą i cierpiącą twarz, wytarty kapelusz na głowie, duże, niedołożne ciało, które z wolna zaczynało tyć. Kiedy znaleźli się po raz pierwszy sami, myślała o miłości lub o pragnieniu, o pragnieniu, by własną ręką zetrzeć smutek z policzków mężczyzny. Pomyślała także o mieście, gdzie jedyną dostępną mądrością było ulec biegowi czasu. Miała dwadzieścia lat, a Riso czterdzieści. Zaczęła w niego wierzyć, odkryła siłę ciekawości, powiedziała sobie, że żyje się naprawdę wówczas, kiedy każdy dzień przynosi niespodzianki.

Przez pierwsze tygodnie zamykała się, żeby śmiać się w samotności, przebierała się w jego odzież, nauczyła się rozpoznawać stany jego ducha poprzez zapachy. Z wolna zaczynała odkrywać, co się kryje za głosem, milczeniem, upodobaniami i ruchami męskiego ciała. Pokochała córkę Rissa i zmieniła jej twarz, podkreśliła podobieństwo do ojca. Nie rzuciła teatru, gdyż Magistrat przyznał subwencję i miała teraz stałą pensję, ów świat odseparowany od jej domu, sypialni, szalonego i niezniszczalnego mężczyzny. Nie stroniła od lubieżności; chciała odpocząć i zapomnieć o niej, pozwolić, aby lubieżność wypoczęła i zapomniała. Kreśliła plany i przeprowadzała je, była pewna bezkresu świata miłości, pewna, że każda noc przyniesie inne, nowe zdziwienie.

– Wszystko – obstawał Riso – absolutnie wszystko może się nam przytrafić i zawsze będziemy zadowoleni i zakochani w sobie. Wszystko; cokolwiek wymyśli Opatrzność lub my sami.

W rzeczywistości nigdy przedtem tak naprawdę nie miał kobiety i wierzył, że sam tworzy to, co mu teraz narzucano. I narzucała nie ona, Gracja César, dzieło Rissa poczęte z niego, aby go dopełnić, jak powietrze płuca, jak zima oziminę.

Na trzecie zdjęcie czekał trzy tygodnie. Przyszło również z Paragwaju, otrzymał je nie w redakcji, lecz w pensjonacie, a przyniosła je sprzątaczką w pewne popołudnie, kiedy przebudził się z drzemki z myślą, żeby bronić się przed lękiem i szaleństwem zatrzymując w teczce każdą następną fotografię, aby setką codziennych, roztargnionych spojrzeń obrócić wszystko w żart, bezosobowy i nieszkodliwy.

Sprzątaczką zastukała do drzwi i wkrótce spostrzegł w szparze kopertę, poczuł w nieświeżym powietrzu, w półmroku jej zdradliwą woń, rozedrganą pogroźką. Patrzył na nią z łóżka jak na owada, jadowite zwierzę czyhające na naszą nieuwagę, pierwsze spotkanie.

Na trzeciej fotografii była sama, bielą swego ciała rozpraszała cienie skąpo oświetlonego pokoju, głowę boleśnie odrzuciła do tyłu, w stronę kamery, ramiona okryła czarnymi, rozpuszczonymi włosami, była krępa i czworonożna. Nie sposób było ją pomylić z kimś innym, jak gdyby robiła to zdjęcie w zakładzie fotograficznym i pozowała z najczulszym, najbardziej znaczącym i obiecującym ze swych uśmiechów.

Risso czuł teraz tylko bezradną litość dla niej i dla siebie, dla wszystkich kochanków, jacy się kiedykolwiek kochali na świecie, dla prawdy i zwodniczości swej wiary, dla prostego absurdu miłości i złożonego absurdu miłości stworzonej przez mężczyznę.

Podarł także i to zdjęcie i zrozumiał, że mógłby spojrzeć na nową fotografię i żyć dalej jakby nigdy nic. Ale w magicznej krainie, w której zaczęli się spotykać, Gracja musiała dowiedzieć się, że niszczy zdjęcia natychmiast po ich otrzymaniu, z coraz mniejszym zainteresowaniem, coraz mniejszymi wyrzutami sumienia.

W owej magicznej krainie wszyscy ci przędcy mężczyźni, wulgarni lub nieśmiali, byli tylko zawadą, nieuniknionym przedłużeniem rytualnego aktu wybierania na ulicy, w restauracji lub kawiarni najbardziej łatwowiernego lub niedoświadczonego, z którym mogłaby bez wzbudzenia podejrzeń i ze śmieszną dumą stanąć przed kamerą, najmniej niemiłego spośród tych, którzy uwierzyliby w wyuczone na pamięć wywody wędrownego sprzedawcy.

– Nigdy jeszcze żaden mężczyzna nie miał mnie w ten sposób, tak niepowtarzalnie, odmiennie. I nie wiem, w wirze teatralnego życia, gdzie będę jutro i czy cię jeszcze zobaczę. Chcę przynajmniej widzieć cię na zdjęciu, kiedy się rozstaniemy i będę za tobą tęskniła.

A po łatwym zazwyczaj przekonaniu partnera myślała znowu o Rissie lub też zapominała o nim nad ranem i wypełniała powinności, jakie sama sobie narzuciła; rozstawiała światła, przygotowywała aparat i rozpalała mężczyznę. Ilekroć myślała o Rissie, wspominała tamto wydarzenie, wyrzucała mu raz po raz, że jej nie uderzył, że pozbył się jedną grubą obelgą, inteligentnym uśmieszkiem, uwagą, która połączyła ją ze wszystkimi innymi kobietami. I niezrozumieniem; udowodnił, że mimo tylu nocy i rozmów nigdy jej nie rozumiał.

Bez większych złudzeń krążyła spocona po brudnym i gorącym hotelowym pokoju, mierzyła odległość i natężenie światła, poprawiała pozycję odrętwiałego, męskiego ciała. Zmuszała jakimkolwiek podstępem, pokusą lub rozwiązłym kłamstwem, aby skierował ku niej swą cyniczną i nieufną twarz kolejnego mężczyzny. Starła się uśmiechać i kusić, naśladowała tkliwe gaworzenie, z jakim wita się noworodka, i odmierzała przy tym bieg sekund, siłę, z jaką zdjęcie to odwoła się do jej miłości do Rissa.

Ponieważ jednak nigdy nie była pewna, czy fotografie docierają do niego, zaczęła zwiększać ich liczbę i przekształcać w świadectwa, które niewiele już miały z nimi wspólnego, z Rissesem i Gracją.

Doszło do tego, że pozwoliła i życzyła sobie, aby twarze wyciągnięte pożądaniami, ogłupiałe starym samczym snem o posiadaniu stawały przed okiem kamery z hardym uśmiechem, z bezwstydną zuchwałością. Uznała za konieczne zaniechać przemykania się plecami i pojawiła się cała na zdjęciu; jej głowa, mały nos, duże, niewzruszone oczy wyszły z nicości poza obrzeżem fotografii, aby stać się częstką brudów tego świata, sprośnego, kłamliwego widoku, szyderstw z miłości, które przysięga wysyłać regularnie do Santa Maríi. Ale największy błąd popełniła, kiedy zmieniała adres na kopercie.

Pierwsze rozstanie, w pół roku po ślubie, witali z ciekawością i przesadnym smutkiem. „*Piwnica*” – teraz już Teatr Miejski w Santa Maríi – wyjechał do El Rosario. Wróciła tam do swej dawnej, niezwyklej gry polegającej na tym, że wśród aktorów była aktorką, że wierzyła w to, co się dzieje na scenie. Publiczność wzruszała się, oklaskiwała lub pozostawała obojętna. Systematycznie ukazywały się programy i recenzje, a ludzie przystawali na tę zabawę i przeciągali ją do końca wieczoru rozprawiając o tym, co zobaczyli i usłyszeli, i płacąc za oglądanie i słuchanie, rozprawiali gniewnie lub z nieukrywanym entuzjazmem o rolach, dekoracji, dialogach i intrygach. Tak więc to udawanie, gra, na przemian melancholijna i upajająca, kiedy zbliżała się wolno do okna z widokiem na fiordy, drżała i szeptała na całą salę: „Być może... ale i we mnie żyją wspomnienia, które innym wydają się dziwne”, została także zaakceptowana w El Rosario. W odpowiedzi zawsze spadały karty, a gra nabierała kształtów i nie sposób już było oderwać się i obserwować ją z zewnątrz.

Pierwsza rozłąka trwała dokładnie pięćdziesiąt dwa dni i Risso starał się żyć tak jak przez pierwszych sześć miesięcy małżeństwa z Gracją César. Chodzić o tej samej porze do tej samej kawiarni, spotykać się z tymi samymi przyjaciółmi, błąkać się po bulwarze w milczeniu i samotności, wracać pieszo do pensjonatu przeżywając w zamyśleniu ponowne spotkanie, ożywiając w myślach i słowach wybujałe obrazy, jakie rodziły się z upiększonych wspomnień lub niewykonalnych ambicji.

Dzieliło go od pensjonatu dziesięć lub dwanaście przecznic, ale tę drogę pokonywał teraz samotnie i odrobinę wolniej, stąpając wśród wieczornych podmuchów ciepłego lub chłodnego wiatru niewidzialną ścieżką, jaka dzieliła wiosnę od zimy. Odległość ta pozwalała mu zmierzyć się z własnymi pragnieniami i osamotnieniem, zrozumieć, że szaleństwo, jakie ich połączyło, było przynajmniej o tyle niezwykle, że nie miało perspektyw na przyszłość, nie prowadziło donikąd.

Jeśli zaś o nią chodzi, uwierzyła, że Risso zamknął w słowach ich wspólną miłość, kiedy mówił wyciągnięty na łóżku, znowu zdziwiony i zamyślony.

– Wszystko może się nam przytrafić i zawsze będziemy szczęśliwi i zakochani w sobie.

Zdanie to nie było już sądem, opinią, nie wyrażało pragnienia. Zostało im narzucone, było pewnikiem, starą prawdą. Cokolwiek by uczynili albo pomyśleli, nie mogło to osłabić ich szaleństwa, miłości bez końca i bez zwątpień. Mogli uciec się do wszystkich ludzkich niegodziwości i w ostatecznym rozrachunku wszystko wspierało ich.

Wierzyła, że poza nimi, poza pokojem, rozciągał się świat wyzbyty uczuć, zamieszkały przez miałkie istoty, zapełniony bezwartościowymi faktami.

I dlatego myślała tylko o Rissie, ich małżeństwie, kiedy tamten mężczyzna zaczął wyczekiwać na nią przed teatrem, kiedy zaprosił ją do siebie i kiedy sama zaczęła się rozbierać.

Był to ostatni tydzień w El Rosario, więc uznała, że nie ma sensu wspominać o tym w listach do Rissa, bo wydarzenie, choć ich dotyczyło, nie miało zarazem z nimi nic wspólnego; zachowała się tylko jak ciekawskie i trzeźwo myślące zwierzę, powodowana litością dla mężczyzny i lekceważeniem tego, co uczyniła, wobec ogromu swej miłości do Rissa. A kiedy wróciła do Santa Marí, wołała poczekać na środowy wieczór – czwartki Riso miał wolne – na noc bez końca, na świt identyczny z dwudziestoma pięcioma, jakie już przeżyli.

Zanim się rozebrała, opowiedziała mu o wszystkim z dumą i czułością, jakby po prostu odkryła jakąś nową pieszczotę. Siedział bez marynarki przy stole, przymknął oczy i uśmiechnął się. Potem kazał jej zdjąć ubranie i poprosił, żeby powtórzyła całą historię; wstała i zaczęła chodzić boso po dywanie, zwrócona do niego plecami poruszała ciałem przenosząc jego ciężar z jednej nogi na drugą. Chwilami widziała wyciągniętą i spoconą twarz Rissa, ciężkie ciało oparte o stół, dłonie osłaniające szklankę wina, a chwilami tylko je sobie wyobrażała, nieobecna, przejęta tym, aby jak najwierniej wszystko opowiedzieć, radością przeżywania raz jeszcze tej niepojętej miłosnej tęsknoty za Risse, jakiej doświadczyła w El Rosario, z mężczyzną, którego twarzy nie pamięta, z nikim, po prostu z Risse.

– Dobrze, teraz możesz się ubrać – powiedział tym samym zdziwionym i zachrypniętym głosem, którym powtarzał, że wszystko się może wydarzyć, że wszystko będzie im służyło. Ona rzuciła baczne spojrzenie na jego uśmiech i zaczęła się ubierać. Przez chwilę przyglądali się rysunkom na obrusie, płamom, popielniczce z ptakiem o złamanym dziobie. Potem on nałożył marynarkę i wyszedł? poświęcił czwartek, cały swój wolny dzień, na rozmowę z mecenasem Guiñazú, na przekonanie go o konieczności rychłego rozwodu i szydzenie z jakichkolwiek prób pojednania.

Potem nastął długi i niezdrowy okres, kiedy Risso zapragnął jej znowu, ale nie mógł jednocześnie ścierpieć bólu i odrazy, jakim napawała go myśl o nowym spotkaniu. Jeszcze później uznał, że potrzebuje Gracji, teraz odrobinę bardziej niż przedtem. Że pojednanie jest konieczne i że gotów jest zapłacić każdą cenę, pod warunkiem, że nie stanie się to z jego inicjatywy i że będzie mógł mieć ją nocami nie mówiąc: tak, nawet własnym milczeniem.

Znowu zaczął poświęcać czwartki na spacer z córką i wysłuchiwanie listy spełnionych proroctw jej babci, które wygłaszała przy obiedzie. Wiadomości o Gracji były skąpe i niejasne, zaczął wyobrażać ją sobie jako nieznaną kobietę, której gesty i reakcje należało odgadywać, kobietę nieprzeniknioną i samotną wśród ludzi i miejsc, przeznaczoną mu i tę, którą winien był kochać, być może już od pierwszego spotkania.

Prawie w miesiąc od dnia ich rozstania Gracja zostawiła znajomym spreczne adresy i wyjechała z Santa Marí.

– Niech się pan tym nie przejmuj – powiedział Guiñazú. – Znam dobrze kobiety i spodziewałem się czegoś takiego. Potwierdza to fakt opuszczenia ogniska domowego i ułatwia nam wszczęcie postępowania sądowego, którego nie będzie mogła odwlec jakimis sztuczkami i które dowiedzie winy strony pozwanej.

Były wilgotne początki wiosny i Risso wracając nocą z redakcji lub kawiarni mruczał coś o deszczu, rozdmuchiwał własne cierpienia niczym żar w palenisku, odpędzał je od siebie, żeby się im lepiej przyjrzeć i mieć za bardziej niezwykłe i roił sobie miłosne sceny, jakich nigdy nie przeżywał, aby je potem wspominać z rozpaczliwym pożądaniem.

Następne trzy listy zniszczył bez otwierania. Czuł się teraz, nieustannie, w redakcji i w pensjonacie, jak drapieźnik, osaczony w norze, zwierzę, które u wejścia do kryjówki słyszy echa myśliwskich wystrzałów. Przed śmiercią i myślą o śmierci uratować je może tylko wymuszony spokój i obojętność. Skulone porusza wąsami, ryjkiem i łapami: może tylko czekać na wyczerpanie się cudzej furii. Nie dopuszczając do siebie słów i myśli musiał wreszcie zacząć wszystko rozumieć: mieszać Grację przebijającą wśród mężczyzn i póź na fotografii z dziewczyną, która przed wieloma miesiącami dobierała słowa, stroje, makijaż i czułości dla jego córki, aby podbić nimi niepokieszonego wdowca, mężczyznę, który przynosił skromne pobory i mógł ofiarować kobiecie tylko zdumioną, wierną niewyrozumiałość.

Zaczął wierzyć, że dziewczyna, która podczas krótkich letnich rozstań w okresie narzeczeństwa pisała do niego długie i górnoletne listy była tą samą, co zdjęciami starała się doprowadzić go teraz do rozpacz i zguby. I zaczął myśleć, że kochanek, który poznał mroczną woń śmierci i nie znalazł pocieszenia w łóżku, skazany jest, raz na zawsze, szukać – dla siebie i dla niej – unicestwienia, ostatecznego spokoju w nicości.

Myślał o dziewczynie, która spacerowała wieczorem z dwiema przyjaciółkami pod rękę po bulwarze, w szerokiej, sztywnej sukience z wzorzystego materiału, jaki odkrywały i narzucały mu wspomnienia, i przy dźwiękach uwertury z „Cyrulika” kończącej niedzielny koncert orkiestry przyglądała się mu przez sekundę. Myślał o chwili, kiedy odwracała się z gniewnym wyrazem zachęty i wyzwania, kiedy pokazywała mu piękno swej prawie męskiej, zamyślonej i mądrej twarzy, kiedy wybierała właśnie jego, odurzonego wdowieństwem, I powoli zaczął godzić się z tym, że była to ta sama naga kobieta, trochę grubsza, jakby poważniejsza i rozsądniejsza, która teraz słała mu zdjęcia z Limy, Santiago i Buenos Aires.

Dlaczego, myślał, dlaczego nie przyjąć, że wszystkich tych fotografii, pracowicie dokonywanych i regularnie wysyłanych, nie zrodziła miłość, siła tęsknoty, wrodzona wierność.

Następne zdjęcie otrzymał z Montevideo, nie w redakcji i nie w pensjonacie. I nigdy go nie ujrzał. Wychodził wieczorem z redakcji, kiedy usłyszał kuśtykanie starego Lanzy, który gonił go po schodach, wybuch kaszlu za plecami, niewinny i podstępny początek rozmowy. Poszli na kolację do Bawarskiej i Riso mógłby przysiąc, gdy się już o wszystkim dowiedział, że ten nie ogolony, zaniedbany, schorowany mężczyzna, który po posiłku wyjmował raz po raz z zapadniętych ust zaślinionego papierosa, unikał jego spojrzenia, powtarzał oczywiste komentarze o informacjach, jakie z United Press napływały w ciągu dnia do redakcji, pochłonięty był myślami o Gracji lub sycił się szalonym i absurdalnym posmakiem tej miłosnej historii.

– Jak mężczyzna z mężczyzną – powiedział Lanza z rezygnacją. – Kilka słów od starca, który nie ma w życiu innych radości jak ta, wątpliwa zresztą, że żyje. Od starca dla pana; i nie wiem nawet, bo nigdy nie wiadomo, kim pan jest. Wiem coś o paru sprawach i słyszałem komentarze. Ale nie chcę tracić czasu wierząc im lub nie. Na jedno wychodzi. Każdego ranka stwierdzam, że po prostu żyję, bez goryczy i podziękowań. Kuśtykam po Santa Marfi i redakcji z tą moją chorą nogą i arteriosklerozą, wspominam Hiszpanię, robię korektę, piszę i czasami za dużo paplam. Jak tego wieczoru. Dostałem wstrętą fotografię i nie ma wątpliwości, kto ją wysłał. Nie mogę tylko zgadnąć, dlaczego wybrano właśnie mnie. Na odwrocie jest napis: „do kolekcji Rissa” lub coś podobnego. Przyszła w sobotę i przez dwa dni zastanawiałem się, czy dać ją panu. Pomyślałem wreszcie, że najlepiej będzie, jak sam o tym powiem, bo przecież wysłać coś takiego do mnie, to oczywiste szaleństwo, a być może dobrze panu zrobi informacja, że jest wariatką. Teraz już pan wie; proszę tylko o zgodę na porwanie tej fotografii bez pokazywania jej panu.

Risso powiedział: tak i tej nocy, wpatrzony do świtu w światła ulicznych latarni, zrozumiał, że drugie nieszczęście, owa zemsta, było w istocie mniejsze od pierwszego, zdrady, ale zarazem znacznie trudniejsze do zniesienia. Czuł się, jakby jego długie ciało było nerwem wystawionym na bolesne podmuchy wiatru, bez możliwości schronienia się, znalezienia jakiegokolwiek ulgi.

Czwartą fotografię, nie adresowaną do niego, rzuciła mu na stół babcia jego córki w następnym czwartek. Dziecko poszło spać, w kopercie znowu była fotografia. Spadła między syfon i naczynie ze słodyczami, długa, zabarwiona świetlistym odbłaskiem butelki, z wesołymi, niebieskimi literami.

– Rozumiesz, że po tym... – wyjąkała babcia. Mieszała kawę i patrzyła na twarz Rissa szukając w jego profilu tajemnicy powszechnego brudu, przyczyny śmierci swej córki, wyjaśnienia wszystkiego, o co go podejrzewała nie mając nigdy odwagi w to uwierzyć. – Rozumiesz – powtórzyła z wściekłością, głosem piskliwym i postarzałym.

Ale nie wiedziała, że i ona musi zrozumieć, a sam Risso niczego nie pojmował, choć się wysiłał, wpatrzony w kopertę leżącą przed nim, jednym rogiem opartą o krawędź talerza.

Na zewnątrz noc była ciężka, a otwarte okna łączyły tajemnice nieba z sekretami życia ludzi, ich pragnieniami i zwyczajami. Risso kręcił się w łóżku i myślał, że zaczyna wreszcie wszystko rozumieć, że rozumienie, niczym choroba lub rekonwalescencja, dokonuje się bez udziału jego woli i umysłu. Po prostu dokonuje się, od spotkania stóp z butami, aż po łzy spływające mu po policzkach i szyi. Jest coraz pełniejsze, choć jego już to nie interesuje, gdyż ma teraz w pamięci lub przed oczyma własny płacz i własny spokój, przewlekłą bierność ciała leżącego w łóżku, skłębione chmury w oknie, sceny dawne i przyszłe.

Widział śmierć i pojednanie ze śmiercią, wyniosłą pogardę dla reguł, jakich wszyscy mężczyźni zgodzili się przestrzegać, szczere zdziwienie własną wolnością. Porwał zdjęcie na drobne kawałki, nie odrywając oczu od bieli w oknie, powoli i starannie, jakby w obawie przed hałasem lub poniechaniem tego zamysłu. Poczul potem powiew świeżego powietrza, być może wdychanego w dzieciństwie, które wypełniało pokój i rozlewało się z niewprawną powolnością po ulicach i zaskoczonych budynkach, aby tam czekać na niego i służyć wsparciem jutro i w dniach następnych.

Aż do świtu poznawał, niby dalekie miasta, które miał zawsze za niedostępne, czym jest bezinteresowność, szczęście bez przyczyny, pogodzenie się z samotnością. A kiedy obudził się w południe, kiedy rozluźnił krawat, pasek oraz bransoletę zegarka i szedł spocony ku zgnieję, przedburzowej woni ciągnącej od okna, zawładnęło nim po raz pierwszy uczucie ojcowskiej miłości do wszystkich ludzi, do tego, co stworzyli i zbudowali. Postanowił dowiedzieć się o adres Gracji, napisać do niej lub samemu pojechać i zostać z nią na zawsze.

Tej nocy w redakcji był człowiekiem powolnym i szczęśliwym, reagował z ociężałością nowo narodzonego, wykonał normę w roztargnieniu i z błędami, jakie zwykliśmy wybaczać cudzoziemcom. Wielką nowiną była niewątpliwie niemożność udziału Ribereny w biegach w San Isidro, gdyż możemy państwa poinformować, że faworyt stajni El Gorrión zbudził się dziś z objawami dolegliwości w jednej z przednich kończyn, jak się okazało, był to stan zapalny ścięgien, co jest wyrazistą miarą nieдомagania, na jakie cierpi.

– Pamiętając, że prowadził dział hippiczny – opowiadał Lanza – człowiek stara się wytłumaczyć sobie jego zagubienie i porównuje go do kogoś, kto postawił całą pensję na jedną informację, jakiej udzielili mu i potwierdzili stajenny, dżokej, właściciel i sam koń. Bo chociaż miał, jak wiemy, słuszne powody, żeby cierpieć i łykać jeden za drugim proszki nasenne ze wszystkich aptek Santa Marfi, to, co mi mówił na pół godziny, nim to zrobił, było wywodem i zachowaniem się człowieka oszukanego. Kogoś, kto był cały i zdrowy, i nagle nie jest i nie może tego pojąć, znaleźć błędu, jaki spowodował katastrofę. Bo ani razu nie nazwał klaczy klaczą, rozsyłała przecież te podle fotografie całemu miastu, a nawet nie zgodził się pójść drogą, jaką mu podsunąłem, sugerowałem, bez wewnętrznego zresztą przekonania, że klacz – naga i wypięta, jak lubiła się wszystkim pokazywać, lub też przedstawiająca na scenie jajnikowe kłopoty innych klaczy rozślawionych przez światowy teatr – że klacz jest szalona i wymaga zamknięcia. Nie. To on się pomylił i nie dlatego, że się z nią ożenił, lecz w innym momencie, którego nie chciał mi zdradzić. Obwinał tylko siebie, a to nasze spotkanie było niewiarygodne i straszne. Bo już kiedyś mówił mi, że się zabije, i przekonywał mnie, że jest niepotrzebny i śmieszny i że nie ma sensu odwozić go od podjętej decyzji. I rozmawiał ze mną chłodno, odrzucał moje zaklinania, żeby się upił. Pomyliłem się, obstawał; on, a nie ta przekłeta dziwka, która wysłała zdjęcie do jego małej u siostr na pensji. Może myślała, że kopertę otworzy siostra przełożona, może pragnęła, aby dotarła nienaruszona do rąk córki Rissa, pewna, że tym razem ugodziła go w miejsce najczulsze.

przełożył Rajmund Kalicki

RÓWNIE SMUTNY JAK
ONA

RÓWNIE SMUTNY JAK ONA

Droga Równiesmutna,

rozumiem, że mimo niewyraźalnych i niezliczonych więzów, nadeszła chwila podziękowania za zażyłość ostatnich miesięcy i powiedzenia sobie: żegnaj. Będzie to z korzyścią dla ciebie. Myślę, że nigdy naprawdę nie rozumieliśmy się; biorę na siebie winę, odpowiedzialność i przegraną. Próbuję się wytłumaczyć – oczywiście tylko dla nas – odwołując się do trudności, jakich przysparza żegluga między dwoma prądami przez X stronic. Zabieram również, jak zastużone, chwile szczęścia. W każdym bądź razie, przepraszam. Nigdy nie spojrzę prosto w twoją twarz, nigdy nie pokażę ci mojej

J. C. O.

Przed laty, których mogło być wiele lub zmieszały się wśród nielicznych chwil szczęścia z dniem wczorajszym, była u mężczyzny W mieszkaniu. Sypialnię łatwą do wyobrażenia, łazienkę zniszczoną i zaniedbaną, trzęsącą się windę, tylko to zapamiętała z tamtego domu. Nie byli jeszcze małżeństwem, parę miesięcy dzieliło ich od ślubu.

Chciała iść, pragnęła, żeby coś się stało – brutalnego, anemicznego i zwodniczego – coś potrzebnego jej osamotnieniu i niewiedzy. Nie myślała o przyszłości i czuła się zdolna ją lekceważyć. Ale strach, który nie miał nic wspólnego z dawnym bólem, kazał jej powiedzieć nie, bronić się rękoma i sztywnością ud. Chłoneła tylko, przyjęła woń mężczyzny owianego słońcem i plażą.

Śniła kiedyś o świcie, już po rozstaniu, gdy znalazła się daleko, że idzie sama w nocy, zapewne innej, nieomal naga w swej krótkiej koszulce, dźwigając pustą torbę. Skazana na beznadziejność powłóczyła bosymi stopami po zadrzewionych i opustoszałych ulicach, powoli, z ciałem wyprostowanym, prawie wyzywającym.

Rozczarowanie, smutek, pojednanie ze śmiercią były do zniesienia tylko dlatego, że woń mężczyzny w kapryśny sposób ożywała w jej gardle na każdej uliczce, na której go przyzywała i szukała. Stawiała coraz wolniej obolałe stopy, aż znieruchomiła. Na wpół naga, spowita cieniem i ciszą, wpatrzona w daleką parę latarni, zatrzymała się, żeby głośno wciągnąć powietrze. Z pustą torbą w dłoni syciła się wspomnieniem i znów ruszyła w drogę powrotną.

Nagle spostrzegła olbrzymi księżyc wiszący nad szarą osadą, mroczną i brudną; z każdym jej krokiem stawał się coraz bardziej srebrzysty i pożerał zachłannie opasującą go krwistą otoczkę. Krok za krokiem zrozumiała, że idzie z torbą donikąd, do nijakiego przeznaczenia, łóżka, domu. Księżyc był już potworny. Prawie naga, z czołem wyprostowanym i drobnymi piersiami przebijającymi ciemności, kroczyła, aby utonąć w księżycowym bezmiarze, który wciąż rósł.

Mężczyzna chudł z dnia na dzień, a jego szare oczy traciły barwę, płowiały, wyzbyte jakiegokolwiek ciekawości i nieczułe na prośby. Nigdy nie zdarzyło się mu płakać, a lata, trzydzieści dwa, nauczyły go przynajmniej tego, że bezużyteczne jest każde odejście, każda nadzieja na zrozumienie.

Każdego ranka przyglądał się jej, nieszczerze, ale zarazem bez obłudy, znad zastawionego, koślawego stołu, który wstawił do kuchni na lato. Może nie tylko ona była winna, może nie miało sensu wnikać, po czyjej stronie leżała, i leży, wina. Po kryjomu patrzyła w jego oczy. Jeśli w ogóle można nazwać patrzeniem przebiegłość, zimny błysk, wyrachowanie. Oczy mężczyzny, nie zdradzając się, stawały się każdego ranka coraz większe, coraz jaśniejsze. I nie starał się ich ukrywać; chciał tylko, bez grubiaństwa uwolnić się od tego, o co musiałby pytać lub mówić.

Miał trzydzieści dwa lata i snuł się od dziewiątej do piątej po pokojach wielkiego biura. Kochał pieniądze, im więcej tym lepiej, tak jak inni mężczyźni czują pociąg do kobiet wysokich i grubych; nawet jeśli są starsze, nie ma to dla nich znaczenia. Wierzył także w radość uciążliwych weekendów, w zdrowie, jakie spływało na wszystkich z niebios wraz ze świeżym powietrzem.

Gdziekolwiek był, zdawało mu się, że panuje nad każdą formą szczęścia i pokusy. Kochał kiedyś tę drobną kobietę, która podawała mu obiady i urodziła dziecko płaczące bezustannie na piętrze. Teraz przyglądał się jej ze zdziwieniem; był chwilowo trochę słabszy, trochę węższy, bliższy śmierci niż nieznajoma, której nazwiska nigdy się nie dowiedzieliśmy.

W nieregularnej, śniadaniowej porze słońce wchodziło przez wysokie okna, zapachy z ogrodu mieszały się nad stołem, niekiedy ledwie uchwytnie jak nikły zaczątek jakiegoś podejrzenia. Żadne z nich nie mogło wpaść w słońce, wiosnę czy w ostateczności w śmierć zimy.

W kilka dni po przeprowadzce, kiedy nikt jeszcze nie myślał o zamianie dzikiego i splątanego ogrodu w zbiorowisko akwariów, mężczyzna wstał wcześniej i czekał, aż zacznie świtać. Kiedy się trochę rozjaśniło, przybił do araukarii pustą puszkę i odmierzył odległość z małym, zdobionym masą perłową rewolwerem w dłoni. Podniósł rękę i usłyszał jałowe postukiwania iglicy, Wrócił do domu z przesadnym uczuciem rozbawienia i złości, nieostrożnie, nie zważając na sen żony, cisnął broń do szafy.

– Co się stało? – wymruczała, podczas gdy mężczyzna zaczynał się rozbierać przed pójściem do łazienki.

– Nic. Albo naboje są niedobre, kupiłem je przed niespełna miesiącem, widocznie mnie oszukano, albo rewolwer się zepsuł. Należał do mojej matki lub babci, więc może i spust nie działał dobrze. Nie lubię, kiedy jesteś tutaj sama, w nocy, bezbronna. Ale jeszcze dziś zajmę się tym.

– Nie szkodzi – powiedziała kobieta idąc boso po dziecko. – Mam dobre płuca i sąsiedzi usłyszą.

– Wiem coś o tym – odparł i roześmiał się.

Spojrzeli na siebie z czułością i drwiną. Kobieta poczekała na hałas samochodu i położyła się znowu, z dzieckiem przy piersi.

Służąca wchodziła i wychodziła i nigdy nie wiadomo było po co. Kobieta przyzwyczaiła się, nie wierzyła już w widziane tylekroć, błagalne spojrzenie mężczyzny, jak gdyby wyraz jego twarzy i oczu, łzawe milczenie, nie miały dla niej większego znaczenia niż barwa tęczy lub odziedziczony kształt powiek. On ze swej strony nie mógł pogodzić się ze światem, z interesami, z nieistnieniem córki, równie często zapominanej co powracającej raz po raz, wciąż innej, upartej, zawziętej, mimo rozmyślnych pijatyk, nieuniknionych interesów, towarzystwa i samotności. Możliwe, że ani ona, ani on nie wierzyli już całkowicie w realność nocy, w krótkie i łatwe do przewidzenia chwile szczęścia.

Niczego się już nie spodziewali po wspólnie spędzanych godzinach, ale i nie godzili się na ich ubóstwo. On bawił się dalej papierosem i popielniczką; ona smarowała grzanki masłem i dżemem. W czasie tych śniadań nie próbował nawet, w rzeczywistości, patrzeć na nią; ograniczał się do pokazywania jej swych oczu jak zubożniały, wyzbyty wiary żebrak, który wystawia swe blizny lub kikut.

Ona mówiła o pozostałościach ogrodu, o dostawcach, o różowym dziecku w pokoju na górze. Kiedy mężczyzna miał dosyć wyczekiwania na niemożliwe słowo lub zdanie, podnosił się, aby pocałować ją w czoło i zostawiał polecenia dla robotników budujących akwaria.

Stwierdzał, że z każdym miesiącem jest coraz bogatszy, że konto w banku rośnie bez udziału jego trudu i woli. Nie potrafił znaleźć pewnej, ambitnej lokaty nowego kapitału.

Do piątej lub szóstej po południu sprzedawał części zamienne do samochodów, traktorów, najróżniejszych typów maszyn. Ale już od czwartej sięgał cierpliwie i bez urazy, po telefon, aby uciec od tęsknoty, mieć kobietę w łóżku lub przy restauracyjnym stoliku. Zadowalało go niewiele; akurat tyle, ile było konieczne; jakiś uśmiech, pieszczota policzków, którą można było mylić z czułością lub życzliwością. Potem, oczywiście, akty miłości, starannie opłacane strojami, perfumami, bezużytecznymi przedmiotami. Spłacane również – męskie upodobania, pożądanie, długie noce – uległością w czasie rozmów pokrętnych i głupich.

Po jego powrocie, o świcie, wdychała zwykłe, niemożliwe do ukrycia wonie i śledziła jego kościstą, zawiedzioną twarz szukającą spokoju. Mężczyzna nie miał jej nic do powiedzenia. Spoglądał na rząd butelek w barku i wybierał jakąkolwiek, na chybił-trafił. Wciśnięty w fotel, spokojny, z palcem między stronicami książki, popijał przy jej milczeniu, przy sennych urojeniach, nieruchomych oczach wbitych w sufit. Nie krzyczała; przez pewien czas starała się zrozumieć wszystko bez uczucia pogardy, chciała przybliżyć do niego tę odrobinę litości, jaką sama czuła dla siebie, dla życia i jego kresu.

W połowie września, najpierw niespostrzeżenie, kobieta zaczęła znajdować pocieszenie, wierzyć, że życie trwa jak góra lub kamień i że nie my je wnosimy, że nie zależy ani od niego, ani od niej.

Nikt, nikt nie wie, jak i dlaczego zaczęła się ta historia. To, co chcielibyśmy opowiedzieć, rozpoczęło się w pewien spokojny jesienny wieczór, kiedy mężczyzna znalazł się w cieniście ogrodzie oświetlonym promieniami zmierzchu, zatrzymał się, aby rozejrzeć dookoła, wciągnąć woń trawy i ostatnich kwiatów na zaniedbanych, dziko rosnących krzakach. Stał przez chwilę w bezruchu, z głową pochyloną w jedną stronę, z rękoma opuszczonymi i jakby martwymi. Potem podszedł do gęstego żywopłotu i zaczął przemierzać ogród równymi, blisko metrowymi, krokami. Przeszedł z południa na północ, potem ze wschodu na zachód. Przyglądała mu się zza firanek na piętrze; wszystko, co wykraczało poza rutynę codzienności, mogło być narodzinami nadziei lub potwierdzeniem nieszczęścia. Dziecko popiskiwało aż do późnego wieczoru; nikt nie może również stwierdzić, czy ubrane było na różowo, czy ubierali je tak od chwili narodzin lub może jeszcze wcześniej.

Tej nocy, w niedzielę, w najsmutniejszy dzień tygodnia, mężczyzna mieszając kawę w filiżance powiedział w kuchni:

– Tyle ziemi marnuje się.

Rzuciła badawcze spojrzenie na jego ascetyczną twarz, na której malowała się niepojęta udręka. Spostrzegła nowe cierpienie, narodziny nowego postanowienia.

– Zawsze myślałam... – powiedziała, rozumiejąc, że w rzeczywistości kłamie, że nie miała ani czasu, ani chęci myśleć o tym, rozumiejąc, że słowa utraciły cały swój sens. – Zawsze myślałam o drzewkach owocowych, o ścieżkach poprowadzonych według planu, o prawdziwym ogrodzie.

Chociaż urodziła się tu, w tym starym domu, z dala od nadmorskich piachów, którym stary Petrus pod byle pretekstem nadawał przeróżne nazwy. Urodziła się i wychowała. A kiedy świt przyszedł po nią, nie rozumiała go do końca, osłaniana i zwodziona przez kapryśne i dzikie krzaki, przez tajemnice – w świetle dnia i mroku – starych, pokręconych i nietkniętych drzew, przez trawę niewinną, wysoką i zapomnianą. Jej matka kupiła kiedyś kosiarkę, a ojciec obiecywał wciąż, przy kolacji, że już jutro zabierze się do roboty. Nigdy tego nie uczynił. Tylko czasami długo oliwił maszynę lub na miesiąc wypożyczał ją sąsiadom.

A ogrodu, tej parodii puszczy, nigdy nie tknęła ludzka ręka. Wtedy mała rozumiała, że nie ma słowa, które można by porównać do „jutro”: nigdy, nic, niezmiennosc, spokój.

Jako mała dziewczynka odkryła delikatne szepty krzaków, traw, każdego bezimiennego i krzywego drzewa; odkryła to ze śmiechem, który chciał zawładnąć domem, aby po paru miesiącach wycofać się; onieśmielony, zaspokojony.

Mężczyzna wypił kawę i poruszał teraz głową wolno i zdecydowanie. Zamilkł lub też pozwolił się nieść ciszy.

– Pod oknami można zostawić kącik na lato, żeby było się gdzie wyciągnąć i wypić coś orzeźwiającego. Ale resztę, wszystko, trzeba pokryć cementem. Chcę postawić akwaria. Rzadkie okazy, trudne do hodowli. Niektórzy mają z tego duże pieniądze.

Wiedziała, że kłamie, że nie chodzi mu o pieniądze, nie wierzyła, że komuś chciałoby się ścinać te bezużyteczne i chore drzewa, niszczyć trawę, o którą nigdy nie dbano i bezimienne kwiaty, ulotne, z pochylonymi główkami.

Ale w niedzielę rano przyszli na rozmowę trzej mężczyźni, robotnicy. Przyglądała się im z piętra; dwóch krążyło pośród zarośli ogrodu, skąd docierały słowa poleceń, pytania o termin i cenę; trzeci, pochylony, w berecie, wielki i spokojny, żuł źdźbło trawy.

Zapamiętała go do końca. Najstarszy, majster, przygarbiony, z gęstą, siwą czupryną, z opuszczonymi rękoma, zatrzymał się na chwilę, zwrócony plecami do krat bramy. Przyglądał się bez zdziwienia nagim drzewom, łące zielska i chwastów. Dwaj inni ruszyli naprzód dźwigając niepotrzebnie kosy, łopaty i oskardy, a zakłopotanie krępowало im nogi. Najmłodszy i najwyższy, najbardziej leniwy, gryźł dalej źdźbło trawy zakończonej różowym kwiatkiem. Był niedzielny ranek i wiosna potrzasała liśćmi ogrodu; kobieta przyglądała się im przekonana, że to pomyłka, z ustami dziecka przywartymi do piersi.

Poznała już nienawiść mężczyzny, chęć sprawienia jej bólu. Ale o wszystkim mówili już tyle razy, wszystko sobie wyjaśnili na tyle, na ile można wyjaśnić i zrozumieć się wzajemnie, że nie dopuszczała myśli o zemście, zniszczeniu ogrodu i jej życia. Czasami, kiedy oboje łudzili się, że już o wszystkim zapomnieli, mężczyzna znajdował ją w jakimś kącie ogrodu, z robótką, i zaczynał:

– W porządku, wszystko przeszło, jak gdyby nigdy się nie wydarzyło – szczupła i obsesyjna twarz nie chciała na nią patrzeć. – Ale dlaczego musiał się urodzić chłopiec? Przez tyle miesięcy kupowaliśmy różowe kaftaniki i akurat chłopiec. Nie jestem szalony. Wiem, że właściwie to wszystko jedno. Ale dziewczynka byłaby twoja, wyłącznie twoja. Natomiast to zwierzątko...

Przez chwilę milczała, przestała poruszać dłońmi i wreszcie spojrzała na niego. Stał, przed nią na szeroko rozstawionych nogach, jeszcze bardziej chudy, z jeszcze większymi, jasnymi oczyma, dręczył siebie i sztych. Kłamał, oboje wiedzieli, że kłamię, ale odczuwali to w sposób odmienny:

– Tyle już razy o tym mówiliśmy – odparła znużona. —: Tyle już razy musiałam cię wysłuchiwać.

—Możliwe. Ale i tak rzadziej niż miałem na to ochotę. Jest chłopcem, nosi moje nazwisko, utrzymuję go i będę go musiał wychować. Czy możemy na to spojrzeć z dystansem, z zewnątrz? Bo w tej sytuacji ja pozostaję kawalerem lub frajerem. A ty, chytrą kurewką.

– Gówno – powiedziała łagodnie, bez nienawiści, tak, że nie wiadomo było, do kogo mówi.

Mężczyzna spojrzał na gasnące niebo, nie uległo wątpliwości, że jest już wiosna. Odwrócił się i ruszył do domu.

Być może historia ta narodziła się w ten właśnie prosty i okrutny sposób; zależy od tego, czy potraktujemy ją serio, czy też jako zabawę; mężczyzna wierzył tylko w nieszczęście i fortunę, w dobry i zły los, we wszystko smutne i wesołe, co może na nas spaść, zasłużenie lub nie. Ona sądziła, że wie odrobinę więcej; myślała o przeznaczeniu, o potknięciach i tajemnicach, przyznawała się do winy i – w końcu – pogodziła się z myślą, że życie jest wystarczającym przewinieniem, abyśmy przyjmowali każdą zapłatę, nagrodę lub karę. Na jedno w końcu wychodzi. Czasami budził ją, żeby porozmawiać o Mendlu. Zapalał fajkę lub papierosa i upewniał się, czy gotowa jest wysłuchać go z uległością. Spodziewał się być może cudownej odmiany w duszy tej nagiej kobiety, czegoś, co odzębnałoby uroki i przyniosło im spokój lub jakieś inne, równoważne szalbierstwo.

– Dlaczego z Mendlem? Mogłabyś wybrać kogoś lepszego, kto by mniej mnie ośmieszył.

Chciał jeszcze raz usłyszeć opowieść o spotkaniach kobiety z Mendlem; ale w rzeczywistości lękliwie cofał się przed prawdą ostateczną, zdecydowany ratować siebie i nie wiedzieć, dlaczego tak postąpiła.

Jej szaleństwem była tylko uległość i można je było uszanować. Mendel czy ktoś inny. Wszystko jedno. Nie miało to nic wspólnego z miłością.

Pewnej nocy próbował obrócić wszystko w żart:

– A jednak tak było pisane. Bo sprawy tak się zagmatwały lub ułożyły, że mogę dziś wsadzić Mendla do więzienia. Właśnie Mendla, nikogo innego. Sfałszowany papierek, jego podpis. I nie powoduje; mną zazdrość. Ma żonę i trzech synów, wszyscy jego. Dom albo dwa. Wydaje się być szczęśliwy. Nie chodzi o zazdrość, raczej o zawiść. Trudno to zrozumieć. Bo mnie, osobiście, nic po tym, że zniszczę wszystko, pograżę Mendla lub nie. Chciałem to zrobić znacznie wcześniej, nim się sprawa wydała, kiedy nie wierzyłem jeszcze, że jest to możliwe. Wiesz, dopuszczam możliwość istnienia zazdrości czystej, bez konkretnych motywów, bez niechęci. Czasami, rzadko, jakbym ją czuł.

Nie odpowiadała. Skulona przed chłodem wczesnego poranku myślała o dziecku, czekała na pierwszy krzyk głodu. On natomiast oczekiwał cudu, zmartwychwstania ciężarnej dziewczyny, którą niegdyś poznał, z którą razem uwierzyli w miłość i budowali ją miesiącami, bez umyślnych kłamstw, aby odtrącić ją, kiedy szczęście było już tak blisko.

Robotnicy przyszedli do pracy w poniedziałek, spiłowali drzewa bez pośpiechu, a pod koniec dnia wywieźli je rozklekotaną, dyszącą ze starości ciężarówką. W kilka dni potem skosili kwitnące chwasty i trawę, która była już soczysta i wysoka. Nie przestrzegali ścisłych godzin pracy; zapewne umówili się, że otrzymają zapłatę za całą robotę, bez względu na liczbę dniówek, nieobecności lub nieróbstwo. Nie wydawało się, żeby się kiedykolwiek spieszyli. Mężczyzna nigdy nie rozmawiał z nią o tym, co się dzieje w ogrodzie. Chudy i milczący, palił papierosa i popijał. Cement pokrywał z wolna ziemię i jej wspomnienia, najpierw biały, a wkrótce potem szarawy.

Wreszcie kiedyś, po śniadaniu, mężczyzna, urażony i nieczuły, zgasił papierosa o dno filiżanki i prawie z uśmiechem, jakby rozumiał prawdziwy sens własnych słów, wycodził nie patrząc na nią.

– Dobrze byłoby, gdybyś dopilnowała pracy studniarzy. Między jednym i drugim karmieniem. Nie widzę postępów w robocie.

Od tej chwili trzech robotnicy stali się studniarzami. Przynosili teraz wielkie szyby na akwaria, olbrzymie, celowo rozmieszczane niesymetrycznie, nieproporcjonalne do całej tej fauny, jaką miano tu hodować.

– Tak – odpowiedziała. – Mogę porozmawiać ze starym. Zejść do dawnego ogrodu i zobaczyć, jak pracują.

– Ze starym – zakpił mężczyzna. – Czy umie chociaż mówić? Myślę, że kieruje rękoma i oczyma.

Zaczęła schodzić codziennie do ocementowanego ogrodu, rano i po południu, stosownie do kapryśnych pór, jakie sobie wybierali. Zapewne i o niej można było powiedzieć, że była urażona i nieczuła.

Kroczyła wolno po równej i twardej powierzchni, zmieszana, jakby wyższa, kluczyła nieistniejącymi skrótami, drózkami, jakie kiedyś wytyczały drzewa i kamienie. Patrzyła na robotników, widziała, jak rosną ogromne akwaria. Wciągała woń powietrza, wyczekiwała popołudniowej samotności, codziennego rytuału, niedorzeczności, która stała się nieomal zwyczajem.

Najpierw było niezrozumiałe podniecenie na widok samej studni, ciemnego otworu w ziemi. Już to mogło wystarczyć. Ale wkrótce odkryła, na dnie, dwóch mężczyzn z obnażonymi torsami. Jeden, ten od źdźbła trawy, poruszał niedbale potężnymi bicepsami; drugi, wysoki i chudy, powolniejszy, młodszy budził uczucie żalu, chęć przyjścia mu z pomocą i wytarcia spoconego czoła.

Nie wiedziała, jak odejść i oszukiwać siebie w samotności.

Stary palił papierosa siedząc niewygodnie na pieńku. Przyglądał się jej obojętnie.

– Pracują? – zapytała bez zainteresowania.

– Tak, proszę pani, pracują. Robią to, co powinni robić codziennie, każdego dnia. Po to tu jestem. Dla tej i dla innych spraw, których się domyślam. Nie jestem jednak Panem Bogiem. Ledwie przeczuwam i pomagam, kiedy mogę.

Studniarze pozdrawiali ją skinieniem głowy, życzliwie i bez słów. Rzadko znajdowali temat do rozmowy, do spędzenia wspólnie paru minut. Ona i dwaj robotnicy, spokojny olbrzym w berecie ze źdźbłem trawy w zębach, której nie mógł już zrywać w martwym ogrodzie, i ten drugi, młodszy i szczuplejszy, jakby wygłodniały i chorowity. Ale nie stary, który milczał i mógł cały dzień spędzić w bezruchu, stojąc lub siedząc na ziemi i paląc papierosa jeden za drugim.

Kopali, mierzyli i pocili się, jakby miało to dla nich jakiegokolwiek znaczenie, jakby zdolna była brać w tym wszystkim udział. Jakby była kiedyś panią tych ściętych drzew i zniszczonej trawy. Mówiła o czymkolwiek, z przesadną uprzejmością, uwagą i smutkiem, który sprzyja zbliżeniu. Mówiła o czymkolwiek i nigdy nie kończyła swych myśli, czekając na piątą po południu, czekając, aż mężczyźni odejdą.

Dom otoczony był krzaczastym, żywopłotem. Były to właściwie trzymetrowe drzewa, choć ich pnie zachowały jeszcze młodzieńczą szczupłość. Posadzono je gęsto, ale rosły nie wadząc sobie, opierały się jeden na drugim i splatały kolcami.

O piątej po południu robotnicy jakby słyszeli dźwięk dzwonu, a stary podnosił ramię. Składali, rzucali narzędzia w rześkim cieniu baraku, zegnali się i odchodzili. Stary przodem, zwierzę w berecie i zgarbiony chudzielec za nim, aby chmury i skrawek słońca poznały również wagę hierarchii. Szli wolno i palili papierosy, spokojnie, jakby od niechcienia.

Kobieta śledziła ich z piętra, odwrócona plecami do rozwrzeszczanej kołyski. Trwała w bezruchu dziesięć lub piętnaście minut; Potem schodziła do tego, co było niegdyś jej ogrodem, omijała nie istniejące przeszkody, stukając obcasami po cemencie i zbliżała się do żywopłotu. Nie starała się, oczywiście, precyzyjnie zawsze w tym samym miejscu. Mogła zresztą wyjść przez dużą żelazną bramę, której używali robotnicy i urojeni goście, mogła uciec przez drzwi garażu, otwarte zawsze, kiedy nie było samochodu.

Wybierała jednak, bez przekonania, bez chęci stawienia czoła prawdzie, niepotrzebną i bolesną zabawę z kolczastym żywopłotem, jakby na złość krzakom. Szukała, nie wiedzieć po co, bez celu, przejścia między gałęziami i kolcami. Dyszała chwilę rozcierając dłonie. W końcu zawsze godziła się na przegraną, mówiła tak grymasem twarzy i uśmiechem.

Szła potem wśród zmierzchu, oblizywała dłonie i spoglądała na niebo wczesnej wiosny oraz napięte, obiecujące niebo przyszłych wiosen, jakie czekają jej syna. Gotowała, doglądała dziecka i z książką, zawsze źle wybraną, wyczekiwała mężczyzny na łóżku lub w jednym z dwóch kwiecistych foteli.

Każdego jednak wieczoru powroty mężczyzny były jednakowe, takie same, łatwe do pomylenia. Chyba w październiku przeczytała gdzieś: „Wyobraźcie sobie rosnący smutek, pragnienie ucieczki, bezsilną odrazę, uległość, nienawiść”. Mężczyzna wprowadził samochód do garażu, przeszedł przez wycementowany ogród i wszedł na górę. Był taki jak zawsze; dopiero co przeczytane zdanie nie było w stanie go odmienić. Chodził po sypialni pobrząkując kluczami, opowiadał proste lub zawiłe historie z całego dnia pracy, łągał i pochylał w chwilach milczenia swą kościstą twarz i coraz większe oczy. Zapewne równie smutny jak ona. Tej nocy kobieta zapomniała się, była wymagająca jak nigdy od wielu miesięcy. Wszystko, co mogło przynieść chwilę szczęścia lub zapomnienia, było upragnione, święte. W skąpym, na wpół wygaszonym świetle mężczyzna usnął wreszcie, prawie uśmiechnięty, uspokojony. Ona przychodząc do siebie, odkryła w bezsenności, bez zdziwienia i smutku, że od dzieciństwa nie zaznała innego prawdziwego i trwałego szczęścia jak owa zieleń, z której odarto ogród. Nic poza nią, poza tymi zmiennymi barwami. I myślała aż do pierwszego płaczu dziecka, że intuicyjnie wyczuł to, że chce pozbawić ją jedyne, co miało dla niej w rzeczywistości jakieś znaczenie. Zniszczyć ogród, przyglądać się jej łagodnie swym jasnym, niechętnym spojrzeniem, obnosić swój nieszczery, dwuznaczny uśmiezek.

Kiedy rozbrzmiały poranne hałasy, kobieta wpatrzona w sufit powtarzała w myśli raz po raz początek Zdrowaś Mario. Nie więcej, gdyż nie dopuszczała słowa śmierć. Uznała, że nigdy jej nie oszukano, pogodziła się z niepokojami, lękami i zwątpieniami lat młodszych; życie było mieszaniną nieokreśloności, tchórzostwa, miłkich kłamstewek, nie zawsze zamierzonych.

Ale pamiętała nawet teraz i jakby z większą wyrazistością dziecięce uczucie, że została oszukana, uczucie złagodzone w okresie młodzieńczym siłą tęsknot i nadziei. Nigdy przecież nie prosiła się na świat, nigdy nie chciała, aby związek, być może chwilowy, ulotny, powszedni, jakiejś pary w łóżku (potem na zawsze matki i ojca) sprowadził ją na świat. A przede wszystkim nikt nie pytał jej o to, czy tak właśnie chciałyby żyć. Jedno tylko wcześniejsze pytanie, a odrzuciłaby z przerażeniem trzewia i śmierć, konieczność słów do porozumiewania się i prób zrozumienia innych.

– Nie – powiedział mężczyzna, kiedy przyniosła z kuchni śniadanie.
– Nie mam zamiaru występować przeciw Mendlowi. Nie przyłożę do tego ręki.

Ubrany był z niezwykłą starannością, jak gdyby nie szedł do biura, lecz na przyjęcie. Wpatrzona w jego nowy garnitur, białą koszulę i nigdy nie noszony krawat potrzebowała paru minut, aby przypomnieć sobie i uwierzyć wspomnieniu. Takim widziała go w okresie narzeczeństwa. Poruszała się z zachwytem i niedowierzaniem, wolna od brzemienia smutku i lat. Mężczyzna umoczył kawałek chleba w sosie i podniósł talerz. Kobieta spostrzegła błysk nowego, nieśmiałego i badawczego spojrzenia, które kierowało się ku niej zza stołu, a może sama je wymyśliła.

– Spalę czek Mendla. Albo oddam tobie. Tak czy inaczej, to kwestia dni. Biedny człowiek.

Musiała odczekać kilka chwil. Potem zdołała oderwać się od kuchni i usiadła na wprost chudego mężczyzny, cierpliwa, bez śladu bólu, czekając, aż pójdzie.

Kiedy umilkł hałas samochodu na drodze, weszła do sypialni; odnalazła szybko mały, bezużyteczny rewolwer z rękojeścią wyłożoną masą perłową i przyglądała się mu z daleka. Gdzieś poza nią lato jeszcze nie nadeszło, choć wiosna goniła szalona, a dni, wszystkie drobne sprawy, nie mogły i nie chciały się zatrzymać.

Wieczorem, po rytualnej zabawie z kolczastym żywopłotem i leniwych kroplach krwi na dłoniach, kobieta nauczyła się śpiewać z ptakami i rozumiała, że Mendel znikł wraz z chudym mężczyzną. Być może nigdy nie istnieli. Zostało dziecko na piętze, które nie mogło jednak ulżyć jej samotności. Nigdy nie była z Mendlem, nigdy go nie знаła i nie widziała jego krępego, muskularnego ciała; nigdy nie doświadczyła jego męskiej zawziętości, chętnego uśmiechu, beztrudnej zażyłości ze szczęściem. Z rany na czole krew wolno skapywała po nosie.

Dziecko zapłakało i musiała pójść na górę. Stary siedział na kamieniu, palił papierosa, spokojny i nieobecny, jakby był częścią głazu. Dwaj inni znikli w głębi studni. Uspokoiła dziecko i zauważyła na podłodze pognieciony męski garnitur. Poszperała po kieszeniach, patrzyła na niezrozumiałe, pełne liczb papiery, monety, jakiś dokument. Wreszcie, list.

Napisany kobiecym pismem, pięknym i wyraźnym, bezosobowym. Nie wypełniał nawet dwóch stron, a podpis głosił niezrozumiałe: Masám. Ale sens listu, nagromadzenie głupstw, przysięg, zdań, które chciały być jednocześnie dowcipne i mądre, był oczywisty. „Musi być bardzo młoda – pomyślała kobieta, bez zazdrości i żalu – tak pisałam ja; do niego”. Nie znalazła zdjęć.

Pod słowem Masám mężczyzna dopisał czerwonym atramentem: „Ma chyba osiemnaście lat i pójdzie naga nad i pod ziemię, aby być ze mną tak długo, jak trwa ta pieśń i nadzieja”.

Nigdy nie czuła zazdrości o mężczyznę ani też nie mogła go nienawidzić, być może doświadczała tych uczuć wobec życia, wobec braku zrozumienia, nieokreślonego zawodu, jaki świat jej sprawił. Przez następne tygodnie żyli jak dotychczas. Ale wkrótce odczuł zmianę, pojął, że odtrącenia i przeprosiny przekształcają się z wolna w łagodne, pozbawione wrogości, oddalenie.

Rozmawiali o różnych sprawach, ale w rzeczywistości nie była to rozmowa. Nieczuła, łowiła czasami błagalną iskierkę w spojrzeniu mężczyzny. „To tak, jakby zmarł przed miesiącami, jakbyśmy się nigdy nie znali i nie było go przy mnie”. Żadne z nich niczego się już nie spodziewało. Oczekiwane słowa nie padły, unikali patrzenia sobie w oczy. Mężczyzna bawił się papierosem i popielniczką; ona smarowała chleb masłem i dżemem.

Kiedy wracał o północy, przerywała lekturę, udawała, że śpi lub mówiła o pracach w ogrodzie, o źle upranych koszulach, o dziecku i cenie żywności. Słuchał bez pytań, bez zainteresowania, nie mając nic do powiedzenia. Potem wyjmował z barku butelkę i pił o świcie, sam lub z książką.

Ona, w letnią noc, obrzucała krótkim spojrzeniem jego ostry profil, tył głowy, gdzie przed paroma dniami nieoczekiwanie pojawiła się siwizna, a włosy zaczęły rzednąć. Przestała użalać się nad sobą i przelała całą litość na mężczyznę. Teraz, po powrocie z pracy odmawiał posiłku. Szedł do barku i pił sam, w nocy lub o świcie. Wyciągnięty na łóżku mówił czasami nieswoim głosem, zwracając się ni to do niej, ni to w stronę sufitu; opowiadał o rzeczach wesołych i niewiarygodnych, zmyślał osoby i wydarzenia, historie proste i wątpliwe. Rozstrzygnęło się to wszystko pewnego wieczoru, kiedy mężczyzna wrócił wcześniej niż zwykle, nie chciał czytać i rozebrać się, uśmiechał się do niej i milczał: „Chce zabić czas. Opowie mi jakieś kłamstwo trwające akurat tyle, ile jemu będzie wygodnie. Coś wtłoczonego absurdalnie w nasze życie, w wątplą historię, którą przeżywamy”. Mężczyzna przyniósł kieliszek nalany ledwie do połowy, a jej podał pełny. Wiedział od dawna, że nawet go nie tknie. Nie pozwolił się jej położyć, zaskoczył ją w dużym fotelu, kiedy czytała, po raz któryś z rzędu, słowa znane na pamięć: „Wyobraźcie sobie rosnący smutek, pragnienie ucieczki, bezsilną odrazę, uległość, nienawiść”.

Usiadł naprzeciwko, wysłuchał powszednich nowości, przytakiwał w milczeniu. Kiedy cisza dopełniła się, powiedział:

– Stary. Ten, który bierze pieniądze, pali papierosy, dogląda niefrasobliwie pracy robotników. Był rok w seminarium duchownym, kilka miesięcy studiował architekturę. Mówią o jakiejś podróży do Rzymu. Za jakie pieniądze, biedaczysko? Nie wiem, w jaki, czas potem, w każdym bądź razie po upływie wielu lat, postanowił wrócić w te strony, do miasta. Przebrany za księdza. Łgał jak najęty, zwodził i kluczył. Nie wiadomo, jak mógł wytrzymać w seminarium dwie doby. Szukał współników na budowę kaplicy. Rozwijał i pokazywał sine plany z uporczywością bliską furii. W końcu znowu się go pozbyto, mimo że sam zobowiązał się zająć sprawą kosztów, osobiście zebrać niezbędną sumę.

– Być może właśnie wtedy, nie wcześniej, przywdział sutannę i stukał do domów prosząc o wsparcie. Nie dla siebie, tylko na kaplicę. Wydaje się, że swym uniesieniem i niejasną historią własnych niepowodzeń potrafił przekonywać. Był przy tym na tyle chytry, że deponował otrzymywane pieniądze u notariusza. Tak że kiedy wdali się w sprawę prawdziwi księża, nie było innego wyjścia, jak poprzestać na grzywnie, którą nie on zresztą zapłacił, i na kilku dniach aresztu. Potem nikt nie mógł mu przeszkodzić w pracy przy budowie domów. Pokrył dachem tyle otaczających nas szkaradziejstw, tutaj w dzielnicy Petrusa, że ludzie mówią do niego „inżynierze”. Być może niektórzy nazywają go „panem architektem”. Nie wiem, czy historia ta jest prawdziwa. Kto miałby czas sprawdzać wszystko. – A gdyby była prawdziwa – wymruczała znad szklanki.

– Tak czy inaczej, nie jest to nasza sprawa.

Obróciła się na łóżku. Rozmyślała o kimkolwiek, kto żył lub dopełniał niepojętego rytuału istnienia, o kimkolwiek, kto istniał przed wiekami i stawiał pytania, na jakie jedyną odpowiedzią było milczenie. O mężczyźnie lub kobiecie, nie miało to znaczenia. Myślała o potężnym studniarzu, o kimkolwiek, o współczuciu.

– Dopóki wywiązuje się... – zaczął, kiedy zadzwonił telefon, więc podniósł się, szczipły i zwinny, wolno stawiał długie kroki. Rozmawiał w ciemnym korytarzu i wrócił do sypialni z wyrazem odrazy, nieomal wściekłości na twarzy.

– To Montero, z biura. Został przez bilans i teraz... Mówi mi teraz, że znalazł coś dziwnego i musi się ze mną natychmiast zobaczyć. Jeśli nie masz nic przeciwko...

Nie musiała podnosić oczu, żeby zrozumieć, żeby przypomnieć sobie to, co wiedziała od początku tej niezbornej opowieści o starym; że mówił, a ona słuchała po to tylko, aby razem mogli poczekać na telefon, na potwierdzenie spotkania.

– „Więcej mił... – powiedziała kobieta z bladym uśmiechem, czując, że jej współczucie rośnie i pierzcha. Wypiła zawartość kieliszka jednym haustem i podniosła się, żeby przynieść butelkę i postawić ją na stoliku obok łóżka.

Mężczyzna nie rozumiał, stał nie rozumiejąc i nie odpowiadając.

– Jeśli jednak uważasz, że lepiej byłoby, żebyśmy został... – powtórzył.

Kobieta uśmiechnęła się znowu, wpatrzona w zasłonę leniwie kołyszącą się w oknie.

– Nie – odrzekła. Napelniła znowu kieliszek i pochyliła się, aby wypić bez pomocy dłoni i nie uronić kropli.

Mężczyzna stał chwilę w milczeniu, w bezruchu. Potem wyszedł na korytarz po kapelusz i płaszcz. Spokojnie czekała na hałas samochodu, potem, prawie szczęśliwa w samotności i ciszy, potrząsnęła zamoczoną głową i raz jeszcze napełniła kieliszek koniakiem. Była zdecydowana, prawie pewna, że tak musi być, podejrzewała, że kocha go od chwili, gdy ujrzała studnię, a w głębi plecy kopiającego mężczyzny, potężne i białe ramiona bez wysiłku poruszające się w rytm pracy. Nie mogła jednak wyzbyć się nieufności, nie była pewna, czy sama dokonała wyboru, myślała o kimś, o ludziach lub o czymś, co za nią podjęło decyzję.

Wszystko było łatwe i wiedziała o tym od dawna. Czekala w ogrodzie, wśród jego szczątków, robiła na drutach, bez zainteresowania, jak zawsze, aż zwierzę wylazło z jaskini, wypilo kubek wody i szukało węża, aby się ochłodzić. Przywołała go ruchem dłoni i kazała iść za sobą. Koło garażu odważyła się na kilka niemądrych pytań. Nie patrzyli na siebie. Zapytała, czy można by znowu posadzić tutaj krzaki i kwiaty, coś zielonego.

Mężczyzna przykucnął i pogrzebał brudnymi i poogryzаныmi paznokciami w skrawku piaszczystej ziemi, jaki mu wskazano.

– Można – powiedział podnosząc się. – Tylko chcieć, trochę cierpliwości i starania.

Nie słysząc go, z rękoma założonymi do tyłu, wpatrzona w groźnie zachmurzone niebo rozkazała szeptem szybkim i spragnionym:

– Kiedy odejdą. I żeby nikt nie wiedział. Słowo?

Mężczyzna, obojętny, obcy, nie w pełni rozumiejąc, dotknął skroni i przytaknął ciężkim głosem.

– Proszę wrócić o szóstej i wejść przez bramę.

Olbrzym odszedł bez pożegnania, kołysząc się wolno. Majster usłyszał głosy anielskie obwieszczające piątą po południu i zarządził fajerant. Tego popołudnia zostawiła żywoptot w spokoju; ocieżała, lunatyczna, skruszona i niedowierzająca wspięła się na górę i zajęła dzieckiem. Potem patrzyła z okna na drogę i przyglądała się rosnącemu błękitowi nieba. „Jestem szalona, byłam i dalej jestem, i dobrze mi z tym” – powtarzała z niewidzialnym, szczęśliwym uśmiechem. Myślała o zemście, o rewanżu; i tylko trochę o dzieciństwie, odległym i niezrozumiałym, o świecie kłamstw i nieposłuszeństwa.

Mężczyzna stanął przed bramą o szóstej, z przeżutą trawką za uchem. Pozwoliła mu stąpać przez chwilę niepewnie po cemencie pokrywającym zamordowany ogród. Kiedy zatrzymał się, zbiegła do niego – szybki i miarowy stukot obcasów po schodach – aż otarła się, jakby pomniejszona, o ogromne, męskie ciało. Poczowała woń potu, przyglądała się tępocie i nieufności w mrugających oczach. Wspięła się na palce i w lekkim szale wyciągnęła język, żeby go pocałować. Mężczyzna zasapał i odwrócił głowę w lewo.

– Jest składzik. – zaproponował. Zaśmiała się łagodnie, krótko; patrzyła spokojnie na kolczasty żywoptot, jakby się z nim żegnała. Trąciła mężczyznę w rękę.

– Nie, nie w baraku – odpowiedziała wreszcie słodko. – Brudno i niewygodnie. Na górze albo nigdzie. – Poprowadziła go jak ślepa do drzwi, pomogła wejść po schodach. Dziecko spało. Dziwne, sypialnia była wciąż taka sama, niepokonana. Szerokie i czerwone łóżce, nieliczne meble, barek z napojami, niespokojne zasłony, te same ozdoby, wazony, obrazy, żyrandol.

Głucha i daleka słuchała, jak mówił o pogodzie, ogrodach i żniwach. Kiedy skończył drugi kieliszek, podeszła do niego, do łóżka i wydała nowe polecenie. Nigdy nie wyobrażała sobie, że nagi mężczyzna, prawdziwy i należący tylko do niej, może być taki wspaniały i straszny. Doświadczyła pożądania, ciekawości, dawnego zdrowego uczucia, które lata uśpiły. Widziała, jak się zbliża, i do jej świadomości zaczęła docierać nienawistna myśl, że tamten góruje jednak fizycznie, zawładnęła nią nienawiść do męskości, do tego, co rządzi i nie musi stawiać zbędnych pytań.

Przywołała go i stał teraz koło niej, cuchnący i posłuszny. Ale nic nie wyszło, raz i drugi, gdyż zostali stworzeni w sposób skończony, nieodwracalny, kapryśnie odmienny. Mężczyzna odsunął się, złorzecząc głosem drętwym i nienawistnym.

– Zawsze tak jest. Zawsze mnie to spotyka. – Przypomniał sobie ze smutkiem, bez cienia zrozumiałości.

Usłyszeli płacz dziecka. Bez słów, bez uciekania się do przemocy, sprawiła, że się ubrał; pogłaskała go po zarośniętym policzku i powiedziała parę kłamstw.

– Innym razem – wymruczała na pożegnanie i pociechę.

Mężczyzna pogrążył się znowu w nocy. Gryzł zapewne źdźbło trawy i rozdeptywał stopami własną złość, wszystkie swoje dawne i niezasłużone klęski.

(Jeśli chodzi o narratora upoważniony jest tylko do porządkowania tej historii w czasie. Może powtarzać o świcie, na próżno, zakazane imię kobiety. Może prosić o wyjaśnienia, wolno mu przegrywać i po przebudzeniu się ocierać łzy, czyścić nos i złorzeczyć).

Być może stało się to dnia następnego. Być może stary, szczupła twarz, starsza od reszty ciała, pozbawiona wyrazu, odczekał trochę. Powiedzmy trzy dni. Aż zobaczył kobietę krążącą po tym, co było niedawno ogrodem, między domem a składem, i rozwieszającą na sznurze pieluchy.

Zapalił słabego papierosa i nim się podniósł, wymruczał do robotników:

– Zobaczmy, czy wypląca zaliczkę.

Powolutku, prawie z jękiem zdołał się oderwać od kamienia i pokuśtykał w stronę kobiety. Wydała mu się zniechęcona, bardziej dziecinna niż kiedykolwiek, prawie równie obojętna na świat i jego pokusy jak on sam. Seminarzysta architekt patrzył na nią ze współczuciem, po bratersku.

– Niech mnie pani wysłucha – poprosił. – Nie domagam się odpowiedzi. Nawet, w pani przypadku, słów.

Wyciągnął z trudem z kieszeni spodni pęk świeżo zakwitłych róż, tak drobnych, jakby były sztuczne, pospolitych, z połamanymi łodyżkami. Przyjęła bez wahania, owinęła w mokrą szmatkę i czekała dalej. Nie czuła nieufności, a zmęczone oczy starego ożywiły tylko dawną chęć płaczu, która nie miała związku z jej obecnym życiem, z nią samą. Nie podziękowała.

– Niech mnie pani wysłucha, dziecko —poprosił stary raz jeszcze. – Te róże są po to, żeby pani zapomniała lub nam wybaczyła. Na jedno wychodzi. Nieważne, nie chcemy wiedzieć, o czym mówimy. Kiedy kwiaty zwiędną i będzie je pani musiała wyrzucić, proszę pomyśleć, że, czy podoba się nam to, czy nie, jesteśmy braćmi w Chrystusie. Choć mieszka pani sama, naopowiadano już pani chyba o mnie niestworzonych rzeczy. Ale nie jestem szalony. Widzę i cierpię.

Pochylił głowę w geście pożegnania i odszedł. Zmęczony monologiem zaczął słyszeć w cichym i przedburzowym powietrzu dzwony zwiastujące piątą.

– Idziemy – powiedział do robotników. – Wygląda na to, że nie będzie zaliczki.

Po wielu nocach wyczekiwania i nieokreślonych nadziei usłyszała kiedyś, nim ostatecznie znużyła ją książka i niepokromiony sen, hałas samochodu w garażu i ciche pogwizdywanie pnące się ostrożnie po schodach. Mężczyzna, nieświadomy, niewinny właściwie tyłu spraw, gwizdał „Człowieka, którego kocham”.

Widziała, jak się zbliża. Wykrzywiła twarz w grymasie powitania, przyjęła kieliszek, który jej podsunął.

– Byłeś u lekarza? – zapytała. – Obiecałeś mi, a nawet przysięgałeś.

Kościasty profil uśmiechnął się, zadowolony, że może jej coś ofiarować.

– Tak, byłem. Nic mi nie jest. Rozebrany, wychudzony mężczyzna przed spokojnym grubasem. Rutyna prześwietleń i analiz. Grubas w fartuchu, może nie przesadnie czystym, który nie wierzy w swój młoteczek, stetoskop, zalecenia, jakie zaczął mi wypisywać. Nie, nic mi nie jest, co mogliby zrozumieć, leczyć.

Zgodziła się, po raz pierwszy, na jeszcze jeden pełny kieliszek. Poruszyła palcami i już miała papierosa. Śmiała się i zamilkła, aby powstrzymać kaszel. Mężczyzna patrzył na nią zdumiony, prawie szczęśliwy. Postąpił krok, aby usiąść na łóżku, ale ona powoli uwolniła się od prześcieradeł i ojcowskich pieszczot. Wyjęła z ust wypalonego do połowy papierosa i, nieufna, znowu paliła go dalej.

Był zwrócony do niej plecami, kiedy zapytała:

– Dlaczego się ze mną ożeniłeś? Mężczyzna spoglądał chwilę na jej chude kształty, ciemne włosy na karku, i cofnął się w stronę fotela i stołu. Jeszcze jeden kieliszek, jeszcze jeden papieros, szybki i pewny. Pytanie kobiety starzało się, pokrywało zmarszczkami, rozłaziło jak bluszcz czepiający się muru. Musiał zyskać na czasie, ponieważ kobieta, choć nigdy sami nie zdali sobie z tego sprawy i nikt inny się o tym nie dowiedział, była bardziej inteligentna i nieszczęśliwa niż chudy mężczyzna.

– Nie miałaś pieniędzy, więc chyba nie dlatego – próbował zażartować. – Pieniądze przyszły potem, nie z mojej winy. Twoja matka, twoi bracia.

– Już o tym myślałam. Nikt by się nie domyślił. A poza tym, pieniądze cię nie interesują. Myślę czasami, że to jest najgorsze. A zatem powtarzam: dlaczego się ze mną ożeniłeś?

Mężczyzna palił przez chwilę w milczeniu, kiwał głową i bezkrwistymi wargami obejmował kieliszek.

– Wszystko? – zapytał wreszcie, zawładnięto nim uczucie żalu i lęk.

– Tak, wszystko. – Kobieta usiadła na łóżku i zobaczyła, jak kurczy się jego uparta i niespokojna twarz.

– I chyba również nie dlatego, że spodziewałaś się dziecka z Mendlem. Nie było w tym ani krzty litości, żadnej chęci przyjścia bliźniemu z pomocą. Wtedy było to bardzo proste. Kochałem cię, byłem zakochany. To była miłość.

– I odeszła – potwierdziła z łóżka, prawie krzycząc. Ale niewątpliwie kryło się za tym również pytanie.

– Tyle chytrości, udawania i zrad, więc odeszła. Nie potrafiłbym powiedzieć, czy potrzebowała tygodni lub miesięcy, czy też wołała rozwiązać się łagodnie, w jednej lub dwu godzinach. Tutaj, na kąpielisku, które stworzył Petrus, byłaś dziewczyną. W ciąży, a może nie. Ale jeszcze nie kobietą; po prostu dziewczyną, której można się było przyglądać z melancholią, ze zdumiewającym uczuciem, jakiego nie sposób ożywić. Włosy wyłażą, zęby próchnieją. A do tego świadomość, że w tobie ciekawość dopiero się rodziła, a we mnie zaczynała ginąć. Możliwe, że małżeństwo z tobą było zaspokojeniem mojej ostatniej, prawdziwej ciekawości.

Czekała dalej na próżno. W końcu wstała, nałożyła szlafrok i stanęła przed mężczyzną przy stole.

– Wszystko? – zapytała. – Jesteś tego pewien? Proszę cię bardzo. I jeśli chcesz, żebym uklękła... Dla tej odrobiny przeszłości, którą razem zdeptaliśmy, bez porozumiewania się, wolni, dla przeszłości, nad którą ramię przy ramieniu, ze względu na przestrzeń, pochylamy się, żeby sobie ulżyć.

Mężczyzna, z papierosem przyklejonym do wychudłych ust, odwrócił się, aż zgrzytnęły kręgi szyjne. Bez litości i zaskoczenia, dawno już stłumionego powszedniością, spoglądała na twarz nieboszczyka.

– Wszystko? – zakpił mężczyzna. – Czy już wszystko? — Mówił myśląc o podniesionym kieliszku, o utraconych chwilach, o tym, kim był niegdyś. – Wszystko? Może tego nie rozumiesz. Już ci chyba mówiłem o dziewczynie.

– O mnie.

– O dziewczynie – podkreślił. Głos, zmieszanie, ostrożna powolność ruchów. Był pijany i bliski wybuchu grubiaństwa. Uśmiechnęła się, niewidocznie i ze szczęściem.

– O tym mówiłem – ciągnął mężczyzna, powoli, czujnie. – Każdy normalny facet szuka, wymyśla, znajduje albo wmawiają mu, że znalazł. Ale nie tę, która rozumie, chroni, pieści, pomaga, poprawia, czyni lepszym, wspiera, doradza i kieruje. Nic z tych rzeczy, dziękuję.

– Ja?

– Tak, teraz; i cała ta przekłeta reszta; – Oparł się o stół, żeby ruszyć do łazienki.

Ona zdjęła szlafrok, koszulkę dziewczynki z sierocińca i czekała na niego. Czekała, aż wyszedł z łazienki, czysty i nagi, pogłaskał ją delikatnie i wyciągnięty koło niej na łóżku zaczął oddychać niczym dziecko, spokojnie, bez wspomnień i przewinień, pogrążony w tej jedynej ciszy, w której kobieta dusiła w sobie płacz, poskramiała gniew, atawistyczne poczucie krzywdy.

Drugi robotnik, chudy i markotny, który zdawał się nie rozumieć życia i szukać jego sensu, rozwiązania, okazał się bardziej przystępny, bardziej uległy. Być może dlatego, że miała go wielokrotnie, może przez jego sposób bycia.

Po piątej kaleczyła się z zamkniętymi oczyma o kolczasty żywopłot. Wolno oblizywała potem dłonie. Nierozgarnięty, niewiele rozumiejący i zagubiony robotnik przychodził o szóstej i pozwalał się prowadzić do składu, zatechłego i cuchnącego owczym runem.

Rozebrany stawał się wylęknionym i błagającym dzieckiem. Kobieta uciekała się do wszystkich swych wspomnień i nagłych pomysłów. Przywykła opluwać go i bić po twarzy, odkryła, na ścianie z cynkowej blachy, pod okapem, jakiś stary, wyschnięty, porzucony bat.

Cieszyła się, że przywołuje go jak psa, gwizdem, że strzela palcami. Tydzień, dwa tygodnie lub trzy.

A przecież każdy cios, każde poniżenie, każde lanie i radość wprowadzały ją tylko w pełnię znojnego lata, były uniesieniem, po którym musiało nastąpić zniechęcenie.

Była szczęśliwa z tym chłopcem, czasami płakali razem, każde z nich nieświadome przyczyn żalu drugiego. Ale, powoli i nieodwołalnie, te rozpaczliwe zabawy musiała wyprzeć potrzeba miłości. Lepiej być, pomyślała, samotną i smutną. Przestała się widywać z robotnikami, wychodziła o zmierzchu, po szóstej, i podchodziła ostrożnie do żywoplotu.

– Krew – budził ją mężczyzna o świecie. – Krew na rękach i twarzy.

– To nic – odpowiadała czekając na powrót snu. – Lubię się jeszcze bawić żywoplotem, Pewnej nocy, po powrocie, zbudził ją, rozluźnił krawat i wypił kieliszek. Kobieta, siedząca na łóżku, usłyszała rechot i porównała go do czystego, świeżego, niepohamowanego śmiechu, jaki słyszała przed wieloma laty.

– Mendel – powiedział w końcu. – Twój cudowny, niewzruszony przyjaciel Mendel. I w rezultacie mój duchowy kompan. Siedzi od wczoraj. I nie przez moje papiery, lecz dlatego, że musiało się to tak zakończyć.

Poprosiła o kieliszek wódki bez wody sodowej i wypiła jednym haustem.

– Mendel – powtórzyła ze zdziwieniem, niczego nie rozumiejąc, nie domyślając się.

– A ja – wymruczał mężczyzna tonem szczerości – przez cały dzień łamię sobie głowę, czy bardziej się mu przysłużę, jeśli oddam sądziemu te brudne papiery, czy też jeśli je spalę.

Aż wreszcie w środku lata nadszedł wieczór, możliwy do przewidzenia wcześniej, kiedy miała jeszcze swój dziki ogród i nie zjawili się robotnicy, aby go zniszczyć.

Szła przez pokrytą cementem zielen i uśmiechnięta rzuciła się, z doświadczeniem i wprawą, na kolczasty żywopłot. Odbijała się od miękkiej i łagodnej ściany, jak gdyby gałęzie krzewów stały się nagle gumowe. Kolce nie miały siły ranić i kapało z nich jedynie mleczko, lepki i gęsty płyn, białawy, leniwy. Dotykała innych gałęzi i wszystkie były jednakowe, uległe, nienapastliwe, napęczniałe.

Początkowo przejęła się tym, potem pogodziła się, była przyzwyczajona. Minęła piąta i robotnicy już poszli. Zrywając po drodze jakieś kwiaty i liście przystanąła pod nieśmiertelną araukarią, żeby się pomodlić na stojąco. Ktoś, głodny lub wystraszony, krzyczał na piętrze. Z pomiętym kwiatem w dłoni zaczęła piąć się po schodach.

Karmiła dziecko tak długo, aż usnęło. Potem przeżegnała się i powłócząc nogami ruszyła do sypialni. Pogrzebała w bielizniarce i prawie natychmiast, między koszulami i kalesonami, znalazła bezużytecznego, bezsilnego Smith and Wessona. Wszystko było zabawą, rytuałem, początkiem.

Wpatrzona w siny połysk broni powtórzyła raz jeszcze początkowe wersety Zdrowaś Marii; zatoczyła się, upadła na łóżko, przypominała sobie ten pierwszy raz i znowu musiała zapłakać, ujrzeć raz jeszcze księżyc tamtej nocy, uległy jak dziecko. Chłodna lufa martwego rewolweru wcisnęła się między zęby i oparła o podniebienie.

Wróciła do dziecięcego pokoiku i zabrała worek z ciepłą wodą. W sypialni owinęła nim rewolwer, czekała cierpliwie, aż lufa ogrzeje się do temperatury spragnionych ust.

Zgodziła się, wolna od uczucia wstydu, że odgrywa farsę. Usłyszała potem, bez pośpiechu, bez lęku trzy głuche uderzenia iglicy. Przez mgnienie słyszała jeszcze wystrzał czwarty i jęk kuli burzącej myśli. Niczego nie rozumiejąc znalazła się na chwilę w pierwszej nocy z pierwszym księżycem; pomyślała, że znowu czuje w gardle woń mężczyzny, tak podobną do świeżej trawy, szczęścia i lata. Wdzierała się uporczywie w każdą uliczkę rozsypujących się myśli i snów, w każdą chwilę znużenia, i półnaga, pochylona pod ciężarem torby wdrapywała się na nieskończone wzgórze. Księżyc wciąż rósł. Ona, drążąc ciemności drobnymi, lśniącymi i twardymi jak cynk piersiami, szła tak długo, aż utonęła w księżycowym bezmiarze, który czekał na nią, niezawodny, od lat, niewielu.

przełożył Rajmund Kalicki

TWARZ NAZNACZONA NIESZCZĘŚCIEM

Dla Dorotei Muhr – Zapoznany pies szczęścia

1

Stałem o zmierzchu, mimo przykrego wiatru w samej tylko koszuli, oparty o balustradę hotelowego tarasu, sam. Światło przesunęło cień mojej głowy aż na skraj piaszczystej drogi między krzakami, łączącej szosę i plażę z osadą.

Na drodze pokazała się dziewczyna na rowerze i znikła natychmiast za domkiem krytym czerwoną dachówką, nie zamieszkanym, z tabliczką z czarnym napisem, zawieszoną tuż nad skrzynką na listy. Nie mogłem nie spojrzeć na tabliczkę przynajmniej raz dziennie; a choć dokuczały jej deszcze, upały i wiatr od morza, błyszczała niezmiennie i pozwalała odczytać: „*Moje wytchnienie*”.

W chwilę potem dziewczyna pojawiła się znowu na piaszczystej drodze wśród gąszczy krzaków. Jechała wyprostowana, lekko i wolno, ze spokojną arogancją poruszała nogami w szarych skarpetkach, grubych i włochatych, jeżących się sosnowymi igłami. Kolana miała zadziwiająco okrągłe, dorosłe w porównaniu z wiekiem, na jaki wskazywało jej ciało.

Zatrzymała rower tuż obok cienia mej głowy i, żeby zachować równowagę, oderwała prawą stopę i oparła ją na niskiej, pożółkłej trawie; stała teraz w cieniu głowy. Jednym ruchem odrzuciła włosy znad czoła i spojrzała na mnie. Miała na sobie ciemną trykotową bluzkę i różową spódniczkę. Przyglądała mi się spokojnie i uważnie, jak gdyby opalona dłoń między czupryną i brwiami wystarczająco ukrywała jej wścibstwo.

Obliczyłem, że dzieli nas dwadzieścia metrów i niepełne trzydzieści lat. Wsparty na łokciach wytrzymałem jej spojrzenie, zmieniłem położenie fajki między zębami i dalej wpatrywałem się w nią, w jej ciężki rower i barwy smukłego ciała na tle krajobrazu z drzewami i owieczkami milknącymi o zmierzchu.

Z nagłym uczuciem smutku i niepokoju dostrzegłem uśmiech, jaki dziewczyna połączyła ze zmęczeniem, z gęstymi i rozwianymi włosami, lekką krzywizną nosa poruszającego się przy oddychaniu, dziecięcym profilem twarzy – który nie miał nic wspólnego z jej wiekiem, został jej narzucony raz na zawsze i aż do śmierci – i oczyma, w których zbyt wiele miejsca zajmowały białka. Przyglądałem się lśnieniu potu, które przemieniało się z wolna w pierwszy lub ostatni wieczorny blask, aby w niedalekich już ciemnościach okryć ciało połyskliwą maską.

Dziewczyna oparła łagodnie rower o krzaki i znowu spojrzała na mnie, a jej dłonie z kciukami wciśniętymi za spódnicę spoczęły na talli. Nie wiem, czy miała pasek; tamtego lata dziewczyny nosiły szerokie paski. Potem rozejrzała się dookoła. Stała teraz bokiem, z rękoma założonymi do tyłu, oddychała wciąż z dziwnym wysiłkiem, z twarzą zwróconą w stronę zachodzącego słońca.

Usiadła nagle na trawie, zdjęła sandały i potrząsnęła nimi; dotknęła rękoma najpierw jednej, a potem drugiej bosej stopy, wytarła krótkie palce i pomachała nimi w powietrzu. Ponad jej wąskimi ramionami widziałem, jak porusza stopami brudnymi i zaczerwienionymi. Widziałem, jak prostuje nogi, wyjmując grzebień i lusterko z dużej kieszeni z monogramem na przodzie spódniczki. Uczesała się niedbale, prawie na mnie nie patrząc.

Znowu nałożyła sandały i wstała, przez chwilę uderzała stopą o pedał. Z pewnym wysiłkiem i jakby w pośpiechu obróciła się do mnie; stałem wciąż oparty o balustradę, nieruchomy, zapatrzony. W powietrzu zaczęła unosić się woń wiciokrzewów, a światło z hotelowego baru pokryło bladymi plamami trawę, piasek i kolisty podjazd dla samochodów poniżej tarasu.

Miałem wrażenie, że już się kiedyś poznaliśmy i zachowaliśmy miłe wspomnienia. Spojrzała raz jeszcze ze zwycięską miną i twarz jej zaczęła nikać w skąpym świetle; rzucała mi teraz wyzwanie całym swym obojętnym ciałem, nikłowymi błyskami roweru, krajobrazem z domkiem krytym czerwoną dachówką, otoczonym ligustrami i młodymi eukaliptusami o mlecznych pniach. Trwało to sekundę; wszystko, co ją otaczało, stworzone było przez nią i przez jej niedorzeczne zachowanie się. Wsiadła znowu na rower, ruszyła wolno wzdłuż krzewów hortensji, pustych ławek pomalowanych na niebiesko i przyspieszyła wśród samochodów przed hotelem.

Oczyściłem fajkę i przyglądałem się konaniu słońca między drzewami. Wiedziałem już, być może za dobrze, że to była ona.

Ale nie chciałem wymawiać jej imienia. Myślałem o tym, co mnie jeszcze czeka w hotelowym pokoju przed kolacją. Spróbowałem wymierzyć moją przeszłość i przewinienia miarą, jaką odkryłem: szczupłą dziewczyną zwróconą profilem w stronę horyzontu, jej młodymi i nieprawdopodobnymi latami, zaczerwienionymi stopami, które masowała rękoma.

Przed drzwiami sypialni znalazłem kopertę z rachunkiem za dwa tygodnie. Kiedy pochyliłem się po nią, zdziwiło mnie, że wciągam zapach wiciokrzewów, który unosił się już w pokoju, że czekam na coś, nieswój bez żadnego określonego powodu. Przy pomocy zapalki przeczytałem raz jeszcze „*Uwagi dla gości*” oprawione na drzwiach i zapaliłem fajkę. Długo myłem ręce, bawiłem się mydłem i przeglądałem w lustrze nad umywalką, prawie po ciemku, aż ujrzałem niestarannie ogoloną, szczupłą i bladą twarz, być może jedyną bladą wśród hotelowych gości. To była moja twarz, a zmiany w ostatnich miesiącach nie miały istotnego znaczenia. Ktoś szedł przez ogród i śpiewał półgłosem. Odkryłem, że zwyczaj bawienia się mydłem narodził się po śmierci Juliana, być może już w noc czuwania przy zwłokach.

Wróciłem do sypialni i otworzyłem walizkę, którą wyciągnąłem nogą spod łóżka. Był to nawyk głupi, po prostu nawyki może jednak byłoby lepiej dla wszystkich, gdybym pozostał wierny tej formie szaleństwa do jej lub mego ostatecznego wyczerpania. Szukałem po omacku, wyjąłem bieliznę, dwie małe książeczki i wyciągnąłem wreszcie złożoną gazetę. Znałem ten artykuł na pamięć, był najbliższy prawdzie, choć najniesprawiedliwszy i najbardziej zdawkowy ze wszystkich, jakie się ukazały. Przynależem krzesło do światła i spojrzalem, nie czytając, na czarny tytuł na całą stronę, który zaczynał już blaknąć: ZBIEGŁY KASJER POPEŁNIŁ SAMOBÓJSTWO. W dole zdjęcie, szare plamy składały się na twarz mężczyzny patrzącego na świat z wyrazem zdziwienia, pod obwisłymi wąsami usta jakby złożone do uśmiechu. Pomyślałem o jałowości moich niedawnych rozmyślań o dziewczynie i słowach, którymi nawiązałbym rozmowę. Mój świat należał jednak tylko do mnie, był ciasny i niezastąpiony. Nie było w nim miejsca dla innej przyjaźni, obecności lub rozmowy poza tym, co wiązało mnie z widmem o smutnych wąsach. Czasami pozwalało mi ono wybierać między Julianem a Zbiegłym Kasjerem.

Każdy zgodzi się z tym, że może lub mógł kiedyś wywierać wpływ na swego młodszego brata. Ale Julian był ode mnie – przed miesiącem i kilkoma dniami – starszy prawie o pięć lat. A jednak, muszę napisać, a jednak. Urodziłem się i żyłem zapewne po to, aby zniszczyć jego status jedynaka; moimi kapryсами, opryskliwością i znikomym poczuciem odpowiedzialności kazałem mu być tym, kim się stał: najpierw nędzarzem dumnym ze swego awansu, potem złodziejem. I, oczywiście, również tamtym, względnie młodym, samobójcą, na którego patrzyliśmy wszyscy, ale tylko ja rozpoznałem, że jest moim bratem.

Co po nim zostało? Półka powieści kryminalnych, jakieś wspomnienie z dzieciństwa, ubrania, których nie mogę nosić, bo uwierają i są przykrótkie. I zdjęcie w gazecie pod dużym nagłówkiem. Pogardzałem jego zgodliwością, wiedziałem, że był starym kawalerem tylko przez swą niemrawość, tyle razy przechodziłem w swoich wędrówkach po mieście koło zakładu fryzjerskiego, gdzie się codziennie golił. Irytowała mnie jego uległość i trudno mi było w nią uwierzyć. Wiedziałem, że w każdy piątek, regularnie, odwiedza go jakaś kobieta. Był bardzo uprzejmy i niezdolny do naprzykrzania się, a od trzydziestego roku życia jego ubiór i on sam zaczął jakby trącić starzyzną. Zapachem, który trudno określić i o którym nie wiadomo, skąd się bierze. Kiedy był niezdecydowany, usta składały mu się w taki sam grymas jak u naszej matki. Gdyby nie pokrewieństwo, nigdy nie mógłby zostać moim przyjacielem, nigdy bym go nie wybrał ani przyjął tej roli. Słowa są układne lub próbują być takimi, ilekroć chcą coś wyjaśnić. Wszystkie te słowa są, w istocie, koślawe i nieprzydatne. Był moim bratem.

W ogrodzie zagwizdał Artur, wspiął się przez balustradę i już był w pokoju, miał na sobie płaszcz kąpielowy, wytrząsnął piasek z włosów i ruszył do łazienki. Widziałem, jak bierze prysznic, i ukryłem gazetę między moją nogą a oparciem fotela. Usłyszałem jednak jego krzyk:

– Wciąż ta mara!

Nie odpowiedziałem i znowu zapaliłem fajkę. Artur wyszedł z łazienki pogwizdując i zamknął drzwi, przez które wciskała się noc. Wyciągnięty na łóżku nakładał świeżą bieliznę, przebierał się.

– A brzuch wciąż rośnie – powiedział. – Prawie nie jadłem śniadania, popłynąłem aż do falochronu. A wynik jest taki, że brzuch dalej rośnie. Byłbym gotów założyć się o cokolwiek, że wśród wszystkich moich znajomych tobie nie może się coś takiego przytrafić. A jednak przytrafiło się, przytrafiło na serio. Będzie już miesiąc, nie?

– Tak, dwadzieścia osiem dni.

– Nawet dnie liczysz – ciągnął Artur.— Znasz mnie dobrze. Mówię bez politowania. Dwadzieścia osiem dni temu zastrzelił się ten nieszczęśnik, a ciebie, właśnie ciebie, dręczą wyrzuty sumienia. Jak jakąś rozhisteryzowaną starą pannę. Bo są różne. Nie do wiary.

Usiadł na skrajku łóżka, żeby osuszyć stopy i nałożyć skarpetki.

– Tak – odpowiedziałem. —: Jeśli strzelił do siebie, to z pewnością nie był szczęśliwy. Nie tak szczęśliwy przynajmniej jak ty teraz.

– Musisz z tym wreszcie skończyć – ciągnął Artur. – Jakbyś to ty go zabił. I nie pytaj mnie więcej... – Przystanął, żeby przejrzeć się w lustrze – nie pytaj mnie, czy w jakimś świecie siedemnastowymiarowym zostaniesz uznany winnym tego, że twój brat się zastrzelił.

Zapalił papierosa i wyciągnął się na łóżku. Wstałem, położyłem poduszkę na gazecie, która tak szybko się zestarzała, i zacząłem chodzić po rozgrzanym pokoju.

– Jak ci już mówiłem, wyjeżdżam dziś w nocy – powiedział Artur. – Co myślisz robić?

– Nie wiem – odparłem łagodnie, bez zainteresowania. – Na razie zostaję. Lato jeszcze się nie całkiem skończyło.

Usłyszałem, jak Artur wzdycha, a westchnienie przemienia się w gwizd zniecierpliwienia. Podniósł się, wyrzucił papierosa w łazience.

– Chodzi o to, że mam moralny obowiązek dać ci kopniaka i zabrać ze sobą. Wiesz, że tam jest inaczej. Jak będziesz miał w czubie, rano, po dobrej zabawie, wszystko ci przejdzie.

Podniosłem ramiona, właściwie tylko lewe, i poznałem odruch, który Julian i ja odziedziczyliśmy bez możliwości wyboru.

– Mówię ci jeszcze raz – zaczął Artur, wkładając chusteczkę do kieszonki na piersiach. – Mówię ci, powtarzam, wściekły, ale z szacunkiem, to, o czym ci wspominałem. Czy to ty powiedziałeś swemu nieszczęsnemu bratu, że jedyne wyjście to palnąć sobie w łeb? Czy to ty kazałeś mu kupować peso chilijskie, wymieniać je na liry, liry na franki, franki na duńskie korony, korony na dolary, dolary na funty, a funty na halki z złotego jedwabiu? Nie, nie kręć głową. Kain na dnie jaskini. Chcę, żebyś powiedział tak albo nie. Choć nie potrzebuję odpowiedzi. Doradziłeś mu, bo tylko to się liczy, żeby kraść? Nigdy. Nie jesteś do tego zdolny. Mówiłem ci nie raz. I nie dowiesz się, czy to pochwała, czy wymówka. Nie kazałeś mu kraść. Więc o co chodzi?

Znowu usiadłem w fotelu.

– Już o tym wszystkim rozmawialiśmy i nie raz. Wyjeżdżasz dziś wieczorem.

– Jasne, autobusem o dziewiątej z minutami, nikt nie wie dokładnie. Mam jeszcze parę dni wolnych i nie myślę darować tylko firmie moich sił.

Artur wybrał krawat i zaczął go wiązać.

– Przecież to wszystko nie ma sensu – powiedział znowu przed lustrem. – Przyznaję, że i mnie kiedyś prześladowała mara. Doświadczenie takie zawsze źle się kończy. Ale to, co ty robisz... Ten twój brat, ta mara z grubymi węsami... Nigdy. Urojenia nie biorą się z niczego, jasne. W tym wypadku twoje wzięło się z nieszczęścia. Był twoim bratem, wiemy o tym. Ale teraz jest marą kasjera z węsami rosyjskiego generała...

– Ostatnie słowa na poważnie? – zapytałem niskim głosem; o nic go nie prosiłem; chciałem tylko odwdziaczyć się, nie wiem komu i nie wiem za co.

– Ostatnie słowo – powiedział Artur.

– Mam powody. Nie powiedziałem mu nawet w formie aluzji, żeby wykorzystał pieniądze spółdzielni na ten interes z wymianą. Ale kiedy wytłumaczyłem mu pewnego wieczoru, tylko dla dodania mu animuszu, a może dlatego, żeby jego życie było mniej nudne, żeby pokazać mu, jak można zarabiać pieniądze i wydawać, a nie tylko brać pensję pod koniec każdego miesiąca...

– Znam to – powiedział Artur ziewając i sadowiąc się na łóżku. – Za dużo pływałem, nie dla mnie już takie wyczyny. Ale to ostatni dzień. Znam całą historię. Wytłumacz mi teraz, a uprzedzam cię, że lato się kończy, co zyskasz zostając tutaj. Wytłumacz mi, na czym polega twoja wina, skoro tamten popełnił głupstwo.

– Jestem winny – wymruczałem z przymkniętymi oczyma i głową opartą o fotel; wolno cedziłem słowa. – Jestem winny przez mój entuzjazm, być może moje kłamstwa. Jestem winny dlatego, że powiedziałem Julianowi po raz pierwszy o czymś, czego nie możemy określić, a co nazywa się światem. Jestem winny, bo pozwoliłem mu odczuć – nie mówię, uwierzyć – że jeśli podejmie ryzyko, wtedy to, co nazywałem światem, będzie należeć do niego.

– I co z tego – powiedział Artur, przyglądając się z daleka w lustrze swej fryzurze. – Brat. Wszystko jest idiotycznie zawile. Za parę dni przejdzie ci to, odwiedź mnie wtedy. A teraz ubierz się i wypijemy coś przed kolacją. Muszę wyjść wcześniej. Ale, dopóki pamiętam, chcę dać ci ostatni argument. Może ci się na coś przyda.

Dotknął mego ramienia i spojrzał mi prosto w oczy.

– Posłuchaj – rzekł. – Czy wśród wszystkich tych idiotycznych zawiloci Julian właściwie korzystał ze skradzionych pieniędzy? Czy wydawał je wierząc święcie we wszystkie te bzdury, o jakich mu naopowiadałeś?

– On? – podniosłem się ze zdziwieniem. – Ależ proszę cię. Kiedy przyszedł do mnie, nie było już nic do zrobienia. Na początku, jestem tego prawie pewien, wydawał je właściwie. Ale natychmiast się wystraszył, zaczął popełniać niewiarygodne głupstwa. Nie znam szczegółów. Były to jakieś kombinacje z akcjami i dewizami, ruletką i wyścigami.

– A widzisz – Artur przytaknął skinieniem głowy. – Świadczenie niepoczytalności. Masz pięć minut na ubranie się i rozmyślanie. Czekam w barze.

Wypiliśmy parę kieliszków i Artur zaczął zawzięcie szukać w portfelu zdjęcia jakiejś kobiety.

– Nie mam – powiedział w końcu. – Zgubiłem ją. Fotografię, nie kobietę. Chciałem pokazać ci, bo ma w sobie coś niezwykłego, na co niewielu zwraca uwagę. Zanim cię to napadło, znałeś się na rzeczy.

I zostały jeszcze, myślałem, wspomnienia z dzieciństwa, które w ciągu najbliższych dni, tygodni lub miesięcy będą odradzać się i stawać coraz bardziej wyraziste. Została również podstępna, być może umyślna, deformacja wspomnień. Zostanie, w najlepszym wypadku, wybór, którego sam nie dokonam. Będziemy spotykali się, na mgnienie lub w rozwlekłych, sennych koszmarach, w śmiesznych ubrankach, podczas zabawy w dżdżystym ogrodzie lub bójki w sypialni. Był starszy ode mnie, lecz słabszy. Był pobłażliwy i dobry, brał na siebie moje winy, łągał słodko pytany o ślady, jakie na jego twarzy pozostawiły moje uderzenia, o zbitą filiżankę, o nasz późny powrót do domu. Było zdumiewające, że wszystko to nie zaczęło się jeszcze w czasie tego jesiennego miesiąca nad morzem; być może nieświadomie powstrzymywałem cały ten strumień zaglądaniem do gazety i przypominaniem sobie dwóch ostatnich nocy. W czasie pierwszej Julian żył, w drugiej już nie. Druga noc była bez znaczenia, a wszystkie próby wyjaśnienia jej prowadziły donikąd. Czuwaliśmy tej nocy przy zwłokach Juliana; zaczęła opadać mu szczeka, bandaż na głowie poszarzał i pożółkł na długo przed świtem. Byłem zajęty roznoszeniem napoi i porównywaniem wszystkich tych słów współczucia. Był ode mnie starszy o pięć lat i przekroczył czterdziestkę. Nie chciał niczego od życia, być może tyle tylko, żeby go zostawić w spokoju. Żył od dzieciństwa ze słowem przepraszam na ustach. To życie, mało zaskakujące, lecz przecież nie krótkie, nie pozwoliło mu nawet poznać czegoś więcej. Wszyscy, smętnie i wolno popijając kawę i whisky, zgodnie stwierdzali, że samobójstwo było błędem. Jeden dobry adwokat i paroletni wyrok... A poza tym dla wszystkich zakończenie, o które zaczęli się dopytywać, wydawało się groteskowe i niewspółmierne do przestępstwa. Dziękowałem i kiwałem głową; potem krążyłem między

hallem a kuchnią z napojami i pustymi kieliszkami. Próbowałem wyobrazić sobie, nie mając ku temu danych, opinię taniej kobietki, która odwiedzała Juliana w piątki lub poniedziałki, dni, kiedy było mniej klientów. Pytałem siebie o niewidzialną, nigdy nie wyjawioną prawdę z jej opowieści. Pytałem siebie, jaki byłby jej sąd i obdarzałem ją inteligencją niemożliwą. Co mogła myśleć ona, której obojętne było, że jest na co dzień prostytutką, o Julianie, który zgodził się zostać na parę tygodni złodziejem, ale nie mógł znieść myśli, że durnie zaludniający i kształtujący ten świat dowiedzą się o jego postępkach. Ale nie zjawiała się tamtej nocy albo przynajmniej nie udało mi się rozpoznać twarzy, zuchwałości, perfum lub uległości, które mógłbym przypisać jej osobie.

Nie ruszając się z barowego stołka Artur zamówił bilet z miejscówką na autobus. Dziewiąta czterdzieści pięć.

– Jeszcze sporo czasu. Nie mogę znaleźć fotografii. Dzisiaj nie można z tobą rozmawiać. Panie starszy, jeszcze raz.

Powiedziałem już, że noc przy zwłokach nie miała istotnego znaczenia. Poprzedzająca ją była krótsza i bardziej męcząca. Julian mógł czekać na mnie na klatce schodowej, ale myślał już o policji i dlatego wolał krążyć na deszczu, aż ujrzał światło w oknie. Był cały zmoknięty – a należał do ludzi urodzonych z parasolem i nigdy go nie zapominał – i parę razy kichnął, przepaszając kpiącym głosem, nim usiadł koło elektrycznego piecyka i rozgościł się u mnie. Całe Montevideo znało historię Spółdzielni i przynajmniej połowa czytelników gazet nie chciała już, znudzona, słyszeć o kasjerze.

Julian czekał półtorej godziny na deszczu nie po to jednak, żeby zobaczyć się ze mną, zamienić słowa pożegnania i powiedzieć o samobójstwie. Wypiliśmy po kieliszku. Zgodził się na alkohol z obojętnością, bez sprzeciwu.

– Teraz to już i tak... – wymruczał prawie ze śmiechem, unosząc jedno ramię.

A jednak przyszedł do mnie, żeby się na swój sposób pożegnać. Nie mogło się obejść bez wspomnień, rozmyślał o rodzicach, o zburzonym już dużym domu dzieciństwa; Wylał długie wąsy i powiedział z zakłopotaniem:

– Ciekawe. Zawsze myślałem, że ty wiesz, a ja nie. Od dziecka. I nie sądzę, żeby rzecz sprowadzała się do charakteru lub inteligencji. Chodzi o coś innego. Są ludzie, którzy instynktownie przystosowują się do świata. Ty tak, ja nie. Zawsze brak mi było niezbędnej wiary. – Dotykał dłonią nie ogolonego podbródka. – Nie chodzi również o to, żebym musiał podporządkować siebie jakimś zбочeniom lub nałogom. Nie było handicapu, przynajmniej nigdy go nie zauważyłem.

Zatrzymał się i opróżnił kieliszek. Podniósł głowę, tę, którą od miesiąca oglądani codziennie na pierwszej stronie dziennika, i odsłonił zdrowe, poplamione tytoniem zęby.

– Chociaż, – ciągnął, podnosząc się – twoja kombinacja była dobra. Powinieneś być ją podsunąć komuś innemu. To nie ty przegrałeś.

– Czasami udaje się, czasami nie – powiedziałem. – Nie pójdziesz w taki deszcz. Możesz tutaj zostać na stałe, jak długo będziesz chciał.

– W taki deszcz. Na stałe... – Podeszedł i dotknął mego ramienia.

– Przepraszam. Będą kłopoty. Zawsze są kłopoty.

I wyszedł. Żegnał mnie własną skurczoną postacią, zadbanymi, pocziwymi wąsami, aluzjami do tego, co przepadło i rozeszło się, a co jednak więzy krwi były i są w stanie naprawić w parę minut.

Artur mówił o machinacjach na wyścigach konnych. Spojrzał na zegarek i zamówił u barmana ostatni kieliszek.

– Ale proszę więcej dżinu – powiedział.

I wtedy zaskoczyła mnie myśl, że zmarłego brata zaczynam łączyć z dziewczyną na rowerze. Nie nachodziły mnie wspomnienia z jego dzieciństwa ani też jego biernej dobroci, nic, absolutnie nic poza biednym uśmiechem i potulnością podczas naszego ostatniego spotkania. Jeśli słowem tym można nazwać to, co wydarzyło się między nami, kiedy przemoczony przyszedł do mnie, żeby się zgodnie z własnym ceremoniałem pożegnać.

Nie wiedziałem nic o dziewczynie z rowerem. Ale kiedy Artur mówił o Ever Perdomie czy też o bałaganie w turystyce, wezbrała we mnie nagle fala dawnej, niesprawiedliwej, prawie zawsze niewłaściwie adresowanej litości. Było niewątpliwe, że ją kocham i pragnę bronić. Nie mogłem odgadnąć przed kim lub przed czym. Rozwścieczony, gotów byłem chronić dziewczynę przed nią samą i każdym, niebezpieczeństwem. Wydawało mi się, że patrzyła niepewnie i z wyrzutem, że podnosiła dumną, naznaczoną nieszczęściem twarz. Może to trwać, ale zawsze płaci się przedwcześnie, niewspółmiernie. Mój brat musiał zapłacić za swój nadmiar prostoduszności. W przypadku dziewczyny – której być może nigdy więcej nie zobaczę – przewinienia były inne. Ale obojga, choć w różny sposób, łączyła chęć zbliżenia się do śmierci, do doznania ostatecznego. Julian szukał go w odejściu, ona, dziewczyna na rowerze, w pragnieniu bycia wszystkim na raz.

– Ale tak już jest, że nawet jeśli udowodnią ci – ciągnął Artur – że wszystkie gonitwy są inscenizowane, to i tak będziesz grał dalej. Popatrz, akurat teraz, kiedy wyjeżdżam, zbiera się na deszcz.

– Rzeczywiście – odparłem i przeszliśmy do sali restauracyjnej. Ujrzałem ją natychmiast.

Wdychając wieczorne, burzowe powietrze siedziała przy oknie ze swymi ciemnymi, bujnymi włosami, które wiatr strącał na czoło, i oczy, z widocznymi przy nieznośnym, jarzeniowym świetle drobnymi piegami na policzkach i nosie, z dziecinnymi i błękitnymi oczyma, które w zamyśleniu przyglądały się pochmurnemu niebu i twarzom przy stole, ze szczupłymi, lecz mocnymi, nagimi rękoma założonymi na tym, co można by uznać za żółty strój wieczorowy, założonymi tak, że każda dłoń ochraniała jedno ramię.

Obok niej siedział jakiś starszy mężczyzna i rozmawiał z kobietą z naprzeciwka, młodą, o białych, mięsistych plecach, zwróconą twarzą ku niemu, z dziką różą we włosach, tuż nad uchem. Kiedy poruszała się, drobny, biały pąk kwiatu zasłaniał i odsłaniał profil zamyślonej dziewczyny. Ilekroć kobieta śmiała się i odchyłała głowę do tyłu, na lśniąca biel pleców, twarz dziewczyny odcinała się wyraziście od nocnych ciemności.

Rozmawiałem z Arturem i spoglądałem raz po raz w stronę stolika; starałem się zgadnąć, na czym polega jej tajemniczość, niezwykłość. Pragnąłem zostać na zawsze z dziewczyną i czuwać nad jej życiem. Widziałem, jak piła kawę i paliła papierosa, wpatrzona w powolne usta starego. Nagle spojrzała na mnie, tak jak wtedy na drodze, tymi samymi, spokojnymi i wyzywającymi oczyma, nawykłymi do lekceważącej zadumy. Z niewytłumaczalną desperacją wytrzymałem spojrzenie dziewczyny; wpiłem się wzrokiem w drobną i szlachetną główkę i umknąłem przed nierozwikłaną tajemniczością, aby wedrzeć się w burzę nocy, zdobyć siłę nieba i narzucić ją dziewczęcej twarzyczce, która przyglądała mi się nieruchomo i bez wyrazu. Twarzyczce, z której nieumyślnie, bezwiednie, płynęła ku mej poważnej i steranej twarzy łagodność i młodzieńcza uległość zaczerwienionych, piegowatych policzków.

Artur palił papierosa i uśmiechał się.

– I ty także, Brutusie? – zapytał.

– Co także?

– Dziewczyna z rowerem, dziewczyna przy oknie. Gdybym nie musiał teraz wyjeżdżać...

– Nie rozumiem.

– Ta w żółtej sukience. Nie widziałeś jej przedtem?

– Raz. Dziś po południu, z tarasu. Kiedy wracała z plaży.

– Miłość od pierwszego spojrzenia – potwierdził Artur. – Nietknięta młodość i doświadczenie pełne blizn. Piękna historia. Ale, wyznam ci, jest ktoś, kto ją lepiej opowie. Poczekaj.

Podszedł kelner, żeby zabrać talerze i paterą.

– Kawa? – zapytał. Był niski, miał ciemną, małą twarz.

– Niech będzie – uśmiechnął się Artur – to, co nazywają kawą. Panienką nazywają na przykład tę dziewczynę ubraną na żółto, pod oknem. Mój przyjaciel jest bardzo ciekawy; chce dowiedzieć się czegoś o nocnych eskapadach malutkiej.

Rozpiąłem marynarkę i poszukałem spojrzenia dziewczyny. Ale jej głowa zwrócona była w inną stronę, a czarny rękaw mężczyzny przecinał w poprzek żółtą sukienkę. Wkrótce potem fryzura z kwiatkiem pochyliła się i zakryła piegowaną twarzyczkę. Pozostała jedynie ciemna, lśniąca czupryna, na którą padał snop światła. Przypomniałem sobie magię ust i spojrzenia; magia to słowo, którego nie potrafię wyjaśnić, lecz używam go teraz bezradny, nie mogąc zastąpić żadnym innym.

– Nic zdrożnego – ciągnął Artur przed kelnerem. – Ten pan, mój przyjaciel, interesuje się kolarstwem. Powiedz mi. Co się dzieje w nocy, kiedy tatuś i mamusia, o ile są, śpią smacznie.

Kelner kiwał się uśmiechnięty, z pustą paterą w podniesionej ręce.

– E, nic – powiedział w końcu. – Znana sprawa. O północy panienka wyjeżdża na rowerze; czasami jedzie do lasu, czasami na wydmy. – Udało mu się przybrać poważny wyraz twarzy i ciągnął bez złośliwości: – Nie ma o czym mówić. Nic nie wiem, mówię ot, tak. Nigdy sam nie widziałem. Tyle że wraca rozczochrana i bez śladu szminki. Tyle że którejś nocy stróżowałem przy drzwiach i spotkałem ją, i wcisnęła mi do ręki dziesięć pesos. Młodzi Anglicy z Atlanticu dużo gadają. Ale nie ja, bo niczego nie widziałem.

Artur zaśmiał się i klepnął kelnera w bok.

– A widzisz – powiedział, jakby odniósł zwycięstwo.

– Przepraszam – zapytałem kelnera. – Ile może mieć lat?

– Panienka?

– Czasami, tego wieczoru, myślałem, że jest dzieckiem, teraz wygląda poważniej.

– To wiem na pewno, proszę pana – odparł kelner. – Z księgi meldunkowej wynika, że ma piętnaście, skończyła je tutaj przed kilkoma dniami. A zatem, dwie kawy? – Ukłonił się przed odejściem.

Starałem się zachować uśmiech pod wesołym, spojrzeniem Artura; dłoń z fajką trzęsła mi się nad obrusem.

– W każdym bądź razie – powiedział Artur – uda się albo nie, jest to program życiowy ciekawszy niż zamknąć się z wąsatą marą.

Wstając od stolika dziewczyna znowu na mnie spojrzała, z wysoka, ulotnie, z ręką na obrusie; wiatr od okna poruszał jej sztywnymi włosami nad czołem, a ja przestałem wierzyć w to, co naopowiadał mi kelner i z czym godził się Artur.

Na schodach Artur, z płaszczem i walizką w dłoni, poklepał mnie po ramieniu.

– Za tydzień się zobaczymy. Wpadnę do Eldorado i znajdę cię przy stoliku spijającego nektary mądrości. Dobrze, życzę długich przejażdżek na rowerze.

Zeskoczył do ogrodu i ruszył w kierunku samochodów parkujących pod tarasem. Kiedy zginął w mroku, zapaliłem fajkę, oparłem się o balustradę i zacząłem wdychać rzeńskie powietrze. Wydawało się, że burza jest daleko. Wróciłem do sypialni i wyciągnąłem się na łóżku, słuchałem muzyki dobiegającej z sali restauracyjnej, gdzie być może zaczęły się tańce. Schowałem w dłoni ciepłą fajkę i dałem się nieść powolnym snom przez świat oleisty i bezpowietrzny, w którym skazany byłem na znojne przedzieranie się, wbrew własnej woli, z otwartymi ustami, ku wejściu, gdzie spało jaskrawe światło poranka, obojętne i nieosiągalne.

Przebudziłem się spocony i znowu usiadłem w fotelu. Ani Julian, ani wspomnienia z dzieciństwa nie pojawiły się w sennych koszmarach. Zostawiłem zapomniany sen na łóżku i zacząłem wdychać burzowe powietrze ciągnące od okna, nasycone zapachem kobiety, ciężkim i ciepłym. Prawie nie ruszając się wyszarpnąłem spod siebie papier i spojrzałem na nagłówek, wyblakłą fotografię Juliana. Upuściłem gazetę, nałożyłem nieprzemakalny płaszcz, zgasilem światło w sypialni i zeskoczyłem przez balustradę na miękką ziemię ogrodu. Wiatr wirował z zapamiętaniem i opasywał mnie. Ruszyłem przez trawnik, aż znalazłem się na piaszczystej dróżce, gdzie wieczorem siedziała dziewczyna. W szarych skarpetkach upstrzonych sosnowymi igłami, z dłońmi wycierającymi bose stopy, z chudymi pośladkami rozpłaszczonymi na ziemi.

Las rozciągał się po mojej lewej stronie, wydmy po prawej; wszystko tonęło w czerni, a wiatr uderzał mnie teraz w twarz. Usłyszałem kroki i ujrzałem po chwili promienny uśmiech kelnera, małpi pysk tuż koło mego ramienia.

– Niewesoło – powiedział. – Zostawił ją pan.

Chciałem uderzyć go, ale natychmiast poskromiłem niespokojne dłonie w kieszeniach płaszcza i, zasłuchany w szum morza, dyszałem w bezruchu, z przymkniętymi oczyma, zdecydowany i pełen litości nad sobą.

– Wyszła chyba przed dziesięcioma minutami – ciągnęła małpa. Nie patrzyłem na niego, ale wiedziałem, że przestał się uśmiechać i zwrócił głowę w lewo. – Jedyne, co może pan jeszcze zrobić, to poczekać, aż będzie wracała. Jak się dobrze wystraszy...

Nie odwracając się rozpiąłem powoli płaszcz, wyciągnąłem banknot z kieszeni spodni i wręczyłem go małpie. Poczekalem, aż ucichną kroki kelnera człapiącego w stronę hotelu. Potem pochyliłem głowę i z nogami wbitymi w miękką ziemię i trawę, na której w tamten odległy wieczór siedziała dziewczyna, zacząłem rozpamiętywać jej ciało i ruchy. Zabezpieczony przed samym sobą i własną przeszłością niezniszczalnym uczuciem wiary i nieokreślonej nadziei, wciągałem ciepłe powietrze, w którym wszystko stawało się zapomnieniem.

4

Zobaczyłem ją nagle pod napęczniałym, jesiennym księżycem. Szła sama brzegiem morza, omijała głazy i duże, lśniące rozlewiska i pchała rower, ubrana teraz nie w śmieszna, żółta sukienkę, lecz w obcisłe spodnie i marynarską kurtkę. Nigdy nie widziałem jej w tym stroju i nie miałem kiedy oswoić się z jej figurą i krokami. Rozpoznałem ją jednak natychmiast i ruszyłem ku niej przez plażę.

– Dobry wieczór – powiedziałem.

W chwilę potem odwróciła głowę, żeby mi się przyjrzeć, zatrzymała się i skreśliła rower w stronę wody. Patrzyła przez czas jakiś z uwagą, a kiedy powtórzyłem powitanie, było już w niej coś samotnego i bezbronno. Tym razem odpowiedziała. Na pustej plaży zaskrzeczała głosem ptaka. Był to głos ostry i obcy, nie pasujący do jej pięknej twarzy, smutnej i szczupłej, jak gdyby dopiero co nauczyła się obcej mowy, opanowała lekcję konwersacji w nieznanym sobie języku. Wyciągnąłem ramię, żeby podtrzymać rower. Teraz ja patrzyłem na księżyc, a ona ukryła się w cieniu.

– Dokąd szłaś? – zapytałem i dodałem: – dziecko.

– Donikąd – zabrzmiał ciężko dziwny głos. – Zawsze lubię spacerować nocą po plaży.

Pomyślałem o kelnerze i młodych Anglikach z Atlanticu, myślałem o tym, co utraciłem na zawsze bez mojej winy, bez pytania mnie o zdanie.

– Mówią... – zacząłem. Pogoda zmieniła się, nie czuło się chłodu ani wiatru. Pomagając dziewczynie prowadzić rower po piachu, tuż nad szumiącym morzem, doznałem uczucia samotności, jakiej nigdy nie było mi dane przeżyć; samotności, spokoju i nadziei.

– Jeśli nie masz nic innego do roboty, mówią, że gdzieś w pobliżu jest statek przerobiony na bar i restaurację.

Twardy głos powtórzył z niewytłumaczalną radością:

– Mówią, że gdzieś w pobliżu jest statek przerobiony na bar i restaurację.

Słyszałem, jak dyszała ciężko; po chwili wytchnienia dodała:

– Nie, nie mam nic do roboty. Czy to zaproszenie? Ale tak, w takim stroju?

– Zaproszenie. W takim stroju.

Kiedy przestała mi się przyglądać, zobaczyłem jej uśmiech; nie żartowała, wyglądała na szczęśliwą i nie nawykłą do szczęścia.

— Pan siedział przy stoliku ze swym kolegą. Wyjechał dziś wieczorem. A mnie pękła guma, kiedy wyjeżdżałam z hotelu.

Rozzłościło mnie, że przypomina Artura; wyjąłem kierownicę z jej rąk i ruszyliśmy brzegiem, w stronę statku.

Dwa lub trzy razy powiedziałem coś zdawkowo, ale nie odpowiedziała. Było coraz cieplej i coraz wyraźniej czuło się podmuch burzy. Zauważyłem, że dziewczyna koło mnie posmutniała, rzuciłem okiem na jej wytrwały chód, wyprostowane ciało, chłapiące pośladki opięte letnimi spodniami.

Statek stał tam, wyciągnięty na brzegu, z wygaszonymi światłami.

– Nie ma statku, nie ma zabawy – powiedziałem. – Przepraszam, że musiałaś przeze mnie tyle iść na próżno.

Zatrzymała się, żeby obejrzeć w księżycowej poświacie pochylony statek. Stała tak przez chwilę z rękoma założonymi do tyłu, jakby była sama, zapomniała o mnie i o rowerze. Księżyc opadał nad falującym widnokregiem i podnosił się. Dziewczyna odwróciła się nagle i podeszła do mnie, nie wypuściłem roweru z rąk. Objęła moją twarz szorstkimi dłońmi i odwróciła ją w stronę światła.

– Co – powiedziała chrapliwie – mówiłeś? Jeszcze raz.

Prawie jej nie widziałem, ale pamiętałem. Pamiętałem wiele innych rzeczy, których ona, bezwiednie, była symbolem. Zacząłem ją kochać, a jej smutek zaczął i mnie się z wolna udzielać.

– Nic – powiedziałem. – Nie ma statku, nie ma zabawy.

– Nie ma zabawy – powtórzyła, teraz zauważyłem w półmroku jej uśmiech, biały i krótki, jak piana drobnych fal toczących się parę metrów od brzegu. Pocałowała mnie nagle, umiała całować i poczułem jej ciepłą twarz, wilgotną od łez. Ale nie puściłem roweru.

– Nie ma zabawy – powtórzyła raz jeszcze, z głową pochyloną, tuż przy mojej piersi. Głos jej był bardziej zmieszany, prawie gardłowy. – Musiałam zobaczyć twoją twarz – znowu podniosła ją w stronę księżyca. – Musiałam wiedzieć, że się nie mylę. Rozumiesz?

– Tak – skłamałem; i wtedy wyjęła mi z rąk kierownicę, wsiadła na rower i zrobiła, duże koło na mokrym piachu.

Kiedy znalazła się przy mnie, oparła rękę na moim karku i ruszyliśmy w stronę hotelu. Oderwaliśmy się od skał i skręcili do lasu. Nie uczyniłem tego ani ja, ani ona.

Przystanęła koło pierwszych sosen i upuściła rower.

– Twarz. Jeszcze raz. Nie chcę, żebyś się gniewał – poprosiła.

Postuszenie spojrzałem na księżyc, na pierwsze chmury, które pojawiły się na niebie.

– Coś – powiedziała swym dziwnym głosem. – Chcę, żebyś coś powiedział. Byle co.

Położyła mi rękę na piersiach i wspięła się na palcach, żeby zbliżyć swe dziecinne oczy do moich ust.

– Kocham cię. Ale co z tego. Jest to inna forma nieszczęścia – powiedziałem po chwili równie wolno jak ona.

Wtedy dziewczyna wymruczała „biedaku”, jak gdyby była moją matką, tym dziwnym głosem, teraz czułym i opiekuńczym, i daliśmy się ponieść szaleństwu i pocałunkom. Pomogliśmy sobie rozebrać się z rzeczy zbędnych i już miałem te dwie rzeczy, na które nigdy nie zasłużyłem: jej twarz wykrzywioną płaczem i szczęściem oraz pewność, że nigdy w nią nie wnikano.

Usiedliśmy koło hotelu na wilgotnych skałach. Księżyc schował się. Zaczęła rzucać kamykami; czasami spadały do wody z nadmiernym hałasem, innym znów razem ledwie odrywały się od jej stóp. Wydawało się, że tego nie dostrzega.

Moja opowieść była surowa i ostateczna.

Opowiedziałem ją poważnym, męskim głosem, postanowiwszy z wściekłością odsłonić całą prawdę, bez względu na to, czy uwierzy w nią, czy nie.

Wszystkie wydarzenia utraciły swą dotychczasową wymowę i od tej chwili mogły mieć tylko taki sens, jaki ona zechce im nadać. Mówiłem, oczywiście, o moim bracie, ale teraz, od tej nocy, dziewczyna stała się się głównym tematem mego opowiadania, niczym długa szpilka wbiła się w moje wspomnienia. Od czasu do czasu słyszałem, jak się poruszała i potakiwała swoim dziwnym, źle brzmiącym głosem. Musiałem także wspomnieć o latach, jakie nas dzielą, przesadnie zasmucić się, udawać rozpaczliwą wiarę w moc słowa „niemożliwe”, okazywać dyskretne zniechęcenie wobec nieuniknionych zmagają. Nie chciałem stawiać jej pytań, a jej stwierdzenia, wtrącane nie zawsze w chwilach ciszy, również nie domagały się zwierzeń. Nie ulegało wątpliwości, że dziewczyna wyzwoliła mnie od Juliana, od ruin i szczątków, jakie jego śmierć odsłoniła i dobyła na powierzchnię; nie ulegało wątpliwości, że od pół godziny potrzebuję jej i będę potrzebował.

Odprowadziłem ją pod bramę hotelu i pożegnaliśmy się nie wyjawiając naszych imion. Kiedy oddalała się, wydało mi się, że obie opony roweru wypełnione są powietrzem. Być może skłamała, ale nie miało to znaczenia. Nie widziałem nawet, jak wchodzi do hotelu, i ruszyłem sam wzdłuż tarasu, łączącego się z moim pokojem, ku wydomom, kroczyłem wytrwale, spragniony, aby wreszcie o niczym nie myśleć i doczekać burzy.

Szedłem w stronę diun, a potem, gdy byłem już daleko, ku wzgórzu porośniętemu eukaliptusami. Chodziłem wolno, zamykając oczy przed zacinającym w twarz piachem, wśród drzew, jęklivych podmuchów wiatru i grzmotów, jakie groźnie zbierały się nad niewidocznym horyzontem. Wszystko tonęło w ciemnościach i – jak to potem wielokrotnie musiałem powtarzać – nie widziałem światła roweru, przekonany, że to ktoś na plaży, ani nawet ognika papierosa palonego przez kogoś, kto spacerował lub odpoczywał na piasku, na suchych liściach, oparty o pień drzewa, z nogami podkurczonymi, zmęczony, przemoknięty, zadowolony. To byłem ja, i choć nie umiałem się modlić, raz po raz dziękczynyłem z niedowierzaniem.

Byłem teraz na skraju zagajnika, sto metrów od morza, na wprost wydm. Poczułem, że mam podrapane dłonie i zatrzymałem się, żeby je rozetrzeć. Szedłem w stronę szumiącego morza, aż znalazłem się na wilgotnym, piaszczystym brzegu. Nie widziałem, powtarzam, żadnego światła, żadnego poruszenia w ciemnościach; nie słyszałem żadnego głosu, który Wiatr załamywałby lub zniekształcał.

Opuściłem brzeg i zacząłem wspinać się na wydmy i zsuwać się, ześlizgiwać po zimnym piachu, który z chrzęstem wsypywał się do pantofli, przeciskać się między krzakami, biec prawie oszalały z radości, która umykała mi latami i której dopiero teraz dopadłem. Podniecony tak, że nie mogłem się pohamować, roześmiany we wnętrzu wietrznej nocy, wspinałem się na niewielkie wzniesienia i puszczałem biegiem, padałem na kolana i rozluźniałem ciało, dysząc z ulgą, z twarzą zwróconą w stronę burzy zbliżającej się od wody. Potem jakby dopadły mnie wszystkie możliwe zwątpienia i zniechęcenia; szukałem godzinami, zubożniały, drogi powrotnej do hotelu. Spotkałem wtedy kelnera i powtórzyłem akt milczącego wręczenia mu dziesięciu pesów. Uśmiechnął się, a ja, nazbyt zmęczony, uwierzyłem, że mnie zrozumiał, że ludzie zawsze w końcu rozumieją.

Zasnąłem w łóżku na wpół rozebrany, niczym na piachu; słuchałem burzy, która się wreszcie rozpełtała, i wstrząsany grzmotami pogrążyłem się zachłannie w nerwowym poszumie deszczu.

Kończyłem się golić, kiedy usłyszałem stukot palców o szybę drzwi wychodzących na taras. Było bardzo wczesnie; ujrzałem długie i jaskrawo pomalowane paznokcie. Nie odkładając ręcznika uchyliłem drzwi; było to nieuniknione, stała przede mną.

Miała włosy ufarbowane na jasno i być może w wieku dwudziestu lat rzeczywiście była blondynką, nosiła szewiotowy kostium, który czas i liczne prania obcisnęły na jej ciele, i zieloną parasolkę z krótką kościaną rączką, zapewne nigdy nie otwieraną. Z tych trzech rzeczy dwóch domyślałem się bezbłędnie już wcześniej; także na pogrzebie brata.

– Betty – powiedziała, odwracając się, z najlepszym uśmiechem, na jaki ją było stać.

Udałem, że nigdy jej nie widziałem i nie wiem, kim jest. Był to jedynie swoisty komplement, znieprawiona forma delikatności, całkowicie już mi obojętnej.

Więc to była, pomyślałem, kobieta, którą widziałem jakby przez mgłę za brudnymi szybami kawiarni, ilekroć dotykałem ręki Juliana w długie wieczory poprzedzające piątki lub poniedziałki.

– Przepraszam – zaczęła – że przyjeżdżam z daleka po to tylko, aby się panu naprzykrzać i w dodatku o tej porze. Teraz, kiedy pan jako najlepszy z braci Juliana... Jeszcze teraz, przysięgam, nie mogę uwierzyć, że nie żyje.

Światło poranka postarzało ją i inaczej musiała wyglądać w pokoju Juliana, a nawet w kawiarni. Byłem aż do końca jedynym bratem Juliana, ani lepszym, ani gorszym. Była stara i wydawało mi się, że łatwo się jej pozbędę. Ja również, mimo tego wszystkiego, co zobaczyłem i usłyszałem, mimo wspomnień z ostatniej nocy, na plaży, nie w pełni pogodziłem się ze śmiercią Juliana. Dopiero kiedy pochyliłem głowę i ruchem dłoni zaprosiłem ją do środka, spostrzegłem, że nosi kapelusz ozdobiony świeżymi fiołkami i listkami bluszczu.

– Proszą mi mówić Betty – powiedziała i wybrała fotel, gdzie ukryłem, gazetę, zdjęcie, nagłówek, opis nieokreślenie rozwiązyły. – Jest to jednak sprawa życia i śmierci.

Nie było już ani śladu po burzy, a noc mogła się przecież nie wydarzyć. Spojrzałem na słońce w oknie, żółtawą plamę, która zaczynała szukać dywanu. A jednak nie ulegało wątpliwości, że czułem się inaczej, że zachłannie wciągałem powietrze, że miałem ochotę skakać i śmiać się, że obojętność – a również okrucieństwo – jawiły mi się jako możliwe formy cnoty. Nie widziałem jednak tego jasno i zrozumiałem dopiero później.

Podszedłem do fotela i przeprosiłem kobietę, tę rzadką kombinację nieprawości i nieszczęścia. Wyciągnąłem gazetę, zużyłem parę zapalek i zapaloną poruszałem nad tarasem.

– Biedny Julian – rzekła za moimi plecami.

Wróciłem na środek pokoju, zapaliłem fajkę i usiadłem na łóżku. Odkryłem nagle, że jestem szczęśliwy, i próbowałem obliczyć, ile lat dzieli mnie od ostatniej chwili szczęścia. Dym z fajki szczypał w oczy, więc odłożyłem ją i przyglądałem się wesoło ładacznicy w fotelu, sponiewieranej wywłoce, która, nieświadoma niczego, rzuciła cień na rodzący się ranek.

– Biedny Julian – powtórzyłem. – Mówiłem to wielokrotnie na pogrzebie i później. Już się zmęczyłem, wszystko ma swój kres. Czekałem na panią przed pogrzebem, ale na próżno. Lecz dzięki temu oczekiwaniu, proszę mnie dobrze zrozumieć, dowiedziałem się, jaka pani jest, mógłbym spotkać panią na ulicy i rozpoznać.

Wpatrywała się we mnie z niezadowoleniem i znowu się uśmiechnęła.

– lak, chyba rozumiem – odparła.

Nie była bardzo stara, daleko jej było do lat Juliana lub moich. Ale nasze życia potoczyły się odmiennie i to, co pokazywała mi teraz na krześle, było tylko otyłością, pomarszczoną twarzą dziecka, cierpieniem i tajoną niechęcią, brudem życia, który odcisnął się trwałym piętnem na jej policzkach, kącikach ust i otoczonych zmarszczkami oczach. Miałem ochotę zbić ją i wyrzucić, pohamowałem się jednak, zapaliłem znowu fajkę i przemówiłem słodkim głosem:

– Betty. Pozwoliła mi pani mówić do siebie Betty. Powiedziała pani, że jest to sprawa życia i śmierci. Julian nie żyje, jest poza sprawą. Więc kto jeszcze, kto jeszcze?

Rozłożyła się w fotelu na wypłowiałym pokrowcu w duże leśne kwiaty i patrzyła na mnie jak na potencjalnego klienta, z nieuniknioną nienawiścią i wyrachowaniem.

– kto teraz umiera? – nalegałem. – Pani czy ja?

Rozluźniła ciało, a twarz jej zaczęła się okrywać maską wzruszenia. Spojrzałem na nią, przyznałem, że umiała przekonywać; i nie tylko Juliana. Za jej plecami rozciągał się jesienny, bezchmurny poranek, skromna radość dostępna mężczyznom. Kobieta, Betty, odwróciła głowę i złożyła usta w gorzki uśmiech.

– Kto? – zapytała wpatrzona w szafę w ścianie. – Pan i ja. Niech pan sobie wiele nie myśli, sprawa dopiero się rozkręca. Są weksle z pańskim podpisem, bez pokrycia, jak mówią, które ludzie znoszą teraz do sądu. I chcą wejść na hipotekę mego domu, jedyne, co mam. Julian zapewniał mnie, że to tylko oferta, ale dom, mój domek, jest obciążony. I trzeba natychmiast zapłacić. Jeśli chcemy uratować coś z katastrofy. I ocalić nas samych.

Fiołki na kapeluszu i spocona twarz świadczyły, że powinienem był się spodziewać, wcześniej lub później, w ten słoneczny poranek podobnych słów.

– Tak – odparłem – chyba ma pani rację, musimy się trzymać razem i wspólnie coś zrobić.

Od lat żadne kłamstwo, żadna komedia i złośliwość nie sprawiły mi tyle przyjemności. Ale znowu byłem młody i nie musiałem się tłumaczyć ze wszystkiego nawet przed samym sobą.

– Nie wiem – powiedziałem beztrosko – na ile znana jest pani moja wina, mój udział w śmierci Juliana. W każdym bądź razie mogę panią zapewnić, że nigdy nie doradzałem mu, żeby obciążał hipotekę domku. Ale opowiem o wszystkim po kolei. Przed trzema miesiącami spotkałem się z Julianem. Brat w restauracji na obiedzie ze swym starszym bratem. A byli to bracia, co widywali się nie częściej niż raz na rok. Myślę, że obchodzili urodziny któregoś z nich, jego, a może naszej nieboszczki matki. Nie pamiętam i nie jest to ważne. Każda data zdawała się go przygnębiać. Powiedziałem mu wtedy o tym interesie z wymianą waluty, ale nigdy nie mówiłem, żeby kradł pieniądze Spółdzielni.

Milczała przez chwilę pomagając sobie westchnieniem i wyciągnęła wysokie obcasy w stronę słonecznego kwadratu na dywanie. Odczekała, kiedy na nią spojrzę, i znowu się uśmiechnęła; przypomniały mi się jakieś urodziny Juliana lub matki. Była uosobieniem czułości i cierpliwości; chciała wyprowadzić mnie na prostą drogę.

– Bzdura – wymruczała z głową na ramieniu i uśmiechem politowania. – Przed trzema miesiącami? – parsknęła śmiechem i podniosła dłonie. – Bzdura, Julian okradał Spółdzielnię od pięciu lat. Albo czterech. Pamiętam. Mówiłeś mi, kochasiu, o kombinacji z dolarami, tak? Ja również nie wiem, czyje urodziny obchodziliście tamtego wieczoru. I nie chcę cię obrażać. Ale Julian wszystko mi opowiedział i myślałam, że pęknę ze śmiechu. Nawet nie miał kiedy myśleć o twoim planie z dolarami? czy był dobry, czy zły. On kradł i obstawiał konie, Raz szło mu lepiej, raz gorzej. Od pięciu lat, jeszcze zanim go poznałam.

– Pięć lat – powtórzyłem, gryząc fajkę. Wstałem i podszedłem do okna. Na trawie i piachu leżały jeszcze krople rosy. Rześkie powietrze jakby nie chciało mieć z nami, z nikim, nic wspólnego.

W którymś hotelowym pokoju, nade mną, spała spokojnie dziewczyna, rozrzuciła nogi i zaczęła się z wolna kręcić między natrętnym smutkiem snów i ciepłym prześcieradła. Wyobrażałem ją sobie i dalej pragnąłem, kochałem jej oddech, zapach, myśli o naszej przygodzie, o mnie, które towarzyszyły jej porannemu przebudzeniu się. Odwróciłem się ciężko od okna i patrzyłem bez odrazy i litości na to, co los posadził przede mną w fotelu sypialni. Poprawiała kłapy kostiumu, który nie był nawet chyba z szewiotu; uśmiechała się do siebie, oczekiwała mego powrotu, mego głosu. Poczułem się stary i słaby. Być może zapoznany pies szczęścia lizał mi kolana, dłonie; być może chodziło o coś innego, o to, że jestem stary i zmęczony. W każdym bądź razie musiałem odczekać chwilę, znowu schowałem fajkę i bawiłem się płomykiem zapalki, jej trzaskiem.

– Dla mnie – powiedziałem – wszystko jest jasne. Julian na pewno nie musiał wymachiwać rewolwerem, żeby obciążyła pani hipotekę domu. A ja nigdy nie podpisywałem żadnego weksla. Jeśli sfałszował podpis i mógł żyć z tym pięć lat – zdaje się, że powiedziała pani pięć lat – dosyć miał, dosyć mieliście z tego oboje. Patrzę na panią i myślę sobie, że nic mnie nie obchodzi, czy zabiorą ten dom, czy też wsadzą panią do mamra. Nigdy nie podpisywałem żadnego weksla za Juliana. Na nieszczęście dla pani, Betty – a imię nie wydaje mi się odpowiednie, czuję, że już do pani nie pasuje – nie znam niebezpieczeństw ani gróźb, które by teraz poskutkowały. W niczym nie możemy być współnikami; i smutna to sprawa. Myślę, że smutniejsza dla kobiet. Idę na taras zapalić i patrzeć, jak wstaje dzień. Będę bardzo wdzięczny, jeśli pani natychmiast stąd wyjdzie i nie wywoła skandalu, Betty.

Wyszedłem, na dwór i zacząłem cicho zlorzczyć, szukać wad we wspaniałym jesiennym poranku. Dobiegły mnie z daleka, zza moich pleców, grubiańskie przekleństwa. Usłyszałem prawie natychmiast trzask drzwi. Niebieski ford pojawił się koło osiedla.

Poczułem się mały i wszystko to wydało mi się niezasłużone, ożywione biedną, zagubioną wyobraźnią dziecka. Od najmłodszych lat obnosiłem swoje wady, zawsze miałem rację, byłem skory do rozmów i kłótni, nigdy do ustępstw lub milczenia. Natomiast Julian – i zacząłem, odczuwać do niego sympatię i nową, jakże odmienną formę litości – przez wiele lat zwodził nas wszystkich. Ten Julian, którego mogłem poznać dopiero po śmierci, szydził ze mnie łagodnie od chwili, gdy tylko zaczął wyznawać prawdę, podnosić w trumnie wasy i szeroko uśmiechać się. Być może śmiał się z nas wszystkich jeszcze teraz, w miesiąc po swej śmierci. Na nic się jednak nie zdało podsycać w sobie niechęć lub rozczarowanie.

Drażniło mnie przede wszystkim wspomnienie naszego ostatniego spotkania, łatwość, z jaką kłamał, niemożność zrozumienia, dlaczego mnie odwiedził, ryzykował po raz ostatni, żeby powiedzieć nieprawdę. Betty była dla mnie tylko obiektem żalu lub pogardy; wierzyłem właściwie w jej historię, byłem pewny, że życie jest zawsze brudne.

Niebieski ford wspinał się z jękiem na wzniesienie, za willą krytą czerwoną dachówką, wjechał na drogę, przejechał koło tarasu i zatrzymał się przed wejściem do hotelu. Zobaczyłem, że z samochodu wysiedli policjant w letnim, wypłowiałym mundurze, niezwykle wysoki i szczupły mężczyzna w garniturze w szerokie prążki i młody blondyn ubrany na szaro, bez kapelusza, który, jak zauważyłem, uśmiechał się po każdym zdaniu i dwoma długimi palcami podtrzymywał papierosa koło ust.

Dyrektor hotelu zszedł wolno po schodach i zbliżył się do nich, a zza jednej z kolumn wychylił się kelner, znajomy z ostatniej nocy, bez marynarki, ze lśniącą, ciemną głową. Rozmawiali spokojnie, prawie nie ruszając się z miejsca, a dyrektor wyciągał z wewnętrznej kieszeni marynarki chusteczkę, ocierał nią wargi i chował z powrotem, aby po paru sekundach znowu wyciągnąć ją szybkim ruchem i przyłożyć do ust. Wszedłem do pokoju, żeby upewnić się, czy kobieta już poszła, a kiedy znowu pokazałem się na tarasie, kiedy zdałem sobie sprawę z własnych ruchów, z tego, że pragnę żyć bez pośpiechu i wykonywać każdą czynność tak, jakbym pieścił dłońmi to, co niedawno obejmowały, zrozumiałem wówczas, że rano byłem szczęśliwy i że gdzieś czekają mnie może inne, podobne dni.

Zobaczyłem, że kelner patrzy w ziemię, a pozostali czterej mężczyźni podnoszą głowy i z roztargnioną ciekawością zwracają twarze w moją stronę. Młody blondyn cisnął daleko papierosa; rozchyliłem usta, aż złożyły się w uśmiech, skinieniem głowy pozdrowiłem dyrektora i natychmiast, nim zdążył odpowiedzieć mi – patrząc wciąż na balkon i ocierając usta chusteczką – i uklonić się, podniosłem rękę i powtórzyłem powitanie. Wróciłem do pokoju, żeby skończyć się ubierać.

Spędziłem chwilę w sali restauracyjnej, patrzyłem na gości jedzących śniadanie, a potem postanowiłem wypić kieliszek ginu, tylko jeden, przy bufecie, kupiłem papierosa i zszedłem do grupki mężczyzn przy schodach. Dyrektor odwrócił się, żeby mnie pozdrowić, i zauważyłem, że szczęka drży mu nerwowo. Powiedziałem kilka słów i usłyszałem, jak rozmawiali między sobą: młody blondyn podszedł do mnie i dotknął mego ramienia. Wszyscy milczeli, a blondyn i ja patrzyliśmy na siebie uśmiechnięci. Poczęstowałem go papierosem, zapalił nie odrywając oczu od mej twarzy, potem cofnął się o trzy kroki i dalej się mi przyglądał. Być może nigdy nie widział twarzy szczęśliwego mężczyzny; ze mną działo się to samo. Odwrócił się do mnie plecami, ruszył w kierunku najbliższego drzewa w ogrodzie i oparł się o nie ramieniem. Wszystko to miało jakiś sens, a ja, nie rozumiejąc jeszcze, wiedziałem, że się zgadzam i przytaknąłem skinieniem głowy. Wtedy wysoki mężczyzna zapytał:

– Jedziemy na plażę samochodem?

Wysunąłem się do przodu, zająłem miejsce koło szofera. Blondyn i wysoki mężczyzna usiedli w tyle. Policjant usadowił się bez pośpiechu za kierownicą i włączył silnik. Ruszyliśmy szybko w porannej ciszy, czułem zapach papierosa, który palił blondyn, czułem ciszę i spokój drugiego mężczyzny, wolę wypełniającą tę ciszę i spokój. Na plaży samochód zatrzymał się przy kopcu szarych kamieni, za którymi ciągnęły się piachy, Szedłem koło blondyna.

Przystanęliśmy nad brzegiem. Staliśmy w milczeniu, z krawatami potrząsanymi wiatrem. Znowu sięgnęliśmy po papierosa.

– Pogoda nie jest zbyt pewna – powiedziałem.

– Idziemy? – odparł młody blondyn. Wysoki mężczyzna w garniturze w prążki wyciągnął rękę, aż dotknął piersi młodego i powiedział grubym głosem:

– Niech pan spojrzy. Stąd w stronę wydm. Dwieście metrów. Ni mniej, ni więcej.

Tamten przytaknął w milczeniu, wzruszył ramionami, jak gdyby fakt ten nie miał znaczenia. Uśmiechnął się znowu i spojrzął na mnie.

– Idziemy – powiedziałem i ruszyłem w stronę samochodu. Kiedy chciałem wejść, wysoki mężczyzna powstrzymał mnie.

– Nie – rzekł. – To tam, na przełaj.

Przed nami stał barak z cegły z wilgotnymi plamami na ścianach. Miał dach z cynkowanej blachy, a nad wejściem wymalowane ciemne litery. Czekaliśmy, aż przyjdzie policjant z kluczem. Odwróciłem się, aby rzucić okiem na plażę w przedpołudniowym słońcu, policjant zdjął kłódkę i weszliśmy wszyscy w mrok i niespodziewany chłód. Belki lśniły czernią, lekko pociągnięte smołą, z dachu zwisały strzepy grubego płótna. Kiedy tak szliśmy w szarym półmroku, doznałem uczucia, że barak rośnie, staje się coraz większy, że z każdym krokiem oddalam się od długiego stołu umieszczonego na kozłach pośrodku. Spojrzałem na obły kształt zastanawiając się, kto uczy umarłych, jak mają zachowywać się po śmierci. Na podłodze spostrzegłem wąską kałużę, a z jednego rogu stołu kapąła woda. Jakiś bosy człowiek w koszuli rozpiętej na rudej piersi, zbliżył się pokaszując i oparł rękę o jeden róg stołu z desek, tak że jego krótki kciuk załśnił wkrótce wodą, która nie zdążyła spłynąć na ziemię. Wysoki mężczyzna podniósł ramię i jednym pociągnięciem płótna odsłonił twarz na deskach. Spojrzałem do góry, na pasiastą rękę mężczyzny, ze skrajem żaglowego płótna, wyciągniętą w w świetle otwartych drzwi. Znowu spojrzałem na blondyna bez kapelusza i zrobiłem smutną minę.

– Niech pan spojrzy tutaj – powiedział wysoki mężczyzna.

Zobaczyłem, że twarz dziewczyny skrzyta jest do tyłu, i zdawało się, że fioletowa głowa, z fioletowo-czerwonymi plamami na delikatnym błękitnym fiolecie, oderwie się i potoczy lada moment przy głośniejszej rozmowie, tupnięciu butami o podłogę lub po prostu z upływem czasu.

W głębi ktoś niewidoczny zaczął recytować głosem zachrypłym i pospolitym, jak gdyby rozmawiał ze mną. Z kim jeszcze?

– Palce dłoni i stóp, których naskórek jest lekko zbieleły i pomarszczony, wykazują poza tym zanieczyszczenie paznokci niewielką ilością piachu i mułu. Brak ran i zadrapań na dłoniach. Na ramionach, a zwłaszcza na ich wewnętrznej stronie, nad przegubami, znajdują się liczne powierzchniowe sińce, biegnące poprzecznie i będące wynikiem gwałtownego nacisku na górne członki ciała.

Nie wiedziałem, kto to, a nie chciałem pytać. Moją jedyną obroną, wciąż to sobie powtarzałem, było milczenie; za nas. Zbliżyłem się do stołu i dotknąłem jej twardego czoła. Być może pięciu mężczyzn spodziewało się czegoś więcej; a ja byłem gotów na wszystko. Zwierzę ukryte w głębi baraku wyliczało prostackim głosem:

– Twarz poplamiona jest cieczą błękitną i krwistą, która wypłynęła przez usta i nos. Po dokładnym wyczyszczeniu twarzy wokół ust odkryliśmy liczne ślady zadrapań i sińce, jak gdyby paznokcie wpijały się w ciało. Dwa analogiczne ślady znaleziono pod prawym okiem, którego dolna powieka jest silnie uszkodzona. Oprócz śladów przemocy, której ofiarą padła najwyraźniej za życia, zwrócić należy uwagę na liczne drobne zadrapania wysuszonego naskórka na jej twarzy. Obecność zakrzepłej krwi w krtani. Na powierzchni tkanki skórnej zaczątek procesu gnilnego oraz ślady po uszkodzeniach i sińcach. Wnętrze tchawicy i oskrzeli zawiera niewielką ilość mętnej, ciemnej cieczy, nie pianistej, zmieszanej z piaskiem.

To była dobra odpowiedź, wszystko stracone. Pochyliłem się, żeby ją pocałować w czoło, a potem, z litości i miłości, w czerwonawy płyn, który z bąbelkami powietrza pojawił się między wargami.

Ale głowa z twardymi włosami, splecionym nosem, sinymi, sierpowato wydłużonymi ustami o opadłych, zwiędłych i wilgotnych kącikach, leżała w, tym mrocznym i wilgotnym powietrzu w bezruchu i nie zmieniała swych kształtów. Stawała się tylko coraz sztywniej sza po każdym muśnięciu spojrzeniem jej policzków, czoła i podbródka, który jeszcze nie opadł. Zaczęli mówić do mnie jeden przez drugiego, wysoki mężczyzna i blondyn, na przemian, niczym w zabawie, rzucać to samo pytanie. Potem wysoki mężczyzna puścił płachtę, podskoczył i potrząsnął mną za kłapy. Ale nie wierzył w to, co robi, wystarczyło spojrzeć w jego okrągłe oczy; a kiedy uśmiechnąłem się z trudem, pokazał mi szybko, nienawistnie, zęby i opuścił dłonie.

– Rozumiem, domyślał się, że ma pan córkę. Nie martwcie się, podpiszę, co chcecie, bez czytania. Najśmieszniejsze jest to, że jesteście w błędzie. Ale i to nie ma znaczenia. Nic, nawet to, nie ma naprawdę znaczenia.

Przed wyjściem na słoneczną spiekotę zatrzymałem się i zapytałem stosownym głosem wysokiego mężczyznę:

– Będę wścibski i proszę mi wybaczyć. Czy pan wierzy w Boga?

– Odpowiem panu – rzekł olbrzym – ale najpierw, jeśli można, bo do protokołu nie jest to potrzebne, jest to jak w pana przypadku zwykła ciekawość... Czy wiedział pan, że dziewczyna była głucha?

Zatrzymałem się dokładnie na granicy rześkiego cienia baraku i letniej bez mała spiekoty.

– Głucha? – zapytałem. – Nie, byłem z nią tylko tej nocy. Nigdy nie sprawiała wrażenia głuchej. Ale nie o to chodzi. Zadałem panu pytanie, obiecał mi pan na nie odpowiedzieć.

Olbrzym rozciągnął usta w grymas, który nie sposób było nazwać uśmiechem. Spojrzał na mnie znowu bez cienia pogardy, ze smutnym zdumieniem, i przeżegnał się.

przełożył Rajmund Kalicki

DWA OPOWIADANIA

JACOB I TEN DRUGI

1. OPOWIEŚĆ LEKARZA

Pół miasta zebrało się chyba wczoraj wieczorem w kinie Apollo, widziało wszystko i uczestniczyło w hałaśliwym zakończeniu całej tej sprawy. Ja nudziłem się przy pokerowym stoliku w klubie i interweniowałem dopiero, kiedy portier obwieścił, że pilnie wzywają mnie do szpitala. Klub ma tylko jedną linię telefoniczną, ale gdy wychodziłem z kabiny, wszyscy znali już wiadomość lepiej ode mnie. Wróciłem do stolika, żeby wymienić żetony i zwrócić przegraną.

Burmestein nie poruszył się; poślinił mocniej cygaro i powiedział swoim grubym, monotonnym głosem:

– Na pana miejscu zostałbym, żeby nie przerywać dobrej passy. Świadcstwo zgonu może pan wystawić i tutaj.

– Chyba jeszcze nie – odpowiedziałem z udawanym śmiechem. Spojrzałem na swoje dłonie układające żetony i banknoty; były spokojne, odrobinę zmęczone. Poprzedniej nocy spałem tylko parę godzin, ale był to już prawie zwyczaj; wypilem dwa koniaki tego wieczoru i wodę mineralną zamiast kolacji.

Ludzie ze szpitala znali na pamięć mój wóz i wszystkie jego niedomagania. Czekałem więc na karetkę przed wejściem do klubu. Zająłem miejsce koło Hiszpana i usłyszałem od niego tylko słowa powitania, czekał w milczeniu, przez szacunek lub w nadziei, że pierwszy zacznę rozmowę. Zapaliłem i milczałem, aż skręciliśmy w Tabarez, a karetka, mknąc po szosie, pogrążała się w wiosenną noc, bladą i wietrzną, chłodną i ciepłą, z postrzępionymi chmurami, które ocierały się o młyn i wysokie drzewa.

– Herminio – zapytałem – jaka diagnoza?

Spostrzegłem ożywienie, które Hiszpan stara się ukryć, wyobraziłem sobie westchnienie, z jakim celebryta powrót do powszedniości, do starych, uswięconych nawyków. Zaczął mówić swoim najuległym i najpodstępniejszym tonem: zrozumiałem, że przypadek jest ciężki lub wręcz przegrany.

– Ledwo go widziałem, panie doktorze. Zabrałem karetką z sali, zawiozłem do szpitala dziewięćdziesiątką albo i setką, bo mały Fernandez wciąż popędział, a zresztą taki jest mój obowiązek. Pomogłem go wynieść i natychmiast kazano mi jechać po pana do klubu.

– Fernandez, dobrze. Ale kto ma dyżur?

– Doktor Rius, panie doktorze.

– Czemu Rius nie operuje? – zapytałem głośno.

– No – zaczął Herminio i zamilkł w momencie wymijania koleiny pełnej lśniącej wody. – Powinien był zacząć operować natychmiast, tak myślę. Ale skoro ma pana pod bokiem...

– Przywiózł go pan i pomógł zanieść. To wystarczy. Więc jaka diagnoza?

– Jaki tam ze mnie medyk... – uśmiechnął się Hiszpan z lubością. Zobaczyliśmy światła szpitala, biel ścian oświetlonych księżycową poświatą. – Nie ruszał się i nawet nie kwękał, zaczął puchnąć jak balon, żebra miał w płucach, piszczele na wierzchu, wstrząs mózgu prawie pewny. Bo spadł plecami na dwa krzesła i, przepraszam najmocniej, problem w tym, czy ma cały kręgosłup. Jest złamanie czy nie.

– Umrze? Nigdy się pan nie pomylił, Herminio.

Mylił się wielokrotnie, ale zawsze znajdował usprawiedliwienie.

– Tym razem wolę milczeć – pokiwał głową i zaczął hamować.

Przebrałem się i myłem właśnie ręce, kiedy wszedł Rius.

– Jeśli chce pan zaczynać – powiedział – za dwie minuty wszystko będzie gotowe. Prawie nic nie robiłem, bo nie ma już nic do zrobienia. Co najwyżej morfina, żebyśmy się przestali męczyć, on i my.

– Aż tak?

– We wstrząsie, ciężka zapaść, bledność, tętno nitkowate, oddech powierzchniowy, sinica. Prawe płuco nie unosi się. Niedodma. Tarcie odłamek w płucach i zniekształcenie w okolicy prawego, szóstego żebra. Wzmoczenie szmeru oddechowego u podstawy i w szczycie płuca prawego. Koma coraz głębsza i nasilają się symptomy ostrej anemii. Możliwość uszkodzenia tętnicy międzyżebrowej. Wystarczy? Ja zostawiłbym go w spokoju.

Uciekłem się wtedy do wytartej formułki świadczącej o połowicznym bohaterstwie, do legendy, która uparcie mi towarzyszy i którą być może będą wiązać z moim nazwiskiem jeszcze w parę lat po mojej śmierci. Tej nocy nie miałem jednak dwudziestu pięciu ani trzydziestu lat, byłem stary i zmęczony, a dla Riusa zdanie tylekroć powtarzane zabrzmiało już tylko jak stary żart. Powiedziałem je z nostalgią za utraconą wiarą i zacząłem naciągać rękawiczki. Powtórzyłem raz jeszcze i wsłuchiwałem się w nie jak dziecko, które wymawia magiczną i niedorzeczną formułę, jaka pozwala mu zacząć grę albo ciągnąć ją dalej.

– U mnie chorzy umierają tylko na stole. Rius zaśmiał się, jak zawsze, ścisnął mi ramię i wyszedł. Ale prawie natychmiast, kiedy chciałem sprawdzić, z którego kranu woda kapie wciąż do umywalki, zajrzał i powiedział:

– Kolego, brak jeszcze czegoś do pełnego obrazu. Nie mówiłem panu o kobiecie, nie wiem, kto to, która kopała albo próbowała kopać na sali tego prawie trupa i podbiegła, żeby opluć ciało, kiedy Hiszpan i Fernandez ładowali je do karetki. Kręciła się tutaj, więc kazałem ją wyrzucić, ale przysięgała, że wróci rano i że ma prawo zobaczyć nieboszczyka i napluć mu, bez pośpiechu, w twarz.

Pracowałem z Riusem do piątej rano i zamówiłem potem litr kawy, żeby łatwiej było czekać. O siódmej zjawił się w gabinecie Fernandez ze swym nieufnym spojrzeniem, które Pan Bóg każe mu obnosić przed wielkimi wydarzeniami. Szczupła i dziecinna twarz ze zmrużonymi oczyma pochyla się wtedy lekko i czujnymi ustami zda się mówić: „Ktoś tutaj chce mnie nabrać, życie jest tylko jednym wielkim spiskiem, żeby mnie wystawić do wiatru”.

Podszedł do stołu i zatrzymał się, blady, skryty, milczący. Rius przestał fantazjować o przeszczepach, nie podniósł oczu i gniótł w dłoni ostatnią kanapkę z talerza; potem wytarł usta skrawkiem papieru i rzucił pytanie w stronę metalowego kałamarza z orłem i dwoma suchymi zbiorniczkami.

– Już?

Fernandez westchnął, tak żeby go było słychać, i położył rękę na stole, poruszyliśmy głowami i patrzyli na jego zmieszanie i podejrzliwość, szczupłość i zmęczenie. Wyglądniały i odurzony snem chłopiec wyprostował się i dalej pozostał wierny manii zmieniania ustalonego porządku rzeczy, świata, w którym możemy się jakoś jeszcze porozumieć.

– Kobieta jest na korytarzu, na ławce, z termosem i *mate*. Zapomnieli i udało się jej wcisnąć. Mówi, że może poczekać, że musi go zobaczyć. Tego.

– Tak, braciszku – wycedził wolno Rius; w jego głosie odkryłem rozdrażnienie, częste po wyczerpującej nocy, umiejętnie stopniowane zdenerwowanie. – Czy przyniosła chociaż kwiaty? Skończyła się już zima i w każdym rowie w Santa Maríi jest pełno zielska. Miałbym ochotę spruć ją po pysku i już proszę szefa o zgodę na obchód korytarzy. Ale póki co, ta klacz mogłaby dopaść nieboszczyka i rzucić mu jakiś kwiatek, a potem dopiero opluć go i znowu rzucić kwiatkiem.

Szefem byłem ja, więc zapytałem:

– O co chodzi?

Fernandez pogładził spiesznie ręką po wychudłej twarzy, upewnił się bez trudu, że wszystkie kości są na miejscu, i spojrzał na mnie tak, jak gdybym to ja winien był wszystkich szalbierstw i oszustw, jakie zaskakiwały go z tajemniczą regularnością. Bez cienia niechęci i gwałtowności zlekceważył Riusa, wbił błagalne spojrzenie w moją twarz i powiedział:

– Puls i oddech wyraźniejszy, sinica ustępuje. Chwilami odzyskuje przytomność.

Było to więcej, niż spodziewałem się usłyszeć o siódmej rano. Ale nie było jeszcze podstaw do pewności, ograniczyłem się więc do podziękowania ruchem głowy i spojrzałem, ja z kolei, na brązowego orła na kałamarnu.

– Przed chwilą przyszedł Dimas – powiedział Fernandez. – Już mu wszystko przekazałem. Mogę iść?

– Tak, jasne – Rius wyciągnął się w fotelu i patrząc na mnie zaczął się uśmiechać; być może nigdy nie widział mnie równie starego, być może nigdy nie lubił mnie tak, jak tamtego wiosennego ranka, być może badał, kim jestem i dlaczego mnie lubi.

– Nie, kolego – powiedział, kiedy zostaliśmy sami. – Ze mną każda komedia, prócz komedii skromności i obojętności, usprawiedliwianej powściągliwym „raz jeszcze spełniłem tylko swój obowiązek”. Pan to zrobił, szefie. Jeśli tego zwierzęcia diabli dotychczas nie wzięli, to już i nie wezmą. Jeśli w klubie radzono panu ograniczyć się do wystawienia świadectwa zgonu – co bym zrobił, oczywiście, z dużą dawką morfiny, gdyby pana z jakichś powodów nie było w Santa Marí – ja radzę wystawić facetowi świadectwo nieśmiertelności. Z czystym sumieniem i podpisem poręczonym przez doktora Riusa. Niech pan to robi, szefie. I weźmie z laboratorium jakiś koktajl nasenny, i położy się na dwadzieścia cztery godziny. Ja zajmę się sędzią i policją, zobowiązuję się również zaopiekować się tą plującą babą, która w korytarzu siorbie *mate*.

Podniósł się i klepnął mnie łagodnie, raz tylko, zatrzymując jakby w powietrzu ciężar i ciepło dłoni.

– Dobrze – odpowiedziałem. – Pan zadecyduje, kiedy będzie mnie trzeba obudzić.

Kiedy zdejmowałem fartuch, powoli i z godnością, która nie była wyłącznie wynikiem zmęczenia, zgodziłem się z myślą, że powodzenie tej operacji i innych miało dla mnie to samo znaczenie, co spełnienie starego, niewykonalnego pragnienia: naprawić własnymi rękoma, raz na zawsze, silnik mego starego auta. Ale nie mogłem powiedzieć tego Riutowi, bo zrozumiałby bez trudu i z entuzjazmem; nie mogłem również powiedzieć Fernandezowi, bo, na szczęście, nie uwierzyłby mi.

Więc milczałem i słuchałem obojętnie w drodze powrotnej, w karetce, głupich słów zachwytu Hiszpana Herminia i godziłem się własnym milczeniem, w obliczu historii, że zmartwychwstanie, jakie dokonało się w Szpitalu Santa María, nie mogłoby nastąpić nawet za sprawą stołecznych lekarzy.

Zdecydowałem, że mój samochód może jeszcze raz przenocować przed klubem i kazałem się zawieźć do domu karetką. Ranek, wściekle blady, pachniał wiciokrzewami i z wolna zaczęła docierać woń rzeki.

– Rzucali kamieniami i grozili, że podpalą kino – powiedział Hiszpan, kiedy wjechaliśmy na plac. – Ale zjawiła się policja i skończyło się tylko na kamieniach, jak już panu mówiłem.

Kiedy brałem tabletki, zrozumiałem nagle, że nigdy nie poznam pełnej prawdy o tej historii; przy odrobinie szczęścia i cierpliwości dowiem się, być może, połowy tego, co dotyczyło nas, mieszkańców miasta. Ale należało przyjąć to z rezygnacją, pogodzić się z niepoznawalnością tej części historii, która wiąże się z dwoma cudzoziemcami i którą zabrali ze sobą, ha zawsze, każdy w sposób odmienny, nieznany.

I w tej samej chwili, ze szklanką wody w dłoni, przypominałem sobie, że wszystko to zaczęło się prawie przed tygodniem, w mglistą i upalną niedzielę, kiedy przyglądałem się z okna hotelowej restauracji ludziom spacerującym po placu.

Żywy, sympatyczny mężczyzna i wychudły olbrzym przecięli ukośnie plac i żółtawe promienie pierwszych dni wiosny. Niższy dźwigał wieniec z kwiatów, niewielki wianuszek przysłany przez dalekiego krewnego na czyjś skromny pogrzeb. Szli obojętni wobec ciekawości, jaką budziła powolna, dwumetrowa bestia, krocząca bez pośpiechu, lecz zdecydowanie; ruchliwy mężczyzna maszerował z niezaprzeczalnym dostojęstwem, z lekkim dyplomatycznym uśmiechem, jakby eskortowany przez żołnierzy w pełnej gali, jakby oczekiwała go gdzieś udekorowana flagami trybuna, pełna poważnych mężczyzn i leciwych kobiet. Dowiedzieliśmy się, że wśród śmiechów dzieciarni i paru rzuconych kamieni złożyli wieniec u stóp pomnika Brausena.

Odtąd ślady zaczynają się gmatwać. Niższy, ambasador, poszedł do Berneńskiego, żeby wynająć pokój, wypić apéritif i beznamiętnie targować się o cenę, uchylając raz po raz kapelusza, rozdzielając ukłony i tanie zaproszenia. Był średniego wzrostu, miał czterdzieści, czterdzieści pięć lat, szeroką klatkę piersiową, urodził się z darem przekonywania, stwarzania wokół siebie ciepłej i miłej atmosfery, w której kwitnie przyjaźń i jest miejsce na nadzieję.

Urodził się nadto pod szczęśliwą gwiazdą, i przynajmniej z upartą wiarą w jej istnienie, na przekór burzom i nawałnicom, na przekór życiu i jego pułapkom. Urodził się jednak, co najważniejsze, po to, aby wszystkim, komu tylko można, rozdawać szczęśliwe losy. Z wrodzoną i nieodpartą przebiegłością, nie lekceważąc nigdy osobistych celów, nie troszcząc się zbyt o przyszłe, niemożliwe do przewidzenia losy innych.

W południe był w redakcji „El Liberala”, a po południu wrócił na rozmowę do działu sportowego i załatwił bezpłatne ogłoszenie. Otwierał album pełen fotografii i pożółkłych gazetowych wycinków z dużymi tytułami w dziwnych językach, wyciągał dyplomy i dokumenty poklejone na zgięciach pasemkami papieru. Wszystkie te zestarzałe wspomnienia, minione lata, melancholię i niepowodzenia obdarzał wciąż rozpromienionym uśmiechem, własną, niestrudzoną i bezkompromisową miłością.

– Jest w lepszej formie niż kiedykolwiek. Może parę kilo nadwagi. Ale właśnie dlatego wybraliśmy objazd po Ameryce Południowej. W przyszłym roku w Palais de Glace znowu wywalczy mistrzowski tytuł. Nie pokona go żaden Europejczyk ani Amerykanin. I jakże moglibyśmy pominąć Santa Marię w tych zmaganiach przed mistrzostwami świata? Santa María! Jakie wybrzeże, jaka plaża, jakie powietrze, jaka kultura!

Mówił z włoskim akcentem, choć niecałkowicie, samogłoski i głoska „s” niosły jakiś nieuchwytny dźwięk, świadectwo przyjacielskich więzów ze złożonym bezmiarem świata. Przebiegł redakcję, zabawił przy linotypach, wyściskał drukarzy, udał zdziwienie przy maszynie rotacyjnej. Następnego dnia miał już pierwszy, powściągliwy, ale bezpłatny tytuł: „*Były mistrz świata walczy w Santa Marí*”. Przychodził do redakcji każdego wieczoru przez cały tydzień, a miejsce, jakie poświęcano w gazecie osobie Jacoba van Oppena, rosło z dnia na dzień aż do sobotniego spotkania.

W niedzielne południe, kiedy to widziałem, jak z tanim wieńcem maszerowali przez plac, zmizerowany olbrzym spędził pół godziny w kościele, na klęczkach przed nowym ołtarzem Niepokalanej. Mówią, że się wyspowiadał, przysięgają, że widziano, jak bił się w pierś, przypuszczają, że na jego olbrzymią i dziecinną twarz, mokrą od łez, padło potem złote światło głównego ołtarza.

2. OPOWIEŚĆ NARRATORA

Wizytówki głośiły *Komandor Orsini*, a rozmowny i niespokojny mężczyzna rozdawał je szczerze całemu miastu. Zachowało się ich trochę, niektóre z autografem i dedykacjami.

Pierwszej – i ostatniej zarazem – niedzieli Orsini wynajął salę kina Apollo na spotkania treningowe; w poniedziałek i wtorek bilety kosztowały jednego pesa, pół we środę i dwa pesy we czwartek i piątek, kiedy załatwiono ostatecznie formalności starcia, a ciekawość i patriotyzm mieszkańców Santa Marii kazały im zapełnić salę kina Apollo. Tamtej niedzieli, na nowym placu, rozklejono również, za odpowiednią zgodą władz miejskich, plakaty z wyzwaniem. Na jakimś starym zdjęciu były mistrz świata wszechwag pokazywał bicepsy i złoty pas; napastliwe, czerwone litery precyzowały warunki wyzwania: 500 PESOS, 500 temu, kto wejdzie na ring i przez trzy minuty nie da się powalić na deski przez Jacoba von Oppena.

Linijkę niżej puszczano w niepamięć wyzwanie i obiecywano pokaz zapasów między mistrzem – zostanie nim znowu przed upływem roku – a najlepszymi atletami Santa Marii.

Orsini i olbrzym pojawili się na południowoamerykańskim kontynencie najpierw w Kolumbii, a potem krążyli po Peru, Ekwadorze i Boliwii. W niewielu miejscowościach wyzwanie było podejmowane i zawsze von Oppen kończył walkę w czasie mierzonym sekundami, pierwszym chwytem.

Plakaty przywodziły na myśl wrzawę i upalne noce, sale kinowe i namioty, indiańską, pijaną publiczność, podziw i śmiech. Sędzia podnosił ramię, van Oppen znowu smutniał, myślał pożądliwie o butelce z alkoholem czekającej w hotelowym pokoju, zaś Orsini kroczył z uśmiechem, w bladym świetle ringu i wycierał z czoła chusteczką jeszcze bledszy pot.

– Panie i panowie... – Była to pora stosowna na podziękowanie, na słowa o nieprzemijających wspomnieniach, okrzyki na cześć kraju i miasta. Całymi miesiącami te pospolite wspomnienia składały się na ich obraz Ameryki; kiedyś, którejs nocy, gdy znajdą się daleko, przed upływem roku, przypomną sobie o niej i rozpoznają bez trudu, tylko dzięki tym trzem lub czterem chwilom, powtarzającym się niezmiennie.

We wtorek lub środę, po zakończeniu treningu przy prawie pustej sali, Orsini zawiózł mistrza samochodem do hotelu. Podróż przemieniła się znowu w codzienną harówkę, a obliczenia sum, jakie mieli zarobić, niewiele różniły się już od tej, którą ściągali. Orsini uważał, że dla obopólnego dobra dalej powinien otaczać olbrzyma opieką. Van Oppen usiadł na łóżku i pociągnął łyk z butelki, Orsini odebrał mu ją łagodnie i przyniósł z łazienki plastikową szklanki, której używał rano do mycia zębów. Przyjacielsko powtórzył starą maksymę:

– Bez dyscypliny nie ma morale. – Mówił po francusku tak jak po hiszpańsku, jego akcent nigdy nie był całkowicie włoski. – Jest butelka i nikt nie ma zamiaru ci jej odbierać. Ale kiedy się pije ze szklanki, to co innego. Jest dyscyplina i nie ma prostactwa.

Olbrzym podniósł głowę, żeby mu się przyjrzeć; niebieskie oczy były mętne i zdawało się, że patrzy półotwartymi ustami. „Znowu zadyszka, cierpi” – pomyślał Orsini. „Lepiej niech już się upije i prześpi do rana”. Napełnił szklankę rumem, wypił łyk i wyciągnął rękę w stronę van Oppena. Ale bestia pochyliła się, żeby zdjąć buty, a potem, posapując, drugi objaw, wstała i rozejrzała się po pokoju. Początkowo, z rękoma na biodrach, oglądała łóżka, niepotrzebny dywan, stół i sufit, potem sprawdziła ramieniem wytrzymałość drzwi do korytarza i łazienki, a także wytrzymałość ślepego okna.

„Zaczyna się – pomyślał Orsini – jak ostatnim razem w Guayaquil. Musi to być sprawa cykliczna, ale nie mogę uchwycić cyklu. Którejś nocy zadusi mnie, bez nienawiści, tylko dlatego, że nawinę mu się pod rękę. Choć wie, wie, że jestem jego jedynym przyjacielem”.

Bosonogi olbrzym wrócił ociężale na środek pokoju, z kpiącym i pogardliwym uśmiechem, z ramionami lekko pochylonymi do przodu. Orsini usiadł przy wątym stole i umoczył język w szklance z rumem.

– *Gott* – powiedział van Oppen i zaczął się łagodnie kołysać, jakby słuchał dalekiej i nieustannej muzyki; miał na sobie czarną, trykotową koszulkę, nazbyt obcisłą i dzinsy, które Orsini kupił mu w Quito. – Nie. Gdzie jestem? Co ja tu robię? – Kołysał się na swych olbrzymich stopach i wbił spojrzenie w jakiś punkt na ścianie, tuż nad głową Orsiniego.

– Czekać. Zawsze w hotelowym pokoju, wśród jakichś śmierdzących czarnuchów i zawsze czekać. Daj mi szklanke. Nie boję się; i to jest cholerne, nikt się nie zgłosi.

Orsini napełnił szklanke i podniósł się, żeby ją podać. Śledził jego twarz, histeryczny głos, dotknął drżących pleców. „Jeszcze nie – pomyślał – za chwilę”.

Olbrzym wypił szklanke słodkiego trunku i zakaszłał, nie pochylając głowy.

– Nikt – powiedział. – Footing, uniki, chwyty, Lewis. Za Lewisa, przynajmniej żył i był mężczyzną. Gimnastyka, to nie dla mężczyzny. Hotelowy pokój, hala, brudni Indianie. Nie na tym świecie, Orsini.

Orsini raz jeszcze coś wykalkulował i wstał z butelką rumu. Napełnił szklanke, którą van Oppen opierał o brzuch i przeciągnął dłonią po policzku i ramieniu olbrzyma.

– Nikt – powiedział van Oppen. – Nikt – wrzasnął. Miał spojrzenie rozpaczliwe, potem wściekłe. Zaśmiał się ironicznie i porozumiewawczo i opróżnił szklanke.

„Teraz... – pomyślał Orsini. Położył rękę na butelce i zaczął uderzać go lekko biodrem w udo, żeby zaprowadzić do łóżka.

– Jeszcze parę miesięcy, parę tygodni – powiedział Orsini. – Nie więcej. Potem przyjdą wszyscy, będziemy ze wszystkimi. Pójdziemy tam.

Olbrzym rozwalony na łóżku pociągnął z butelki i dyszał potrzęsając głową. Orsini zapalił nocną lampkę i zgasił górne światło. Usiadł znowu przy stole, odchrząknął i łagodnie zaśpiewał:

Vor der Kaserne,
Vor dem großen Tor,
Stand eine Laterne
Und steht sie noch davor.
wenn wir uns einmal widersehen
Bei der Laterne woll'n wir steh'n,
Wie einst, Lili Marleen
Wie einst, Lili Marleen.

Powtórzył całą piosenkę raz jeszcze i raz do połowy, aż van Oppen odstawił butelkę na podłogę i zapłakał. Wtedy Orsini podniósł się z westchnieniem i łagodnym przekleństwem, i na palcach ruszył do drzwi wychodzących na korytarz. Jak w czasie swych najlepszych nocy zstępował po hotelowych schodach wycierając czoło nieskazitelnie czystą chusteczką.

Schodził z uprzejmym i czujnym, wyrazem twarzy, choć nie widział nikogo, komu mógłby uchylić kapelusza i przesłać uśmiech. Kobieta, która czekała od paru godzin, bez oznak zniecierpliwienia, pogrążona w skórzanym fotelu w hallu, niecierkawa czasopism na stoliku, paląc papierosa za papierosem, wyszła mu naprzeciw. Książę Orsini nie miał już możliwości odwrotu, zresztą nie zależało mu na tym. Usłyszał nazwisko, uchylił kapelusza i skłonił się szybko, żeby pocałować kobietę w rękę. Myślał, co też mógłby dla niej zrobić, i gotów był uczynić to, o co poprosi. Była drobna, niespieszona i młoda, bardzo śniada, z krótkim, haczykowanym nosem i jasnymi, zimnymi oczyma. „Żydówka albo coś w tym rodzaju” – pomyślał Orsini. – Niebrzydka. Książę usłyszał nagle zdania tak zwięzłe, że wydały się mu prawie niezrozumiałe, niesłychane.

– Ten plakat na placu, ogłoszenia w gazecie, Pięćset pesos. Mój narzeczony będzie walczył z mistrzem. Ale dziś lub jutro, jutro jest środa, musi pan zdeponować pieniądze w Banku lub redakcji „El Liberala”.

– Signorina – książę uśmiechnął się i poruszył ze smutnym grymasem na twarzy. – Walczyć z mistrzem? Zostanie pani hez narzeczonego. I byłoby przykro, gdyby laka śliczna panienska...

Ale ona, drobna i jeszcze bardziej zdecydowana, bez trudu stawiała czoła pięćdziesięcioletniej galanterii Orsiniego.

– Dziś wieczorem idę do redakcji, żeby podjąć wyzwanie. Widziałam mistrza na mszy. Jest stary. Potrzebujemy pięćset pesos na ślub. Mój narzeczony ma dwadzieścia lat, a ja dwadzieścia dwa. Jest właścicielem sklepu Porfilio. Niech go pan tam sobie obejrzy.

– Ależ, proszę pani – powiedział ksiązę z szerszym uśmiechem. – Pani narzeczony, szczęściarz, że tak powiem, ma dwadzieścia lat. Co robił dotychczas? Kupował i sprzedawał.

– Pracował także na wsi.

– O, wieś – wyszeptał zachwycony ksiązę. – Ale mistrz całe swoje życie poświęcił tylko temu, walce. Że jest o parę lat starszy od pani narzeczonego? Zgadzam się w zupełności, proszę pani.

– Ma co najmniej trzydzieści – powiedziała nie siląc się na uśmiech, ufna w chłód swego spojrzenia. – Widziałam go.

– Są to jednak lata, które poświęcił na naukę tego, jak łątać jednym ruchem żebra i ręce, niezauważalnie wrywać kość obojczykową lub wybić ze stawu nogę. Jeśli ma pani zdrowego, dwudziestoletniego narzeczonego...

– Pan rzucił wyzwanie. Pięćset pesos za trzy minuty. Dziś wieczorem idę do redakcji „El Liberala”, panie...

– Ksiązę Orsini – rzekł ksiązę. Kiwnęła głową puszczając żart mimo uszu; była mała, śliczna i skupiona, twarda jak żelazo.

– Cieszę się w imieniu mieszkańców Santa Marí – uśmiechnął się ksiązę kłaniając się znowu. – Będzie to wielkie, sportowe widowisko. Ale czy to pani pojedzie do redakcji w imieniu swego narzeczonego?

– Tak, dał mi upoważnienie. Proszę spojrzeć. Sklep Porfilio. Nazywają go Turek. Ale jest Syryjczykiem. Ma papiery.

Ksiązę zrozumiał, że nie byłoby stosowne jeszcze raz całować ją w rękę.

— Dobrze – zażartował – panna i wdowa. Od soboty. Smutny los, proszę pani.

Podawała mu dłoń i ruszyła do hotelowych drzwi. Była twarda jak kamień, okazała tyle tylko wdzięku, ile było niezbędne, żeby księżę odprowadził ją wzrokiem. Nagle zatrzymała się i zawróciła.

– Nie panna, bo za pięćset pesos pobierzemy się. I nie wdowa, bo ten mistrz jest stary. Jest wyższy od Maríá, ale nie da mu rady. Widziałam go.

– Zgoda. Widziała pani, jak wchodził do kościoła. Ale zapewniam panią, że kiedy kończą się zabawy, staje się dziką bestią; i mogę przysiąc, że zna swój fach. Mistrz świata wszechwag, proszę pani.

– Dobrze – odparła z nagłym znużeniem. – Już panu powiedziałam, sklep Porfilio. Dziś wieczorem idę do redakcji, a jutro znajdzie mnie pan, jak zawsze, w sklepie.

– Moje uszanowanie... – i pocałował ją w rękę.

Było oczywiste, że kobieta traktuje sprawę poważnie. Orsini ruszył więc do restauracji i zamówił gulasz, a potem porządkował rachunki, palił papierosa w cygarnicze ze złotym ustnikiem i doglądał snu, pochrapywania i przewracania się z boku na bok Jacoba van Oppena.

Kołysany ciszą na placu postanowił odpocząć od wszystkiego przez jedną dobę. Nie było wskazane przyspieszać wizyty u Turka. Pomyślał wreszcie, kiedy po zgaszeniu światła przysłuchiwał się chrapaniu olbrzyma: „Wystarczająco się już nacierpiał, Boże, ile to wycierpieliśmy już razem. Nie ma po co się spieszyć”.

Następnego dnia Orsini asystował przebudzeniu się mistrza, przyniósł mu aspirynę i ciepłą wodę do popicia, słuchał zadowolony przekleństw van Oppena pod prysznicem, cieszył się, kiedy wulgarne słowa przekształciły się z wolna w podwodną nieomal wersję „Miałem towarzysza...” Jak wszyscy mężczyźni postanowił kłamać, okłamywać samego siebie i nie tracić nadziei. Przygotował dla van Oppena poranne zajęcia, powolny spacer ulicami miasta, z olbrzymim torsem osłoniętym trykotową koszulką z dużą, niebieską literą C na piersiach, która we wszystkich chyba językach i możliwych alfabetach znaczyła: Champion, Mistrz Świata Wszechwag. Szedł z nim dłuższy czas, aż do uliczki, która skręcała w dół na bulwar. Tutaj, przed nielicznymi, porannymi gapiami powtórzył jedną ze scen starej farsy. Zatrzymał się, żeby zdjąć kapelusz i wytrzeć czoło, wyszczerzył zęby w zachwyconym uśmiechu dobrego pokerzysty i poklepał Jacoba van Oppena po plecach.

– Kawał chłopca – wymruczał jakby od niechcenia, a jego podniesiona głowa, opadnięte ramiona, usta spragnione powietrza powtórzyły na całą Santa Marię: kawał chłopca.

Van Oppen ruszył dalej w stronę bulwaru, stąpił bez pośpiechu, z ramionami wysuniętymi do przodu i opuszczoną szczęką; potem skręcił w kierunku fabryki konserw, kroczył obok zdziwionych rybaków, włóczęgów, robotników przy promie; był nazbyt wielki, żeby ktokolwiek odważył się z niego zakpić.

Drwiny, nigdy głośne, towarzyszyły natomiast przez cały dzień księciu Orsiniemu, jego elegancji, manierom i starannemu, trochę nie na miejscu, wykształceniu. Ale on założył, że będzie szczęśliwy, i słuchał tylko tego, co przyjemne i miłe. W redakcji, w kawiarni Berneńskiej i El Plaza odbył to, co potem we wspomnieniach nazywał zapewne konferencją prasową; pił i gawędził z ciekawskimi i próżniakami, opowiadał anegdoty i wierutne kłamstwa, pokazywał raz jeszcze wycinki z gazet, pozółkłych i kruchych. Kiedyś, nie ulegało wątpliwości, sprawy wyglądały inaczej: mistrz świata, młody, pełen życia, odbywał podróże, które nie były wygnaniem, i opędział się od propozycji. Świadczyły o tym fotografie i opinie w gazetach, choć niemodne i wyblakłe, bliskie spopielenia, to przecież niepodważalne. Orsini, trzeźwy nawet po czwartym lub piątym kieliszku, wierzył, że świadectwa przeszłości stanowią gwarancję przyszłości. Nie musiał w niczym zmieniać własnej osobowości, aby móc dalej żyć bez zmartwień w tym urojonym raju. Urodził się jako pięćdziesięcioletni mężczyzna, cyniczny, pobłażliwy, przyjacielsko nastawiony do życia, zwolennik tego, aby coś się działo. Cud wymagał jedynie, żeby zmieniał się van Oppen, żeby wróciły dawne lata, płaski brzuch, gładka skóra, czysta biel poranku.

Tak, narzeczona Turka – kobietka, z całym szacunkiem, sympatyczna i uparta – zgłosiła się do redakcji „El Liberala”, aby dopełnić formalności. Kierownik działu sportowego miał już zdjęcie Marii podczas ćwiczeń gimnastycznych, ale fotografie te kosztowały go długą mowę na temat wolności prasy, demokracji i swobody informacji. Oraz patriotyzmu; zwierzał się potem szef sportowego:

– Połamałby nam ten Turek kości, mnie i fotografowi, gdyby nie narzeczona, która uspokoiła go paroma słowami. Poszeptali coś na zapleczu, a potem wyszedł on, nie tak wielki chyba jak van Oppen, ale bardziej brutalny i niebezpieczny. Zresztą, pan zna się na tym lepiej.

– Znam się – uśmiechnął się książę. – Biedny chłopak. Nie on pierwszy. – Musnął smutnym spojrzeniem frytki i oliwki na stoliku w Berneńskiej.

– Turek był wściekły, ale hamował się, nałożył krótkie spodenki, jak na plażę, i zaczął się gimnastykować na podwórku, robił wszystko, co Humberto, fotograf, sobie zażyczył lub wymyślił, tylko z zemsty i chęci zrewanżowania się za własny strach. A ona przez cały czas siedziała na beczce, jakby była jego matką lub nauczycielką, paliła papierosa i przyglądała się mu bez słów. I pomyśleć, że mierzy mniej niż metr pięćdziesiąt i nie waży nawet czterdziestu kilo.

– Znam tę panienkę – przytaknął Orsini nostalgicznie. – I widziałem już tyle przykładów... Ba, osobowość to dziwna rzecz, nie zależy od bicepsów.

– Oczywiście, nie miałem zamiaru publikować zdjęć – powiedział szef sportowego – ale... czy zdeponuje pan tę sumę?

– Zdeponować? – książę bezradnie rozłożył dłonie. – Dziś wieczorem, jutro rano. Zależy od Banku. Jak pan sądzi, może jutro w redakcji? Byłaby to niezła reklama, i gratis. Wytrzymać trzy minuty z Jacobem van Oppenem... Ja zawsze powtarzam – odsłonił złote zęby i przywołał kelnera – sport to jedno, a interes to drugie. Cóż może człowiek poradzić, co możemy zrobić, że pod koniec tej treningowej tury wyskakuje nagle samobójca. I jeśli mu jeszcze na dodatek pomagają.

Życie było zawsze trudne i piękne, niezastąpione, ale rzecz w tym, że ksiązę nie miał pięciuset pesos. Poznał kobietę, znalazł nawet stosowny przymiotnik, żeby ją określić i wyrzucić z teraźniejszości: teraz rozmyślał o mężczyźnie, który się za kobietą ukrywał, o Turku, który podjął wyzwanie. Tak więc dał spokój narzekaniom i dotychczasowej beztroście i, po zapadnięciu zmroku, nakłamał coś mistrzowi, upewnił się, jaki jest stan jego ducha i ciała, i ruszył spieszenie do sklepu Porfilio z żółtym albumem pod pachą.

Zobaczył najpierw suche gałęzie *ombú*, potem latarnię wiszącą na drzewie i krąg skąpego światła. Zaraz potem dobiegło go ujadanie psów i uspokajające krzyki: won, cicho, do budy. Orsini przeciął pierwszy świetlisty stożek, ujrzał okrągły, blady księżyc, aż znalazł się pod szyldem sklepu i wszedł ostrożnie. Jakiś parobek w bufiastych spodniach i w butach na sznurkowej podeszwie dopił za ladą kieliszek jałowcówki i pożegnał się. Zostali sami, on, ksiązę Orsini, Turek i kobieta.

– Dobry wieczór pani – uśmiechnął się Orsini i uklonił. Kobieta siedziała na wiklinowym fotelu i robiła na drutach, podniosła oczy znad robótki, żeby się mu przyjrzeć, kiwnąwszy głową i być może uśmiechnąć się.

„Kaftanik – pomyślał Orsini oburzony – jest w ciąży, robi wyprawkę dla dziecka, dlatego chce wyjść za męża, dlatego chce mi ukraść pięćset pesos”.

Ruszył prosto do mężczyzny, który przestał przesypywać *yerba mate* do papierowych torebek i z głupią miną czekał za ladą.

– To ten, o którym ci mówiłam – powiedziała kobieta. – Impresario.

– Impresario i przyjaciel – poprawił Orsini. – Po tylu latach...

Uściskał otwartą i sztywną dłoń mężczyzny, wyciągnął rękę, żeby poklepać go po plecach.

– Do usług – powiedział sklepikarz, podniósł gęste, czarne wąsy i odsłonił zęby.

– Bardzo mi miło, bardzo miło. – Ale już czuł cierpką i zgniłą woń przegranej, oszacował niczym nie steraną młodość Turka, doskonale proporcje stukilogramowego ciała. „Nie ma ani grama zbędnego tłuszczu, ani krzty inteligencji lub wrażliwości; nie ma szans. Trzy minuty; biedny Jacob van Oppen”.

– Przyszedłem w sprawie tych pięciuset pesos – zaczął Orsini, badał gęstość powietrza, skąpość światła, wrogość tej pary. „Nie wobec mnie, wobec życia”. – Przyszedłem uspokoić was; jutro, gdy tylko otrzymam przekaz ze stolicy, złożę pieniądze w redakcji „El Liberala”. Ale chciałbym pomówić o innych sprawach.

– Czy nie mówiliśmy już o wszystkich? – zapytała kobieta. Była za mała jak na ten wiklinowy bujak, a połyskliwe druty, na których robiła, za długie. Mogła być dobra lub zła; wybrała teraz postawę nieubłaganą, chciała położyć kres mrocznej i długiej niepewności, wziąć odwet. W świetle lampy rysunek jej nosa był doskonały, a oczy błyszczały niczym kryształ.

– Z pewnością o wszystkim, proszę pani. Nie myślę powtarzać tego, co już było powiedziane. Ale uważam za swój obowiązek postawić sprawę jasno. Powiedzieć prawdę pani narzeczonemu. – Uśmiechnął się i skłonił głowę; czuł wrogość, głęboką, stłumioną. – Dlatego zamawiani kolejkę dla wszystkich. Ja stawiam, oczywiście; zamawiajcie to, na co macie ochotę.

– On nie pije – powiedziała kobieta bez pośpiechu, nie podnosząc oczu znad robótki, zionęła chłodem i ironią.

Włochata bestia za ladą skończyła paczkować *yerba mate* i wolno odwróciła się, żeby spojrzeć na kobietę. „Piersi goryla, czoło na dwa centymetry, oczy bez wyrazu” – zauważył Orsini. – „Nigdy chyba nie myślał, nie był w stanie cierpieć ani wyobrazić sobie, że dzień jutrzejszy może przynieść niespodziankę lub w ogóle nie nadejść”.

– Adriana – wybełkotał Turek i znieruchomiał, aż kobieta podniosła oczy – Adriana, przecież piję wermut.

Ona uśmiechnęła się do niego krótko i wzruszyła ramionami. Turek zaokrąglił usta i małymi łykami zaczął sączyć wermut. Książę, oparty o ladę, w swym ciepłym, zielonym kapeluszu nasuniętym na kark, dotykał dłonią okładek albumu i rozprawiał, szukając natchnienia i sympatii, o żniwach, deszczach i suszy, o uprawie roli i komunikacji, o podstarzałym pięknie Europy i młodości Ameryki. Improwizował, sypał szczerze przepowiedniami i nadziejami, a Turek w milczeniu potakiwał.

– Kino Apollo było pełne dziś wieczorem— książę zaatakował nagle; – gdy dowiedziano się, że podjął pan wyzwanie, wszyscy chcieli zobaczyć mistrza na treningu. Podniosłem cenę biletów, żeby się zbytnio nie naprzykrzali, ale ludzie dalej płacą. Teraz – zaczął rozpakowywać album – chciałbym, żeby pan to obejrzał. – Poglaskał skórzaną okładkę i podniósł ją. – Prawie wszystko w obcych językach. Ale zdjęcia pomagają. Niech pan zobaczy, można zrozumieć. Mistrz świata, złoty pas.

– Były mistrz świata – wyjaśniła kobieta ze skrzypiącego wiklinowego bujaka.

– O, proszę pani – powiedział Orsini nie odwracając się, wyłączenie do Turka, wertując jednocześnie stronicę z podniszczonymi wycinkami.

– Zostanie nim znowu przed upływem sześciu miesięcy. Niewłaściwy werdykt sędziego, już się tą sprawą zajęła Międzynarodowa Federacja... Niech pan rzuci okiem na te tytuły, osiem kolumn, pierwsze strony, na zdjęcia. To jest mistrz, proszę spojrzeć, nikt na świecie nie może się z nim równać. Nie ma nikogo, kto wytrzymałby z nim na ringu trzy minuty. Co ja mówię, jedna minuta, to już byłby cud. Nie poradzi z nim sobie ani mistrz Europy, ani mistrz Stanów Zjednoczonych. Rozmawiam z panem poważnie, jak mężczyzna z mężczyzną; przyszedłem, bo po rozmowie z panią zrozumiałem problem, wagę sytuacji.

– Adriana – poprawił Turek.

– Właśnie – odparł książę. – Zrozumiałem wszystko. Ale każda sytuacja ma rozwiązanie. Jeśli wejdzie pan w sobotę na ring w sali kina Apollo... Jacob van Oppen jest moim przyjacielem, ale przyjaźń ta ma jedno ograniczenie; znika, gdy tylko zabrzmi gong i rusza do walki. Wtedy przestaje być moim przyjacielem, przestaje być człowiekiem, jest mistrzem świata, musi wygrać i wie, jak tego dokonać.

Dziesiątki komiwojażerów zatrzymywało swe samochody przed sklepem Porfilio, żeby szczerzyć zęby do dawnych właścicieli lub do Maríi, wypić kieliszek, pokazywać próbki, katalogi i wykazy, oferować cukier, ryż, wina i kukurydzę. Ale książę Orsini trzymał się, wśród uśmiechów, przyjacielskich poklepywań i gestów współczucia, żeby sprzedać Turkowi towar dziwny i niełatwy: strach. Obecność kobiety kazała mu zachować czujność, wspomnienia i instynkt ostrzegały go, więc ograniczał się tylko do sprzedaży rozwagi, do prób zawarcia ugody.

Turkowi zostało jeszcze pół kieliszka wermutu, podniósł go, żeby zamoczyć swe drobne i różowe usta, nie pił.

– Chodzi o pięćset pesos – powiedziała Adriana z fotela. – Pora zamykać.

– Powiedział pan... – zaczął Turek i głos i myśli starały się coś pojąć, osiągnąć wzajemną równowagę, zerwać z trzema pokoleniami głupoty i zachłanności. – Adriana, muszę najpierw znieść na dół *yerba mate*. Powiedział pan, że jeśli w sobotę wejdę na scenę kina Apollo.

– Powiedziałem. Jeśli pan wejdzie, mistrz połamie panu zebra, zwali z nóg w pół minuty. I wtedy nie będzie pięciuset pesos; a na lekarza wyda pan może jeszcze więcej. A kto poprowadzi interes, kiedy pan będzie w szpitalu? Nie mówiąc o zaszarganej opinii i ośmieszeniu się. – Orsini uznał za stosowne przerwać na chwilę i zastanowić się. Zamówił jeszcze jedną jałowcówkę, rzucił baczne spojrzenie na nieczułą twarz Turka, jego obojętne ruchy, usłyszał chichot kobiety, która położyła robótkę na kolanach. Orsini wypił łyk jałowcówki i zaczął wolno kartkować sfatygowany album. Turek wachał wermut i starał się skupić.

– Nie chcę przez to powiedzieć – wymruczał księżę niskim i roztargnionym głosem, który zabrzmiał jak ostateczne świadectwo wzajemnego zrozumienia – że nie jest pan silniejszy od Jacoba van Oppena. Znam się na tych sprawach, poświęciłem życie i pieniądze na odkrywanie silnych ludzi. Poza tym, jak mi inteligentnie zwróciła uwagę panna Adriana, jest pan znacznie młodszy od mistrza. Więcej energii, młodości } gotów jestem wystawić takie oświadczenie i podpisać je. Jeśli mistrz – mówię tylko przykładowo – miałby prowadzić pański interes, po pół roku poszedłby z torbami. Pan natomiast w ciągu dwóch lat zostanie bogaczem. Bo pan, mój przyjacielu Mario, zna się na interesach, a mistrz nie.

Album był już zapakowany; położył go na ladzie i oparł się o nią, żeby dalej ciągnąć jałowcówkę i rozmowę.

– Mistrz zna się po prostu na tym, jak łamać kości, jak rzucać na kolana, złamać w pasie i cisnąć na matę. Tak się to mówi albo mówiło. Mata. Każdy dobry w swoim fachu.

Kobieta podniosła się i zgasiła w kącie światło; stała teraz z robótką między brzuchem a ladą, drobna i zawzięta, nie patrząc na mężczyznę.

Turek rzucił na nią czujne spojrzenie i chrząknął:

– Mówił pan, że jeśli nie wejdę w sobotę na scenę...

– Mówiłem? – zapytał Orsini ze zdziwieniem. – Myślę, że udzieliłem państwu rady. W każdym bądź razie, jeśli wycofa się pan z tego, możemy dojść do porozumienia, pomyśleć o jakiejś rekompensacie. Moglibyśmy pogadać.

– Ile? – zapytał Turek.

Kobieta podniosła rękę i wpiła paznokcie w owłosione ramię bestii; kiedy mężczyzna odwrócił głowę, żeby na nią spojrzeć, powiedziała:

– Chodzi o pięćset pesos, ni mniej, ni więcej, tak? Nie myślimy ich tracić. Jeśli nie pójdziesz w sobotę, cała Santa María dowie się, że stchórzyłeś. Ja to rozpowiem, dom po domu, wszystkim po kolei.

Mówiła beznamiętnie i choć wpijała paznokcie w ramię Turka, głos jej brzmiał cierpliwie i drwiąco, niczym matki, która rozmawia z synem, karci go lub mu grozi.

– Chwileczkę – rzekł Orsini; podniósł rękę, a drugą zbliżył kieliszek jałowcówki do ust i opróżnił go. – Także i o tym pomyślałem. O opiniach ludzi, miasta, kiedy nie pojawi się pan w sobotę w sali Apollo. Ale wszystko można załatwić. – Uśmiechał się do wrogich twarzy kobiety i mężczyzny, wzmógł czujność głosu.

– Przykładowo... Przypuśćmy, że wchodzi pan jednak na ring. Nie próbuje rozżłócić mistrza, bo byłoby to fatalne dla tego, co planujemy. Wchodzi pan na ring, przyjmuje pierwszy cios mistrza i pada, czysto, bez jednego draśnięcia.

Kobieta znowu wpiła paznokcie w potężne i owłosione ramię, Turek ze szczeknięciem oderwał je.

– Rozumiem – powiedział. – Wychodzę i przegrywam. Ile?

Orsini pojął nagle to, co podejrzewał od początku spotkania? że bez względu na rodzaj ugody z Turkiem ta chuda i uparta kobieta odwiedzie go od niej przez resztę nocy. Zrozumiał, bez cienia wątpliwości, że Jacob van Oppen będzie musiał walczyć w sobotę z Turkiem.

– Ile... – wymruczał i poprawił album pod pachą. – Możemy mówić o stu, stu pięćdziesięciu pesos. Wchodzi pan na ring...

Kobieta odeszła krok od lady i wbiła druty w wełniany kłębek. Spoglądała na glinianą i cementową posadzkę, a głos jej zabrzmiał spokojnie i sennie:

– Potrzebujemy pięciuset pesos i on wygra je w sobotę bez żadnych krętałów i układów. Nie ma silniejszego mężczyzny, nikt nie może go złamać. A najmniej ten dziad, nawet jeśli był kiedyś mistrzem. Zamykamy?

– Muszę znieść *yerba mate* – powiedział znowu Turek.

– Dobrze, a więc tak się sprawy mają – rzekł Orsini. – Płacę i zamawiam jeszcze ostatni kieliszek. – Położył na ladzie dziesięciopesowy banknot i zapalił papierosa. – Musimy to jakoś uczcić, zapraszam was także.

Ale kobieta zapaliła w kącie światło i usadowiła się w bujaku, aby dalej robić na drutach i palić papierosa, a Turek podał tylko jeden kieliszek jałowcówki. Ziewając, zaczął przenosić spiętrzone pod ścianą worki z *yerba mate* pod drzwiami piwnicy.

Nie wiedzieć czemu Orsini rzucił swoją wizytówkę na ladę. Spędził jeszcze dziesięć minut w sklepie, palił papierosa i wdychał chlebową woń jałowcówki, przyglądał się ze zdumieniem i zgrozą, spocony, z zamglonymi oczyma, systematycznej pracy Turka, który prznosił worki z taką łatwością, jak on, księżę Orsini, podnosił pudełko papierosów lub butelkę.

„Biedny Jacob van Oppen – myślał Orsini. – Starość to zajęcie dobre dla mnie. Ale on urodził się, żeby mieć zawsze dwadzieścia lat, a ma je teraz ten sukinsyn okręcony wokół małego palca tego kurdupła w ciąży. Ma je ta bestia, nikt mu ich nie odbierze, żeby przywrócić tamtemu; i będzie je miał również w sobotę na ringu”.

Z redakcji „El Liberala”, z budki na wprost działu sportowego, książkę zatelefonował do stolicy żądając pilnego przysłania tysiąca pesos. Użył połączenia bezpośredniego, żeby uniknąć wścibstwa telefonistki; kłamał głośno, obrzucając spojrzeniem personel redakcji; szczupłych i wąsatych młodzieńców i jakąś panienkę z papierosem w cygarnicze. Była siódma wieczorem; zachował się niemal po grubiańsku, kiedy mężczyzna przy dalekim telefonie, w pokoju, jakiego nie potrafił sobie wyobrazić, zaczął jąkać się i coś dukać niezadowolony, zamknięty w jakimś sześcianiku wielkiego miasta, w październikowym zmierzchu. Przerwał połączenie z uśmiechem pobłażliwości i znużenia.

– Nareszcie – powiedział wycierając nos bawełnianą chusteczką. – Jutro będą pieniądze. Nieprzewidziane komplikacje. W południe zdeponuję je w administracji. W administracji będzie chyba najpoważniej, prawda?... Aha, napoje. Jeśli ktoś ma ochotę na coś orzeźwiającego...

Podziękowano mu, parę maszyn przestało stukać, ale nikt nie przyjął zaproszenia. Szef działu sportowego pochylił nad biurkiem swoje grube okulary i wybierał fotografie.

Orsini, oparty o biurko i z papierosem w ustach, spoglądał na ludzi pochyłonych nad maszynami i zajętych własną pracą. Wiedział, że przestał dla nich istnieć, po prostu nie było go w redakcji. „I jutro też nie” – pomyślał z łagodnym smutkiem, uśmiechnięty i zrezygnowany. Bo wszystko odwlekało się do piątkowej nocy, a ta z wolna poczęła rosnać, po zmierzchu czerwonym i słodkim, za oknami „El Liberala”, nad rzeką, nad pierwszymi cieniami, które otoczyły jęklive barki.

Przeszedł wśród obojętności i nieufności i zmusił szefa sportowego do wyciągnięcia ręki.

– Mam nadzieję, że jutro będzie wielki wieczór dla mieszkańców Santa Maríi; spodziewam się, że wygra lepszy.

Zdania tego gazeta już nie powtórzy, nie wesprze ono jego uśmiechniętej i dobronudusznej twarzy. W hallu kina Apollo – Jacob van Oppen, Mistrz Świata, trenuje tutaj od 18.00 do 20.00, wstęp 3 pesos – usłyszał pomruk publiczności i tupot nóg mistrza na zaimprovizowanym ringu. Van Oppen nie mógł już walczyć, łamać komuś kości lub narażać się na to, że jemu je połamią. Ale mógł skakać ze skakanką bez końca, bez śladu zmęczenia.

W wąskim pomieszczeniu kasowym Orsini sprawdził bloczek biletowy i zaczął coś obliczać. Nie uwzględniając triumfalnego sobotniego wieczoru, parter po pięć pesos, przyjazd do Santa Maríi przyniósł jednak pewien dochód. Orsini zamówił kawę dla kasjera i po przeliczeniu pieniędzy podpisał rozliczenie. Został sam w ciemnym i zatęchłym pokoiku. Słyszał rytmiczne uderzenia stóp van Oppena o deski.

– Stu dziesięciu osłów otwiera gęby tylko dlatego, że mistrz skacze ze skakanką, jak to robią, może nawet lepiej, tysiące dziewczynek na szkolnych podwórkach.

Przypominał, sobie van Oppena, kiedy ten był jeszcze młody, a przynajmniej nie podstarzały, pomyślał o Europie i Stanach, o świecie prawdziwie utraconym, próbował przekonać siebie, że van Oppen jest równie odpowiedzialny za bieg czasu, upadek i odrażającą starość, jak za nałóg, który go wciągnął. Broniąc siebie próbował znieawidzić van Oppena.

„Powiniennem był porozmawiać z nim Wcześniej, w czasie tych spacerów po bulwarze, kiedy to sunął drobnym kroczkiem jak gruba baba; wczoraj lub dziś rano; porozmawiać z nim na świeżym powietrzu, nad rzeką pod drzewami i czystym niebem, wśród tego, co Niemcy nazywają naturą. Ale nadszedł piątek, piątkowy wieczór”.

Namacał łagodnie banknoty w kieszeni i wstał. Na zewnątrz czekała na niego piątkowa noc, punktualna i ciepła. Stu dziesięciu durni darło się w kinoteatrze, mistrz zaczął numer końcowy; ćwiczenia gimnastyczne, podczas których wszystkie mięśnie pęczniały i przelewały się.

Orsini szedł wolno do hotelu z rękoma w tyle, wypatrywał szczegółów miasta, żeby zapamiętać je i pożegnać, zmieszać z fragmentami innych dalekich miast, połączyć wszystko i żyć dalej.

Bufet w hotelowym barze był długi i dotykał recepcyjnej lady. Książę sączył alkohol rozcieńczony wodą sodową i ustalał plan ostatniej bitwy. Zajęcie wzgórze mogło okazać się ważniejsze niż oddanie zbrojowni. Położył kilka banknotów na ladzie i poprosił o rachunek za dni spędzone w hotelu.

– To już za jutro, proszę mi wybaczyć, żeby uniknąć pośpiechu. Jutro, gdy tylko skończy się walka, musimy wyjechać samochodem, o północy lub o świcie. Rozmawiałem dziś telefonicznie z redakcji „El Liberala” i dowiedziałem się, że są nowe kontrakty. Wszyscy chcą zobaczyć mistrza, co zresztą oczywiste, przed turniejem w Antwerpii.

Zapłacił z przesadnym napiwkiem i ruszył do pokoju, z butelką ginu pod pachą, żeby spakować walizy. Jedna z nich, stara i czarna należała do Jacoba i tej nie wolno mu było ruszać, poza tym mieli mnóstwo pokazowych przedmiotów – płaszcze, koszulki, ekspandory, pasy, futrzane pantofle – w sali kina Apollo. Wszystko to jednak można było pod byle pretekstem zabrać potem. Skończył z walizkami własnymi oraz Jacoba, tymi, które nie zostały uznane za nietykalne; wziął prysznic i dyszał z ulgą, brzuchaty i zdecydowany na wszystko, kiedy usłyszał trzaśnięcie drzwi pokoju. Przez szum wody dotarły do niego odgłosy kroków i cisza. „Piątkowa noc; a ja nie wiem nawet, czy lepiej jest upić go przed, czy po rozmowie. A może przed i po”.

Jakob siedział na łóżku, ze skrzyżowanymi nogami, wpatrzony z dziecięcą radością w znak firmowy na podeszwie swych pantofli, słowo Champion; ktoś, być może sam Orsini, powiedział mu kiedyś żartem, że pantofle te produkowane są wyłącznie na użytek van Oppena, aby pamiętano o nim i składano mu hołd na tysiącach obcych stóp.

Orsini, owinięty kąpielowym płaszczem i ociekający wodą, wszedł do pokoju, był wesoły i skory do żartów. Mistrz obracał w dłoni butelkę ginu, pociągnął łyk i wpatrywał się w pantofle nie słysząc Orsiniego.

– Dlaczego spakowałeś walizki? Walka jest jutro.

– Żeby zyskać na czasie – odparł Orsini. – Dlatego zacząłem je pakować. Ale potem...

– Jutro o dziewiątej? I zawsze zaczyna się później. A po trzech minutach muszę trochę poćwiczyć, podnosić ciężary. No i oblać walkę.

– Tak – rzekł Orsini wpatrzony w butelkę podniesioną nad ustami mistrza, liczył łyki i coś kalkulował. – Jasne, że oblejemy.

Mistrz odstawił butelkę i gładził białą gumową podeszwę pantofla. Uśmiechał się, tajemniczo i nieufnie, jakby wsłuchany w odległą i nie słyszaną od dzieciństwa melodię. Nagle spoważniał, ujął w obie ręce stopę ze znakiem firmowym Champion i opuścił ją wolno, aż podeszwa spoczęła na wąskim dywaniku przy łóżku. Orsini zobaczył krótki i kwaśny grymas, który zajął miejsce zgasłego uśmiechu, zbliżył się niepewnie do łóżka mistrza i podniósł butelkę. Udając, że pije, wywnioskował z odgłosu i ciężaru zawartości, że zostało dwie trzecie litra, Znieruchomiały, odrętwiały, z łokciami wspartymi na udach, mistrz powtarzał:

– *Verdammt, verdammt, verdammt.*

Orsini bezgłośnie stapał po podłodze; odwrócony plecami do mistrza ziewnął, wyjął rewolwer z marynarki wiszącej na krześle i schował go do kieszeni kąpielowego płaszczka. Potem usiadł na łóżku i czekał. Rewolwer nigdy nie był mu potrzebny dla obrony przed Jacobem, nie musiał go nawet pokazywać. Ale lata nauczyły go przewidywać zachowanie się i reakcje mistrza, szacować ich gwałtowność, stopień szaleństwa, a również dokładny moment wskazujący wśród powszedniości na jego początek.

– *Verdammt* – bełkotał Jacob. Wciągnął powietrze do płuc i wstał. Położył dłonie na karku i ciężko kołysał tułowiem, wykonując raz po raz głębokie skłony w prawo i lewo.

– *Verdammt!* – wrzasnął, jak gdyby rzucał komuś wyzwanie, potem znowu uśmiechnął się nieufnie i zaczął się rozbierać. Orsini zapalił papierosa, włożył dłoń do kieszeni szlafroka i przywarł spokojnymi palcami do zimnego rewolweru. Mistrz zdjął trykotową koszulkę, podkoszulkę, spodnie, pantofle z jego marką, cisnął wszystko w kąt między ścianą i szafą, aż na podłodze urosła niewielka sterta.

Orsini, oparty na łóżku o poduszkę, czekał na nowe wybuchy gniewu i jego oznaki, aby porównać je z tymi, które już widział. „Nikt nie powiedział mu, że wyjeżdżamy.

Kto też mógł powiedzieć mu, że wyjeżdżamy tej nocy”.

Jacob miał na sobie tylko ringowe spodenki. Podniósł butelkę i wypił połowę zawartości. Potem, wciąż z tajemniczym, pełnym aluzji i wspomnień uśmiechem na twarzy, zaczął się gimnastykować, prostował i zginał ramiona przy jednoczesnych przysiadach.

„Cała ta kupa mięsa – myślał Orsini z palcem na spuście rewolweru – te same mięsa, może nawet większe niż wówczas, gdy miał dwadzieścia lat, trochę sadła na brzuchu i w pasie. Biały, straszliwy wróg słońca, *gringo* i baba. Ale ramiona i nogi mają tę samą siłę co dawniej, jeśli nie większą. Lata nie zostawiły tu śladów, choć zawsze to czynią, szukają i znajdują miejsca, w które można się wkraść i zostać na stałe. Wszystkim nam przepowiedziano starość i śmierć, nagle lub wśród jakaś. Ten biedak nie uwierzył w przepowiednie; dlatego wynik jest niesprawiedliwy”.

Oświetlony ostatnimi promieniami piątkowego słońca, wdzierającego się przez okno, i światłem, które Orsini zostawił zapalone w łazience, olbrzym lśnił cały potem. Na zakończenie ćwiczeń opadł na podłogę i wsparł się na rękach. Potem uczynił krótki i powolny skłon głową w stronę sterty odzieży leżącej pod szafą. Zasapany pociągnął znowu łyk z butelki, podniósł ją w popielatym powietrzu i nie przestając się w nią wpatrywać, zbliżył się do łóżka, które zajmował Orsini. Stał, olbrzymi i spocony, dysząc z wysiłkiem, z głupekowatym wyrazem twarzy, jak zawsze od pierwszej do ostatniej chwili swego szafu. Wpatrywał się wciąż w butelkę, szukał wyjaśnień na etykietce, w obłym i tajemniczym kształcie.

– Mistrzu – rzekł Orsini, cofając się, aż dotknął ściany i unosząc jedną nogę, żeby wygodniej ująć rewolwer. – Mistrzu. Musimy zamówić następną butelkę. Trzeba oblać walkę już teraz.

– Tak, mistrz zawsze wygrywa. I wygrywa również w Europie.

Orsini poprawił się na łóżku i pomagając sobie nogami usiadł, z jedną ręką wciśniętą w kieszeń szlafroka.

Przed nim otwierały się potężne, napięte mięśnie Jacoba. „Nie było nóg lepszych niż jego – pomyślał Orsini ze strachem i smutkiem. – Starczy, że upuści butelkę, a rozwali mi łeb; na rozbicie głowy dnem butelki potrzeba znacznie mniej niż minutę”. Podniósł się wolno i utykając, z ojcowskim i szczęśliwym uśmiechem, ruszył w drugi kąt pokoju. Oparł się o skraj stołu i stał przez chwilę z przykniętymi oczyma, mruczając jakąś katolicką i magiczną formułę.

Jacob nie poruszył się, stał koło łóżka, zwrócony do niego plecami, z butelką w powietrzu. Pokój tonął w półmroku; światło z łazienki było wątłe i żółtawe.

Manewrując lewą ręką Orsini zapalił papierosa. „Nigdy nie poddawałem się takiej próbie”.

– Możemy oblać już teraz, mistrzu. Będziemy oblewali do świtu, a o czwartej wyjedziemy. *Adios Santa María*. I dzięki; nie było nam tutaj tak źle.

Jacob, blady, spotęgowany cieniem, opuścił wolno ramię z butelką, aż rozległo się uderzenie szkła o kolano.

– Wyjeżdżamy, mistrzu – dodał Orsini. „Teraz myśli. Może zrozumie przed upływem trzech minut”. Jacob obrócił ciało, jakby znajdowało się w basenie ze słoną wodą, i zgiął się, żeby usiąść na łóżku. Rzadkie, choć jeszcze bez śladu siwizny, włosy wskazywały w ciemnościach, że pochylił głowę.

– Podpiszemy kontrakty, prawdziwe kontrakty – ciągnął Orsini – jeśli ruszymy na południe. Ale musimy to zrobić natychmiast, autobusem o czwartej. Dziś wieczorem rozmawiałem przez telefon w redakcji z pewnym impresario w stolicy, mistrzu.

– Dzisiaj. Teraz jest piątek – powiedział Jacob wolno, bez śladu pijaństwa w głosie. – A zatem walkę mamy jutro wieczorem. Nie możemy wyjechać o czwartej.

– Nie ma walki, mistrzu. Nie ma zmartwień. Wyjeżdżamy o czwartej, ale najpierw obłewanie. Już zamawiam drugą butelkę.

– Nie – powiedział Jacob.

Orsini znowu znieruchomiał przy stole. Od uczucia litości dla mistrza, które jątrzyło go i dręczyło w ostatnich miesiącach, przeszedł do współczucia dla księcia Orsiniego, skazanego na opiekowanie się, okłamywanie i nudzenie się niczym niańka z dzieckiem, z jakim przypadło mu zarabiać na życia. Potem jego litość stała się bezosobowa, niemal powszechna. „Tutaj, w jakiejś południowoamerykańskiej dziurze, która ma nazwę tylko dlatego, że ktoś chciał dopełnić obrzędu nazwania tych paru chałup na krzyż. On, bardziej zagubiony i wyczerpany ode mnie; ja, starszy i weselszy, i inteligentniejszy, z rewolwerem, który nie wiadomo nawet, czy działa, gotów pokazać rewolwer, kiedy zajdzie potrzeba, choć wiem, że nigdy nie nacisnę spustu. Litość nad życiem ludzi, litość nad kimś, kto układa wszystko w sposób równie głupi i absurdalny. Litość dla ludzi, których musiał oszukiwać, żeby żyć. Litość dla Turka ze sklepu i jego narzeczonej, dla wszystkich, którzy tak naprawdę nie mają przywileju wolnego wyboru”.

Z daleka dochodziły urywane dźwięki pianina ze szkoły muzycznej, mimo późnej godziny upał w pokoju i na zadrzewionych ulicach zdawał się wzmacniać.

– Nie rozumiem – powiedział Jacob. – Dzisiaj jest piątek. Jeśli tamten wariat nie chce walczyć, i tak muszę wystąpić, wstęp po pięć pesos.

– Tamten wariat... – zaczął Orsini; uczucie litości zamieniło się we wściekłość i nienawiść. – Nie, to my. Ta walka to żaden interes dla nas. Wyjeżdżamy o czwartej.

– Facet chce walczyć? Nie stchórzył?

– Facet chce walczyć i nie pozwalają mu stchórzyć. Ale my wyjeżdżamy.

– Bez walki, rano?

– Mistrzu – powiedział Orsini. Zwieszona głowa Jacoba poruszyła się przecząco.

– Ja zostaję. Jutro o dziewiątej czekam na ringu. Mam być sam?

– Mistrzu – powtórzył Orsini i zbliżył się do łóżka; delikatnie otarł się o ramię Jacoba i podniósł butelkę, żeby pociągnąć mały łyk.

– Wyjeżdżamy.

– Ja nie – odparł olbrzym i zaczął podnosić się, rosnać. – Będę sam na ringu. Niech mi pan zostawi połowę pieniędzy i wyjeżdża. Tylko dlaczego chce pan uciekać, dlaczego chce pan, żebym i ja uciekał?

Zapomniawszy o rewolwerze, choć nie wypuszczał go z dłoni, książę mówił do sklepionych żeber mistrza.

– Bo czekają na nas nowe kontrakty. Bo cała ta jutrzejsza heca to żadna walka; ot, jakieś głupie wyzwanie.

Orsini ruszył bez pośpiechu w kierunku okna, do łóżka van Oppena. Nie ośmielał się zapalić światła, nie miał odwagi przekonywać uśmiechem i grymasami twarzy.

Wolał cień i perswadujące brzmienie głosu. „Może lepiej byłoby skończyć teraz z tym wszystkim. Zawsze miałem szczęście, zawsze zjawiało się coś nowego i często lepsze od tego, co właśnie traciłem. Nie oglądać się za siebie, zostawić go jak bezpańskiego słonia”.

– Ale wyzwanie rzuciliśmy razem – mówił głos Jacoba van Oppena, zdziwiony, prawie roześmiany. – Zawsze rzucaliśmy je razem. Trzy minuty. W gazetach, na placach. Pieniądze dla tego, kto wytrzyma trzy minuty. I zawsze ja wygrywałem, Jacob van Oppen zawsze jest górą.

– Zawsze – powiedział Orsini; poczuł się nagle słaby i znużony; rzucił rewolwer na łóżko i położył dłonie na nagich kolanach. – Zawsze wygrywa mistrz. Ale zawsze oglądałem przed walką mężczyznę, który przyjął wyzwanie. Nie dać się zwalić na ringu z nóg przez trzy minuty – wyrecytował. – Nikt nie wytrzymał pół minuty i wiedziałem, że tak będzie, jeszcze nim zabrzmiał gong. – „Nie mogę mu powiedzieć, że raz udało mi się kogoś zastraszyć i raz zapłaciłem, żeby rzecz nie trwała dłużej niż trzydzieści sekund; może nie będzie innego wyjścia, jak powiedzieć mu to”. – I teraz także wykonałem swoją powinność. Obejrzałem faceta, który podjął wyzwanie, zważyłem go i zmierzyłem. Oczywiście. Dlatego spakowałem walizki, dlatego radzę wsiąść w autobus o czwartej.

Van Oppen wyciągnął się na podłodze, z głową opartą o ścianę, między nocną szafką i światłem padającym z łazienki.

– Nie rozumiem. I ten, ten sklepikarz z jakiejś dziury, który nigdy nie był na ringu, on ma pokonać van Oppena?

– Nikt nie może pokonać mistrza w walce – stwierdził Orsini bez zniecierpliwienia. – Ale tutaj nie chodzi o walkę.

– Chodzi o wyzwanie! – wykrzyknął Jacob.

– Otóż to. Wyzwanie. Pięćset pesos, jeśli utrzyma się na nogach trzy minuty. Widziałem tego faceta. – Orsini zamilkł i zapalił papierosa; był spokojny, obojętny, jakby opowiadał dziecku przed snem bajkę lub śpiewał „*Lili Marleen*”.

– I ten wytrzyma ze mną trzy minuty? – zakpił van Oppen.

– Więc tak. To bestia. Dwadzieścia lat, sto dziesięć kilo, tak mi się wydaje, nigdy się nie myślę.

Jacob podkurczył nogi i usiadł na podłodze. Orsini słyszał, jak oddycha.

– Dwadzieścia lat – powiedział mistrz. – Ja także miałem dwadzieścia lat, a byłem słabszy niż teraz, mniej umiałem.

– Dwadzieścia lat – powtórzył książe, a ziewnięcie przekształciło się w westchnienie.

– I to wszystko? Nic więcej? Ilu dwudziestolatków rzuciłem na deski w nie mniej niż dwadzieścia sekund? A dlaczego ten bałwan ma wytrzymać trzy minuty?

„Tak to jest – myślał Orsini z papierosem w ustach – proste i okrutne, jak nagłe odkrycie, że jakaś kobieta przestała się nam podobać i jesteśmy bezradni, i rozumiemy, że żadne wyjaśnienia nic już nie pomogą i w niczym nie ulżą, proste i okrutne jak prawda powiedziana nieuleczalnie choremu. Wszystko jest proste, kiedy dotyczy innych, kiedy jesteśmy na uboczu i możemy rozumieć i współczuć, powtarzać tylko słowa pocieszenia”.

Pianino ze szkoły muzycznej znikło w upale czarnej nocy; słychać było świerszcze, gdzieś daleko obracała się jazzowa płyta.

– Wytrzyma ze mną trzy minuty? – nalegał Jacob. – Ja też go widziałem. Widziałem fotografie w gazecie. Dobre ciało do popychania beczek.

– Nie – odparł Orsini, szczerze i bezradnie. – Nikt nie wytrzyma trzech minut z mistrzem świata.

– Nie rozumiem – powiedział Jacob. – Teraz już nic nie rozumiem. Jeszcze coś?

– Facet nie może wytrzymać trzech minut. Ale jestem pewien, że wytrzyma dłużej niż minutę. A dzisiaj, rzecz przejściowa, ale bezsprzeczna, mistrz świata nie jest w stanie walczyć dłużej niż minutę.

– Ja? – Jacob podniósł się na kolana i oparł na pięściach. – Ja?

– Tak – rzekł Orsini, mówił łagodnie i obojętnie, jakby nie przywiązując wagi do tematu. – Kiedy skończymy ten ćwiczebny objazd, wszystko ulegnie zmianie. Trzeba będzie też skończyć z alkoholem. Ale dzisiaj, w sobotę wieczorem w Santa Marí czy jak się tam nazywa ta dziura, Jacob van Oppen nie jest w stanie walczyć i bronić się dłużej niż minutę. Nie pozwalają na to piersi van Oppena, nie pozwalają płuca. A ta bestia nie da się powalić w jednej minucie. I dlatego musimy wyjechać autobusem o czwartej rano. Walizki są spakowane, uregulowałem hotelowy rachunek. Wszystko załatwione.

Orsini usłyszał po swej lewej stronie chrząknięcie i kaszel; odmierzał w pokoju trwanie ciszy. Znowu wziął do ręki rewolwer i wcisnął go między ciepłe kolana.

„W każdym bądź razie – myślał – ciekawe, że musiałem tyle kluczyć, przedsiębrać takie środki ostrożności. A on sam wie wszystko lepiej ode mnie; i od dawna. Ale może dlatego słusznie wybrałem kluczenie i ostrożność. I oto jestem, z moimi latami, godny pożałowania i śmieszny, jakbym powiedział jakiejś kobiecie, że miłość się skończyła, i oczekiwał, z obawą i ciekawością, jej reakcji, łez i pogroźek”.

Jacob skurczył się, a snop światła padającego z łazienki odstonił na odchylonej do tyłu głowie lśniące krople łez. Orsini schował rewolwer i podszedł do telefonu, żeby zamówić następną butelkę. Otarł się, przechodząc, o ostrzyżoną czuprynę mistrza i wrócił na łóżko. Podniósł nogi i poczuł na udach krągły ciężar brzucha. Od klęczącego ciała docierały odgłosy posapywania, jak gdyby Orsini przybył pod koniec ciężkiego dnia ćwiczeń lub walki szczególnie długiej i wyczerpującej.

„To nie serce – rozpamiętywał Orsini – i nawet nie płuca. Wszystko, metr dziewięćdziesiąt mężczyzny, który zaczął się starzeć”.

– Nie, nie – powiedział głośno. – Tylko odpoczynek na trasie. Za parę miesięcy wszystko znowu wróci do dawnej normy. Jakość; to jest coś ostatecznego, czego nie można stracić. Nawet gdyby ktoś chciał, uparł się. Bo w życiu każdego mężczyzny są okresy samobójcze. Ale pokonuje się je, zapomina o nich. – Muzyka taneczna, w miarę jak rosła noc, stawała się coraz donośniejsza. Głos Orsiniego, tłumiony w gardle i podniebieniu, dyszał zadowoleniem. Zastukano do drzwi i książkę podszedł w milczeniu, żeby wziąć tacę z butelką, kieliszkami i lodem. Postawił ją na stoliku, a sam usadowił się na krześle, aby dalej ciągnąć tę wieczorną lekcję optymizmu.

Mistrz usiadł w cieniu, na podłodze, oparty o ścianę; nie słysząc było jego oddechu, dla Orsiniego istniał tylko swoją potężną, ukrytą w mroku postacią.

– Jakość, to właśnie – zaczął znowu książkę. – Kto ją ma? Człowiek rodzi się ze znakiem jakości lub umiera bez niego. Nie bez powodu wszyscy wymyślają sobie te głupie i śmieszne przydomki, jakieś słowa, które można umieścić na plakacie. Bawół z Arizony, Łamacz z Liege, Byk z Granady. A Jacob van Oppen nazywa się tylko Mistrzem Świata. Jakość.

Słowa Orsiniego rozplynęły się w ciszy i znużeniu.

Księżę napełnił kieliszek, umoczył w nim język i podniósł się, żeby go podać mistrzowi.

– Orsini – rzekł Jacob. – Mój przyjaciel, księżę Orsini. – Van Oppen wielkimi rękoma ścisnął sobie kolana, a te niczym szczęki potrzasku wspierały pochyloną głowę. Orsini postawił kielich na podłodze przeciągnawszy nim po plecach i karku olbrzymia.

– Jeden łyk, mistrzu – wymruczał słodko i po ojcowsku – zawsze pomaga.

Prostował się, dotykając z grymasem obolałego krzyża, kiedy poczuł, że palce tamtego chwytają go za kostkę i przygwożdżają do podłogi. Usłyszał powolny, wesoły, beztroski i leniwy głos Jacoba:

– Teraz księżę wytrąbi kielicha jednym haustem.

Orsini odchylił się do tyłu, żeby złapać równowagę. „Tego jeszcze brakowało; żeby to zwierzę pomyślało, że chcę je uspić lub otruć”. Kucnął powoli, wziął kieliszek i wypił go szybko, czując, że palce Jacoba wokół kostki rozluźniają się.

– W porządku, mistrzu? – zapytał. Widział teraz jego oczy, kawałek kwaśnego uśmiechu.

– W porządku, księżę. Pełny kielich dla mnie.

Szeroko rozstawiając nogi, żeby się nie zachwiać, Orsini podszedł do stolika i znowu napełnił kieliszek. Oparł się, zapalił papierosa i spostrzegł w skąnym świetle zapalniczki, że ręce drżą mu z nienawiści. Wrócił z kieliszkiem, papierosem w ustach i palcem na spuście rewolweru ukrytego w kapielowym płaszczu. Przeciął smugę żółtego światła i zobaczył, że Jacob, błydy i potężny, stoi kołyszając się łagodnie.

– Prosit, mistrzu – powiedział Orsini i podał trunek lewą ręką.

– Prosit – powtórzył w górze głos van Oppena z lekkim podnieceniem. – Wiedziałem, że wrócą. Byłem w kościele i prosiłem, żeby wróciły.

– Tak – rzekł Orsini.

Zapadło milczenie, mistrz westchnął, noc przyniosła jakieś okrzyki i oklaski z dalekiej tanecznej sali, holownik na rzece jęknął trzy razy.

– Teraz – wybełkotał Jacob – książkę wypije kielich jednym łykiem. Obaj jesteśmy pijani. Ale ja dziś w nocy nie piję, bo to piątek. Książkę ma rewolwer.

Przez sekundę Orsini, z kieliszkiem w dłoni i wpatrzony w pępek van Oppena, wymyślił dla siebie biografię ciągłego upokorzenia, poczuł odrazę, wiedział, że olbrzym nawet go nie wyzywa, że jest tylko celem dla rewolweru czyhającego w kieszeni.

– Tak – powiedział w sekundę potem; wypluł papierosa i zaczął łykać jałowcówkę. Żołądek podszedł mu do gardła, kiedy ciskał pusty kieliszek na łóżko i cofał się z trudem, żeby położyć rewolwer na stole.

Van Oppen nie ruszył się z miejsca; chwiał się w półmroku z szyderczą ospałością, jak gdyby parodiował klasyczne ćwiczenie na mięśnie talii.

– Powariowaliśmy – rzekł Orsini. Bezżyteczne były wspomnienia, łagodne wrzenie letniej nocy za oknem, plany na przyszłość.

– „*Lili Marleen*”, proszę – doradził Jacob.

Orsini, oparty o stół, upuścił papierosa, którego miał zapalić. Zaśpiewał głosem głuchym, z resztką nadziei, jakby zawsze zajmował się tylko nuceniem głupich słów, łatwych melodii, jakby tylko w ten sposób zarabiał na życie. Czuł się starszy niż kiedykolwiek, poniżony i pokraczny, obcy sobie.

Zapadła cisza, a potem mistrz powiedział: „Dziękuję”. Orsini, senny i słaby, gniotąc w dłoni papierosa zostawionego na stole, koło rewolweru, zobaczył, jak zbliża się do niego wielkie, poblądłe ciało.

– Dziękuję – powtórzył van Oppen, prawie go dotykając. – Jeszcze raz.

Zdumiony, zobojętniały Orsini pomyślał: „Nie jest to już kołysanka, nie zmusza go do pijaństwa, płaczu i snu”. Chrząknął i zaczął:

Vor der Kaserne,
Vor dem großen Tor,

Mistrz nie musiał nawet poruszać całego ciała, podniósł tylko rękę opartą o biodro i uderzył otwartą dłonią w szczękę Orsiniego. Stara tradycja nie pozwalała mu używać pięści, z wyjątkiem sytuacji bez wyjścia. Drugą podtrzymał ciało księcia i rzucił je na łóżko.

Upalna noc i gwar zabawy kazały otworzyć okna. Zdawało się teraz, że żywe dźwięki muzyki rodzą się w hotelu, w środku pogrążonego w półmroku pokoju.

6. OPOWIEŚĆ KSIĘCIA

Działo się to we wrześniu, w mieście położonym nad rzeką, mniej więcej pięć centymetrów na południe od równika. Obudziłem się, nie czując bólu, w hotelowym pokoju skąpanym w świetle i spiekocie. Jacob klepał mnie po brzuchu i śmiał się, aby łatwiej wydobyć z siebie przekleństwa, które ostatecznie okazały się tylko jednym, powtarzanym tak długo, że już nie mogłem udawać, że śpię, i podniosłem się:

– Stara świnią – w najczystszej niemczyźnie, niemal po prusku.

Słońce lizało już nogę nocnej szafki, a ja pomyślałem ze smutkiem, że nic się nie da ocalić z katastrofy. Przynajmniej – zacząłem sobie przypominać – było to właśnie to, o czym należało myśleć i dopasować twarz i słowa do tego zmartwienia. Van Oppen czegoś się musiał domyślać, bo kazał mi wypić szklankę soku pomarańczowego i włożył do ust zapalonego papierosa.

– Stara świnią – powiedział, kiedy zaciągnąłem się dymem.

Zaczął się sobotni ranek, byliśmy jeszcze w Santa Marii. Poruszyłem głową i spojrzałem na niego, szybko oszacowałem szczerą uśmiechu, radości i przyjaźni. Miał na sobie szary garnitur, pantofle ze skóry antylopy, ważył w dłoni Stetsona. Pomyślałem nagle, że ma rację, że ostatecznie najważniejsze jest zawsze życie i nieistotne są zwycięstwa lub przegrane.

– Tak – powiedziałem odpychając jego rękę – jestem starą świnią. Lata mijają i pogarszają wszystko. Będzie dzisiaj walka?

– Będzie – pokiwał głową z entuzjazmem. – Mówiłem ci, że wrócą, i wróciły.

Zaciągnąłem się papierosem i rozłożyłem na łóżku. Wystarczyło zobaczyć jego uśmiech, żeby zrozumieć, że Jacob wygrał, nawet gdyby skręcono mu kark w ten ciepły sobotni wieczór. Musiał wygrać w ciągu trzech minut; ale ja już i tak oberwałem więcej. Usiadłem na łóżku i macałem szczękę.

– Będzie walka – powiedziałem. – Mistrz sam decyduje. Ir na nieszczęście, menażer nie ma nic do gadania. Jedna butelka i jedno uderzenie nie potrafią wszystkiego rozwiązać.

Van Oppen zaniósł się śmiechem, aż kapelusze spadł mu na krzesło. Jego śmiech był od lat beztroski, wciąż taki sam.

– Jedna butelka i jedno uderzenie – powtórzyłem z naciskiem. Ustaliliśmy, że mistrz nie jest w stanie, przynajmniej teraz, wytrzymać walki, prawdziwego wysiłku, który trwałby dłużej niż minutę. I tak jest. Mistrz nie pokona Turka. Umrze tajemniczą śmiercią, kiedy wybije pięćdziesiąta dziewiąta sekunda walki. Zobaczymy to na własne oczy. Myślę, że tyle przynajmniej ustaliliśmy.

– Tak ustaliliśmy. Nie dłużej niż minutę – potwierdził van Oppen, znowu wesoły, młody, niecierpliwy. Ranek wypełniał teraz cały pokój, a ja czułem się upokorzony moim snem, moimi zwątpieniami, szlafrokiem, w którym ciążył rozładowany rewolwer.

– I to jeszcze – wycedziłem, jakby chcąc się na nim zemścić – że nie mamy pięciuset pesos. Zgoda, wszyscy to wiedzą, Turek nie może wygrać. Ale musimy, a dzisiaj jest sobota, złożyć w depozycie pięćset pesos. Mamy tylko na bilety i na tygodniowy pobyt w stolicy. A potem Bóg raczy wiedzieć.

Jacob podniósł kapelusz i znowu zarechotał. Poruszał głową jak ojciec siedzący na ławce w parku ze swym nieufnym synkiem.

– Pieniądze? – powiedział obojętnie. – Pieniądze na depozyt? Pięćset pesos?

Podał mi nowego zapalonego papierosa i postawił lewą stopę, bardziej wrażliwą, na stoliku. Rozwiązał sznurowadła szarego pantofla, zdjął go i pokazał zwitek zielonych banknotów. Były to prawdziwe pieniądze. Dał mi pięć banknotów dziesięciodolarowych i powiedział chełpliwie:

– Więcej?

– W porządku – powiedziałem. – Jeszcze zostanie.

Sporo pieniędzy wróciło do pantofla, od trzystu do pięciuset dolarów.

Tak więc w południe wymieniłem dolary, a ponieważ mistrz znikł – obyło się tego ranka bez truchtu po bulwarze w koszulce z inicjałem – poszedłem do restauracji Plaza i zjadłem niczym prawdziwy džentelmen, jak już dawno nie miałem okazji. Zaparzono mi przy stoliku kawę, podano stosowne likiery i hawańskie cygareto, bardzo mocne, lecz można je było palić. Dopełniłem obiadu napiwkami pijaka albo złodzieja i zadzwoniłem do hotelu; mistrza nie było. Resztę wieczoru spędziłem spokojnie i beztrudnie, Santa María czekała na swój wielki wieczór. Zostawiłem w recepcji numer redakcji, żeby Jacob zadzwonił do mnie, kiedy będzie szedł do kina Apollo, i w chwilę potem siedziałem przy stoliku w archiwum z szefem działu sportowego i jeszcze dwoma facetami. Pokazałem pieniądze:

– Żeby nie było wątpliwości. Ale wolę je osobiście wręczyć na ringu. Jeśli van Oppen wyzionie ducha albo będzie musiał pokryć koszty pogrzebu Turka.

Graliśmy w pokera, przegrywałem i wygrywałem, aż doniesiono, że van Oppen jest już w kinie. Do dziewiątej brakowało z górą pół godziny, nałożyliśmy jednak marynarki i wsiedliśmy do starego samochodu, żeby pokonać tych kilkaset metrów dzielących nas od sali kinowej i podkreślić nastrój karnawału, zabawy.

Wszedłem tylnymi drzwiami i ruszyłem do pokoju obwieszonych plakatami i zdjęciami, cuchnącego wściekle moczem i zjełczałym klejem. Był tu Jacob, ćwiczył skłony w błękitnych spodenkach, kolor na cześć Santa Maríi, i z pasem Mistrza Świata, który lśnił i połyskiwał niby ze złota. Wystarczyło na niego spojrzeć – oczy dziecinne, czyste i bez wyrazu; krótki łuk uśmiechu – aby zrozumieć, że nie chce ze mną rozmawiać, że nie pragnie wstępów, niczego, co poróżniłoby go z tym, kim postanowił być wobec siebie i innych.

Usiadłem na ławce, nie słuchając nawet, czy raczył odpowiedzieć na moje powitanie, i zapaliłem papierosa. Teraz, za parę minut, miał się rozegrać finał całej tej historii. Historii Mistrza Świata. Ale znalazłyby się jeszcze inne, chociażby wersja dla „El Liberala”, Santa Marí i okolicznych miast.

„Przejsiowa niedyspozycja fizyczna” podobała mi się bardziej niż: „przetrenowanie przyczyną przegranej Mistrza”. Ale jutro nie napiszą dużego M, może nawet nie wymienia tego wątpliwego tytułu. Van Oppen dalej ćwiczył skłony, a ja zmagalem się z odorem amoniaku zaciągając się papierosem; pamiętałem, że świeże powietrze jest podstawą ćwiczeń gimnastycznych.

Jacob zginał się i prostował, jakby był sam, poruszał ramionami, wydawał się być chudszy i cięższy zarazem. W zaduchu, który mieszał się z wonią jego potu, próbowałem wyłowić oddech mistrza. Do cuchnącego pomieszczenia docierał gwar sali. Być może starczy mu sił na półtorej minuty, ale nigdy na dwie lub trzy. Turek stoi teraz zapewne i czeka na gong, ze swymi gniewnymi wąsami, w skromnych spodenkach do kolan, jak to sobie wyobrażałem – i nie pomyliłem się – z drobną i srogą narzeczoną, która wyje w uniesieniu i szale obok desek sceny, przy łysym chodniku, dalej nazywanym przeze mnie matą. Nie było szans, nigdy nie odzyskamy tych pięciuset pesos.

Zgiełk na sali, wypełnionej po brzegi i niecierpliwiejszej się, rósł coraz bardziej.

– Trzeba iść – powiedziałem do nieboszczyka zajętego gimnastyką. Na moim zegarku była dokładnie dziewiąta: wyszedłem z zaduchu i ruszyłem ciemnym korytarzem do kasy. Do dziewiątej piętnaście sprawdziłem i podpisałem rozliczenia. Wróciłem do cuchnącego pokoju – wrzaski obwieściły, że van Oppen był już na ringu – przełożyłem pieniądze do kieszeni spodni, zdjąłem marynarkę i przeciąłem korytarz, aby wejść na salę i wspiać się na podwyższenie. Powitano mnie oklaskami i obelgami, podziękowałem skinieniem głowy i uśmiechem, przekonany, że co najmniej siedemdziesiąt osób wcisnęło się na salę bez biletu. Co najmniej, bo nigdy nie otrzymałem należnych mi pięćdziesięciu procent.

Zdjąłem płaszcz Jacoba, podszedłem do Turka, żeby go powitać, i ledwie znalazłem czas na jeszcze parę podobnych błazenad.

Zabrzmiał gong i nie można już było nie poczuć zaduchu gawiedzi, która zappełniła salę. Zabrzmiał gong i zostawiłem Jacoba samego, bardziej samotnego i na dłużej niż wówczas, kiedy zostawiałem go o świcie, gdzieś na rogu ulicy lub w barze, gdy zaczynał ogarniać mnie sen i znużenie. Najgorsze tego wieczoru było to, że kiedy zajmowałem zarezerwowane miejsce, nie byłem senny ani znużony. Pierwszy gong oznajmił, że ring wolny. Drugi, że walka zaraz się zacznie. Jacob, lśniący oliwą, odmłodzony, bez widocznej nadwagi, kręcił się i zginał, aż znalazł się na środku ringu i tu czekał z uśmiechem.

Otworzył ramiona i oczekiwał Turka, który zdawał się pęcznieć. Czekał z uśmiechem, aż ten zbliży się, odskoczył wtedy do tyłu i nagle ruszył naprzód pozwalając się objąć. Wbrew wszelkim regułom Jacob przez dziesięć sekund trzymał ręce w górze. Potem stanął pewniej na nogach i odwrócił się; położył rękę na plecach przeciwnika, a drugą, wraz z przedramieniem, na udzie. Nie rozumiałem nic z tego i nie mogłem zrozumieć przez te równe trzydzieści sekund, jakie trwała walka. Zobaczyłem, że Turek wylatuje z ringu, płynie ociężale wśród jęku mieszkańców Santa Marí i ginie w mrocznej głębi parteru.

Wyleciał ze swymi dużymi wąsami, z dziwacznie wygiętymi nogami szukającymi w w brudnym powietrzu oparcia i równowagi. Widziałem, jak machając rękoma przemknął pod dachem, między reflektorami. Nie minęło nawet pięćdziesiąt sekund, a mistrz wygrał, albo nie, zależy jak na to patrzeć.

Wszedłem na ring, żeby pomóc mu przywdziać płaszcz. Jacob uśmiechał się jak dziecko, nie słyszał krzyków i obelg publiczności ani rosnącej wrzawy. Pocił się, ale nie za wiele, a kiedy usłyszałem jego oddech, zrozumiałem, że bardziej zmęczyło go zdenerwowanie niż wysiłek.

Na ring zaczęły spadać jakieś deski i puste butelki; miałem gotowe przemówienie, szeroki uśmiech dla cudzoziemców, ale pociski leciały dalej, a krzyki nie pozwalały mi dobyć głosu.

W tym momencie żandarmi wkroczyli do akcji z zapalem, jakby niczego nie robili od dnia, kiedy przyjęto ich do pracy, umiejętnie rozstawili się i zaczęli okładać ludzi po głowach nowymi pałkami, aż zostali na sali mistrz, sędzia i ja, żandarmi i biedny, nieżywy chłopak, dwudziestolatek, wiszący na dwóch krzesłach. Właśnie wtedy, nikt nie wie skąd, a ja mniej niż ktokolwiek, zjawiała się koło ciała drobna kobieta, narzeczona, i zaczęła kopać i opluwać mężczyznę, który przegrał, podczas gdy ja składałem Jacobowi gratulacje, a w drzwiach pokazali się pielęgniarze albo lekarze z noszami.

przełożył Rajmund Kalicki

NA SYLWESTRA

Kiedy już całe miasto wiedziało, że wreszcie nadeszła północ, patrzyłem przez otwarte okno, samotnie i prawie po ciemku, na rzeką i światła latarni, paliłem papierosa i szukałem uporczywie wspomnienia, które by mnie wzruszyło, powodu do litowania się nad sobą i czynienia wymówek całemu światu, spoglądania z rozjudzoną nienawiścią na światła miasta rosnące po mojej lewej stronie.

Skończyłem wcześniej rysunek dwojga maluchów w piżamach, zaskoczonych rano najazdem koni, lalek, samochodzików i hulajnóg na ich łóżeczka i kominek. Zgodnie z umową skopiowałem postacie z pewnej reklamy w *Companiön*. Najtrudniejszy był głupawy wyraz twarzy rodziców podpatrujących dzieci zza firanki oraz powstrzymanie się przed pokusą przekreślenia rysunku czerwonymi, kosmatymi literami, jakie wychodzą spod pędzelka z włosia kuny: „Niech rzyje szczęście”.

Mogłem za to poświęcić czterdzieści minut, dzielących mnie od nowego roku, moich urodzin i obiecanego powrotu Friedy na wymalowanie zielonymi literami nowej tabliczki do łazienki. Stara już wypłowiwała, była pochlapana, poplamiona mydłem i pastą do zębów. Była poza tym wykonana okropną, pochyłą czcionką, pismem, jakiego używa się zwykle na tabliczkach, które różni kretyni wieszają w domu na ścianach: domek mały, serce duże? witajcie; statek nowy, kapitan stary.

Kupiłem Friedzie prezent, który czekał na nią owinięty niebieskim papierem, koło jej kieliszka, butelki słodkiej wódki, talerzyka z owocami, nugatem i orzechami, w miejscu, jakie zwykła zajmować przy stole. Kupiłem jej także cygara i jedno opakowanie żyletek, aby mogła sobie obcinać włosy. Choć mieszkaliśmy razem od niewielu miesięcy, były to tradycyjne prezenty na rocznice, jakie obchodziliśmy lub sami wymyślaliśmy. Dziękowała za nie zaskakująco plugawymi przekleństwami, niekiedy przekonującymi, obiecywała zemstę, ale zwykle kończyło się na tym, że przyjmowała je jako świadectwo mojej dobrej woli, szacunku i roztargnionego zrozumienia. Jej prezenty były natomiast użytkowe, stanowiły formę wypłacania mi niewielkich sum, obdarowywania drobiazgami, które pozwoliłyby mi zapomnieć, że jestem na jej utrzymaniu.

W sobotnie wieczory, kiedy było u nas więcej ludzi, Frieda, lekko pijana, zamykała się w łazience i przez kilka minut lub kwadransów, jak długo nikt jej nie szukał, siedziała prawie w bezruchu z majtkami na kolanach, obcinała leniwie żyletką włosy opadające na czoło i wpatrywała się czujnymi, ptasimi oczyma w tabliczkę między szafką a wanną, tę, którą odnowiłem, żeby ją zaskoczyć, ze słowami Baudelaire'a: „Dzięki Ci Boże, że nie stworzyłeś mnie kobietą, Murzynem, Żydem, psem ani kurduplem”. Każdy, kto korzystał z łazienki, musiał je wymruczeć niby pacierz.

Ale teraz, w przededniu nowego roku, zapragnęliśmy — lub mamiliśmy się kłamstwami tak bardzo, że aż przyrzekliśmy sobie — spędzić Sylwestra razem i wspólnie szukać szczęścia. Przysięgała rzucić wszystko, uczennice ze szkoły baletowej, klientki z zakładu krawieckiego, nieoczekiwane propozycje, aby przed północą zostać już tylko ze mną. Nie musiałem z niczego rezygnować, żeby się jej odwzajemnić, zresztą, która z rozpustnego plemienia chciałyby w noc sylwestrową patrzeć do świtu na trzęsącą się głowę starego mężczyzny.

Było to nie tyle szczęście, co mniejszy kłopot. Zjedlibyśmy coś i zaczęli, z wprawą, bez pośpiechu, żeby niczego nie uronić, upijać się; ja zapytałbym o coś z udawanym zainteresowaniem, żeby zachęcić ją do powtórzenia monologu o swoim dzieciństwie i młodości w Santa Maríi, historię wygnania, kaprysów, zmiennych wspomnień z rajy utraconego.

Na zakończenie wieczoru być może kochalibyśmy się na wielkim łóżku, dywanie w pierwszym pokoju lub na balkonie. Było mi obojętne, czy dojdzie do tego, czy nie, choć nigdy nie znałem kobiety równie zdolnej do ciągłego zaskakiwania, tak skorej do pełnego oddania się. Ilekroć spaliśmy ze sobą, a pijaństwo ułatwiało zwierzenia, miałem uczucie, jakbym posiadał dziesiątki kobiet i wszystkiego się o nich dowiadywał. Może zgodzi się obchodzić nowy rok wyciągnięta na plecach na podłodze lub materacu.

Pałilem w oknie papierosa i piłem jakiś słaby alkohol, kiedy rozległy się ryki syren i huk wystrzałów. Nie byłem w stanie zajmować się sobą, myślałem więc o Maríi Eugonii i o Seoane, moim synu, usiłowałem wykrzesać w sobie odrobinę bólu i oskarżać siebie, wspominałem wydarzenia, które dla mnie już nic nie znaczyły.

Wszystko było po prostu właśnie takie, choć mogło być również inne, a każda wspomniana osoba mogłaby przedstawić własną wersję tych spraw. A ja ostatecznie nie tylko nie zasługiwałem na współczucie, lecz nie można było nawet dawać wiary moim słowom. Wszyscy inni istnieli i widziałem, jak żyją, a miłość, jaką ich obdarzałem, była tylko miarą mego przywiązania do życia.

Już zapomniano w Montevideo o północy. Światła od strony Ramírez zaczynały blednąć, a roztańczone pary opuszczały z wolna Parque Hotel; zaczął się nowy rok. W sąsiedztwie koszar zabrzmiał znowu jakiś murzyński bęben, głuchy, samotny, niezwykły, i pomieszał czyjeś słowa.

Rozpoznałem jednak głos Friedy, niepewny, uległy, słabnący. Krzyknęła: „*Himmel!*” a ja przeciąłem pokój, zszedłem bezgłośnie, po omacku, po ceglanych stopniach schodów prowadzących do ogrodu i furtki.

Docierało tam tylko skąpe światło z Proa, zauważyłem ją jednak między dwoma suchymi krzakami, jej atletyczną, rozkołysaną postać, której zlorzeczył jakiś czarny pomiot w spódnicy, z głową wymyślnie spiętrzoną całodziennym trudem taniego fryzjera: „bo ze mną, ty szmato, bo myślisz, że zaciągniesz mnie w krzaki, bo jak chodzisz ze mną, to już z nikim innym”. Biła dłonią po twarzy, a Frieda nie broniła się, potem zaczęła tłuc ją torebką, systematycznie i bez wytchnienia.

Usiadłem na stopniu i zapaliłem papierosa. „Frieda może zgnieść ją jednym machnięciem ręki – pomyślałem. – Jeden kopniak Friedy, a polecą do rzeki”.

Ale Frieda wolała w ten właśnie sposób rozpocząć nowy rok: z rękoma na pośladkach, z wypchanymi ramionami kostiumu pozwalała się bić, jakby znajdowała w tym przyjemność, i odpowiadała na ciosy torebki chrapliwym *Himmel*, co brzmiało niczym prośba o nowe razy.

Kiedy tamto paskudztwo zmęczyło się biciem, zapłakały obie i wyszły z ogrodu na ulicę. Widziałem, jak przystanęły zasapane i prowadziły się dalej pod rękę. Wtedy wszedłem na górę i zapaliłem wszystkie światła, żeby zaofiarować Friedzie noworoczną gościnę.

Siedziała teraz w fotelu w świetle stojącej lampy, a może były to tylko jej jasne, płomienne włosy opadające na czoło, usta miała wykrzywione rozgoryczeniem i wódką, prawą brew podniesioną jak zawsze i opasującą łukiem zasiniaczone oko. Rozciętymi i zakrwawionymi wargami, których nie pozwoliła sobie opatrzeć, kazała mi wejść w nowy rok z jej opowieścią o Santa Marfi. Rodzina wyrzuciła ją stamtąd i przysyłała tylko co miesiąc pieniądze za to, że od czternastego roku życia zaczęła się upijać i wywoływać raz po raz skandale oraz uprawiać miłość z każdą płcią, jaka stworzyła Opatrzność.

Mówię to na jej cześć, jako że każdej niedzieli była praktykującą wierną, a każdej soboty już od świtu zapełniała moje mieszkanie – opłacane zresztą przez nią – kobietami coraz to starszymi, dziwniejszymi i nędźniejszymi. Opowiadała o swym dzieciństwie na prowincji i o junkierskiej rodzinie winnej temu, że teraz, w Montevideo, nie miała innego wyjścia, jak upijać się i żyć skandalami i rozwiązać miłością. Mówiła aż do świtu tego pierwszego styczniowego dnia o nieporozumieniach i cudzych winach, pijana, zanim jeszcze tu przyszła; dotykała przy tym piśczołotliwie zapuchniętego oka i znajdowała przyjemność w bólu rozciętych i nabrzmiałych warg.

– Wydało mi się – powiedziała z uśmiechem – nie uwierzysz, wydało mi się, że na rogu stał Seoane.

– O tej porze? A poza tym zaszedłby do mnie.

– Może nie przyszedł do ciebie.

– Tak, kochanie – odparłem.

– Może właśnie nie do ciebie. Może śledzi dom, żeby wiedzieć, czy wychodziłeś, czy też wracałeś.

– Możliwe – potwierdziłem, bo nie lubiłem z Friedą, i chyba z nikim innym, rozmawiać o Seoanem.

Mówiła, jak wszystkie kobiety, o Friedzie idealnej, dziwiła się nieustannemu triumfowi niesprawiedliwości i niezrozumienia, szukała, wskazywała wciąż winnych, nie czując do nich nienawiści.

Nie wspomniała słowem o tym niepojętym paskudztwie, które tłukło ją torebką po twarzy. Przyzwyczyłem się już do tego, że sprowadzała sobie kochanki coraz brutalniejsze i coraz tańsze. Ponieważ czas nie ma w istocie znaczenia, a równoczesność zależna jest tylko od kaprysów naszej pamięci, bez trudu mogłem przywołać w pamięci noc, kiedy mieszkanie, w którym pozwoliła mi zostać, wypełniało się kobietami, jakie sama ściągała z ulicy, z portowych barów, z Plaza Victoria. Niektóre były piękne i dobrze ubrane, z drobną biżuterią, bransoletami i naszyjnikami z pereł na ciemnych kostiumach.

Ale ostatnio najwięcej było bezczelnych i brudnych Metysek, przekleństw, papierosów przyklejonych do ust. Zjadłem sprzeczki nie pozwalały mi zasnąć, więc zeskakiwałem z łóżka i krążyłem po mieszkaniu, gryząc papierosa, jakbym niósł w ustach gałązkę oliwną, przeskakując z trudem między kobietami, które klęczały, siedziały na stole, rozpięły się na tapczanie, przykucnęły w kuchni, chodziły jedna po drugiej do łazienki, witały słońce lub księżyc na czerwonej posadzce balkonu.

– Herrera zapłacił – rzekła Frieda. – Dobrze zrobił, dzięki temu lepiej zaczyna się nowy rok i może przyniesie mu to szczęście. Banknoty stoczyły się z moich piersi na stół. Podniosłem je nie zdejmując gumki, którą były okręcone; były po sto pesos.

– Wszystko zapłacił? – zapytałem. Frieda wybuchnęła śmiechem, a potem zaczęła oblizywać rozciętą wargę.

– Daj mi kielicha i papierosa. Ta biedna łajza. Ale jak to miło pozwalać, pozwalać cały czas, żeby robili z tobą, co chcą, żeby nawet nie domyślali się, kim jesteś. Pozwalać, aż nagle przychodzi do głowy myśl, że od tej chwili koniec, a wtedy człowiek przestaje ulegać, już go to nie bawi i popełnia z największą radością największe okrucieństwa. W odwet; i to nie powodowany dumą czy chęcią zemsty, tylko dlatego, że przyjemnością staje się teraz bić, nie zaś pozwalać, żeby ciebie bito.

– Rozumiem – odparłem. Słuchałem jej podrzucając w dłoniach zwitek banknotów.

– Pomożesz mi? Kiedy nadejdzie ta chwila, mówię, jeśli nadejdzie.

– Jasne. – Schowałem pieniądze do kieszeni spodni, napełniłem kieliszek rumem i podałem jej, włożyłem jej papierosa w usta i zbliżyłem zapalnik.

– Kiedy tylko zechcesz. Zapłacił czy nie? To znaczy, czy zapłacił wszystko i do końca?

Frieda podniosła się w napadzie śmiechu i upadła na bok plując śliną na podłogę.

– Myślę, że ta parszywa... – pomacała sobie zębra i przybrała dziecinny wyraz twarzy, żeby wysłuchać tego, co zostało jeszcze z nocy – że ta brudna suka uderzyła mnie kolaniem w brzuch. To nic. Tak, zapłacił wszystko. Powiedziałam mu, że to ostatnia rata. Nie wiem, czy tak jest, nie wiem, czy za tydzień, kiedy będzie się bawił z dziećmi i prezentami na Trzech Króli, nie zjawię się, żeby wyciągnąć więcej forsy. I nie chodzi mi o pieniądze Herrery. Widzisz, już je schowałeś. Ważne jest to, że mogę go dręczyć, taki jest mój stosunek do niego i tak już musi zostać.

– Frieda – powiedziałem donośnie. Poruszyła się na fotelu i uniosła wreszcie głowę. Była pijana, uśmiechała się jak mała dziewczynka, po jej twarzy zaczęły płynąć łzy. Położyłem pieniądze na stole, pilnując, żeby nie spadły. – Nie jest dobrze. Trzeba wreszcie skończyć tę sprawę z Herrera.

Wzruszyła ramionami, przyglądała mi się jak zakochana dziewczyna, ze smutnym i zdziwionym uśmiechem, i językiem wolno zlizywała łzy.

– Jak chcesz – powiedziała. – Daj mi jeszcze kielicha, oblejemy nowy rok.

przełożył Rajmund Kalicki